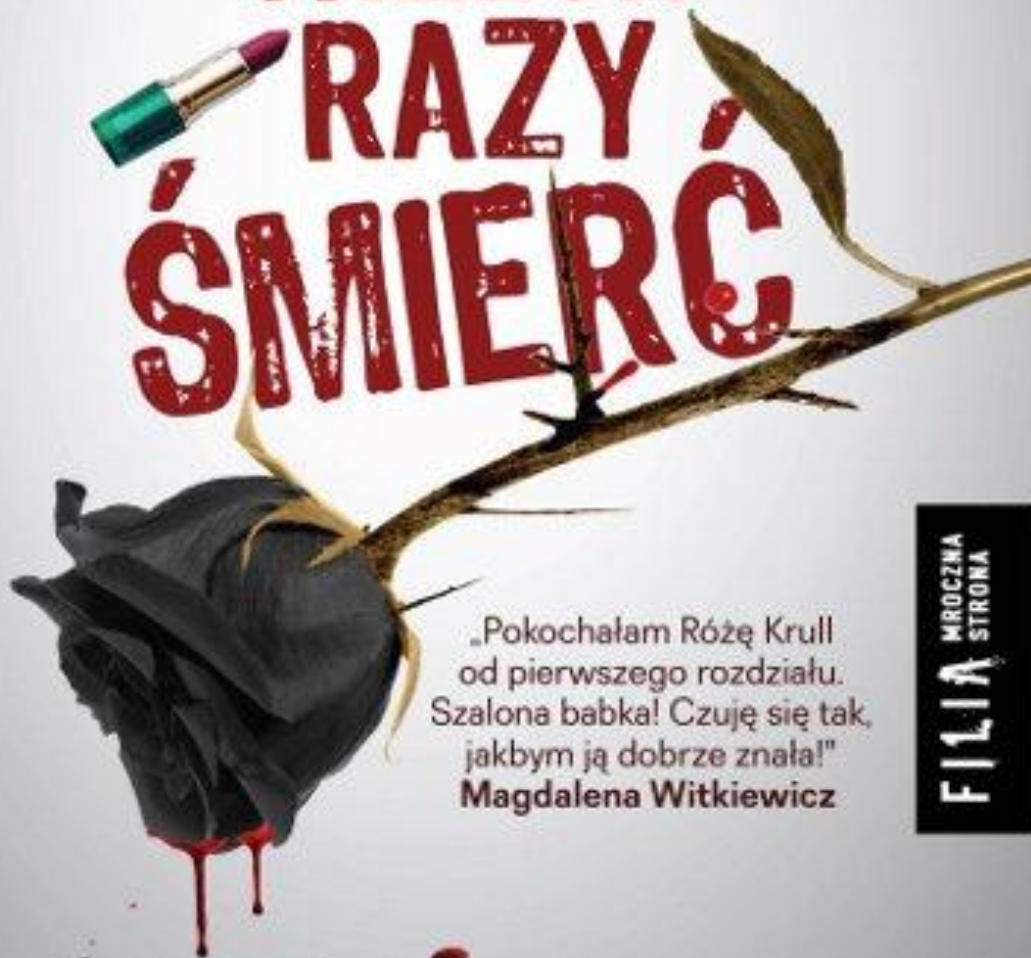


ALEK **ROGOZIŃSKI**

NOWA
SERIA!
RÓŻA KRULL
NA TROPIE



**DO
TRZECH
RAZY
ŚMIERĆ**



„Pokochałam Różę Krull
od pierwszego rozdziału.
Szalona babka! Czuję się tak,
jakbym ją dobrze znała!”
Magdalena Witkiewicz

FILIA
MROczNA
STRONA

Rogoziński Alek

Róża Krull na tropie 01

Do trzech razy śmierć

Dla Edyty Pietrzak-Waś,

Moniki Kawiarowskiej

i Małgosi Szeroczyńskiej –

z podziękowaniem,

że nasza przyjaźń przetrwała

od lat szkolnych i licealnych...

oraz

Magdaleny Witkiewicz – za to, że

traktuje mnie jak swojego drugiego,

czasem opóźnionego w rozwoju, syna

i że jeszcze nigdy (odpukać, odpukać!)

się na niej nie zawiodłem

OŚWIADCZENIE

Uroczyście oświadczam, że wszystkie postaci – poza kilkoma moimi ukochanymi gwiazdami, które mam nadzieję nie obrażą się, że je wymieniałem z nazwiska – oraz wydarzenia opisane w tej książce są wytworem mojej wybujałej fantazji. Dworek w Kopielnikach nie istnieje (a szkoda...), a postać Róży nie była inspirowana żadną żyjącą (w Gdańsku) polską pisarką. A już na pewno nikt nikogo w świecie literackim nie prześladowuje i nie morduje, bo wszyscy się kochamy i nikt z nas nie jest zazdrosny o sukcesy kogoś innego. Uwierzyliście...?

POSTACI

(nie przerażajcie się ich liczbą, bo nie wszyscy grają tu główne role, ba!, niektórzy nie wypowiadają w powieści nawet jednego słowa; ponieważ jednak nie chciałem, aby ktokolwiek czuł się pominięty, wymieniłem wszystkich, wzorując się na ekranizacji Władcy Pierścieni, gdzie w napisach końcowych pojawiły się nazwiska mniej więcej miliona osób, łącznie z tymi, które tylko pomyślały o tym, że mogłyby pracować przy tym filmie)

Róża Krull – wiecznie eksperymentująca z fryzurą autorka powieści kryminalnych, która niezbyt entuzjastycznie przyjęła wiadomość, że musi jechać na zjazd pisarzy i – jak się potem okazało – miała rację, bo (prawie) nic dobrego jej tam nie spotkało

Paweł Kwiatek – zwany przez wszystkich Pepe, obdarzony talentem kulinarnym godnym Jamiego Oliviera młodzieniec zajmujący się PR-em książek Róży, a po nocach śniący o pracy dla Magdy Gessler

Kika Luna – pisarka romansów, zmora swoich koleżanek i kolegów po piórze, wydawców, szefów księgarni oraz własnej rodziny

Dawid Dumowski – mąż Kiki, były siatkarz, swoją prezencją wywołujący w kobietach (oraz niektórych mężczyznach) diabelsko grzeszne myśli

Lena Pastor – córka Kiki z pierwszego małżeństwa, marząca o usamodzielnieniu się i traktująca wyczyny swojej matki z pobłażliwością godną pielęgniarki w zakładzie dla obłąkanych

Krystian Krawczyk – chłopak Leny, nienawidzący swojej przyszłej treściowej niczym koty burzy i piorunów

Julia Kulicka – pisarka smętnych powieści obyczajowych, dla której słowo „uśmiech” jest pojęciem abstrakcyjnym

Kornelia Komarzewska – przyjaciółka Julii, mająca podobne do niej fatalistyczne podejście do życia

Grażyna Winnik – autorka powieści erotycznych, rudowłosa seksbomba, która sądziła, że nic w życiu nie będzie dla niej problemem, ale niestety się przeliczyła

Mateusz Mączyński – ukochany Grażyny, przystojny prawie tak, jak bohaterowie powieści jego ukochanej

Klaudia Szkrab – porzucona żona Mateusza, pałająca zrozumiłą nienawiścią do jego nowej wybranki

Milka Wężowska – autorka powieści grozy, życiowa optymistka, uzależniona od „big maków”, „wieś maków”, „czis maków” oraz pizz wielkości koła młyńskiego

Olka Nosicka – pisarka komedii kryminalnych, próbująca (bez zapału i bez skutku) przekonać Miłkę, że podstawą jej jadłospisu powinna być brukselka, marchewka, ogórek, tudzież kielki brokuła

Katarzyna Skrzypińska – starsza pani, zmuszona przez wydawcę do pisania biografii gwiazd kina i teatru, a w cichości ducha mocno sfrustrowana, że nie może wydać horroru o wampirach i wilkołakach, zarobić na nim kokosów i stać się tak popularna jak jej koleżanki po piórze

Mariella Miszalek – dobiegająca z wolna sześćdziesiątki, ale przekonana, że wciąż wygląda na kuszącą trzydziestkę, autorka ckliwych romansideł, sprawiająca od czasu do czasu wrażenie lekko poszkodowanej na umyśle

Grzegorz Kąciszewski – szef wydawnictwa Kąty i Trójkąty, w swoim przekonaniu – mimo sporej nadwagi i wzrostu siedzącego psa – reinkarnacja Casanovy i sobowtór Brada Pitta

Joanna Stępień – menedżer urokliwego dworku pod Krakowem, skrywająca przed światem kilka tajemnic

Dariusz Kapica – drugi menedżer ośrodka w Kopielnikach, równie tajemniczy jak jego współpracownica

Marcin Kraśnik, Łukasz Maj – średnio, niestety, sprawdzający się w swoim fachu kelnerzy

Kuba Płoszyk – boy hotelowy, chcący za wszelką cenę udowodnić Róży, że nadaje się na detektywa – bohatera jej kolejnej powieści

Ruda, Dama Karo i Wiola – blogerki, które koniecznie chciały być pomocne i nawet im się ta sztuka udało

Krzysztof Darski – komisarz policji, oddelegowany do śledztwa z racji faktu, że jego narzeczona pełniła niegdyś funkcję menedżerki znanej pisarki

Beata „Betty” Jankowska – ukochana Darskiego, do niedawna agentka najpopularniejszej polskiej pisarki romansów, aktualnie szukająca pracy

PROLOG

Trzy kobiety stały na małej leśnej polanie, patrząc bez słowa na dopiero co wykopany dół. Twarz każdej z nich wyrażała inne uczucie. Młodziutka, bardzo szczupła i jeszcze bardziej blada szatynka, ubrana w krótką kwiecistą sukienkę, nawet nie próbowała ukryć przerażenia. Miała załzawione oczy, trzymała prawą dłoń na ustach, hamując szloch, i co parę sekund pociągała nosem, starając się ostatkiem sił opanować narastającą z każdą chwilą histerię. Na obliczu niższej, nieco starszej, korpulentnej platynowej blondynki ubranej w obcisłą do granic wytrzymałości materiału czarno-bordową suknię malowała się tylko kamienna obojętność. Jakby mrozące krew w żyłach wydarzenia, w jakich brała udział przez ostatnich kilkadziesiąt minut, nie wywarły na niej najmniejszego wrażenia. Najbardziej zagadkowy wyraz twarzy miała jednak trzecia kobieta – wysoka, seksowna, rudowłosa piękność. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie nieco rozbawionej sytuacją, która dziewięciu osobom na dziesięć wydałaby się przerażająca, a owej dziesiątej – makabryczna. I dopiero po bliższej, uważnej lustracji można było zauważyć, że ów pozorny luz ma ukryć strach, a uśmiech – gigantyczną ulgę i nieco satysfakcji.

– Może jednak powinniśmy zadzwonić na policję? – powiedziała szatynka cichym, proszącym głosem.

Jej towarzyszki spojrzały na nią z wyraźną irytacją.

– Już to przerabialiśmy – fuknęła blondynka. – I sama się zgodziłaś, że to, co robimy, jest najlepszym wyjściem...

– No tak... – Szatynka pokiwała głową i znów pociągnęła nosem. – Ale... To nie jest dobre... Tak nie wypada...

– Wiesz przecież, że to nie miało się tak skończyć! – niemal krzyknęła ruda.
– Zdarzył się idiotyczny wypadek.

– Mogłybyśmy spróbować przekonać o tym policję... – powiedziała szatynka, składając ręce tak jak do modlitwy. – Proszę, rozważcie to jeszcze raz. Nie wiem, czy będę umiała żyć ze świadomością, na co naraziliśmy jego bliskich. Może jednak policja nam uwierzy...

– Po raz setny tłumaczę ci, że nie! Sama też bym nie uwierzyła, gdyby ktoś mi o tym opowiedział. Poza tym nie mamy żadnego dowodu na poparcie naszych słów. – Ruda podeszła do swojej towarzyszk i wzięła jej złożone ręce w swoje dłonie. – Wiem, że to będzie trudne, ale razem przez to przejdziemy. Obiecuję ci, że nie zostawimy cię z tym samej. Będiesz mogła na nas liczyć o każdej porze dnia i nocy.

Najstarsza z kobiet obserwowała swoje koleżanki z coraz większym politowaniem.

– Tani melodramat... – mruknęła pod nosem, a głośno powiedziała: – To co robimy? Bo w końcu ktoś tu przyjdzie, nakryje nas i *game over*. Wtedy dopiero będziecie miały sporo czasu na rozmowy. O ile oczywiście dopisze wam szczęście i wylądujecie w jednej celi.

Ruda przesunęła dłońmi po rękach szatynki, po czym ujęła jej podbródek.

– To jak? – zapytała, patrząc jej uważnie w oczy. – Dasz radę?

Ta zacisnęła usta i kiwnęła głową. Ruda westchnęła z ulgą.

– Możemy zacząć – powiedziała stanowczo.

Blondynka uśmiechnęła się i z cichym stęknieniem sięgnęła po leżącą pod jej nogami łopatę. Następnie nabrała na nią ziemi z niewielkiego kopca, który utworzyły kilkanaście minut wcześniej, i sypnęła ją do dołu. Zastygła w grymasie zdziwienia twarz mężczyzny w rogowych okularach, którego ciało zostało nieco wcześniej tam rzucone, częściowo pokryła się wilgotnymi czarnymi grudkami. Chwilę potem w dole wylądowały kolejne porcje ziemi, na zawsze kryjąc tajemnicę trzech kobiet...

A przynajmniej tak im się wtedy wydawało.

ROZDZIAŁ I

Przeczenie

– Zjazd pisarek?! – Najpopularniejsza polska autorka kryminałów Róża Krull oderwała spojrzenie od lustra, w którym przez ostatnich kilkanaście sekund z niepokojem obserwowała, czy na jej trzydziestopięcioletniej twarzy nie pojawiły się już pierwsze oznaki nieubłaganej zbliżającej się starości, i popatrzyła na swojego PR-owca ze zgrozą. – To znaczy samych kobiet?! Czy ciebie rozum opuścił? To jakieś śmiertelne nudziarstwo. Wiesz, jak nie cierpię tego typu imprez!

„Bo nie będzie cię tam adorował żaden przystojniak”, pomyślał nieco złośliwie jej serdeczny przyjaciel i specjalista od promocji w jednym, Paweł Kwiatek, drobny, niepozorny, obdarzony nie wiedzieć czemu typowo południową urodą Ślązak, zdrobniale nazywany przez wszystkich Pepe. Głośno jednak powiedział:

– Mają ci tam wręczyć jakąś nagrodę...

– Za co? – zdziwiła się Róża, przeczesując sobie długą blond grzywkę z lewej strony głowy na prawą. Pisarka miała wieczny problem z doborem koafiury, z żadnej nigdy do końca nie była zadowolona i przynajmniej raz na tydzień pojawiała się u swojego fryzjera z nowymi oryginalnymi pomysłami, co ma zrobić jej na głowie, przy okazji doprowadzając go rozpacz, a czasem i myśli samobójczych. – Przecież od ponad roku nie napisałam nic nowego!

– Za całokształt – wyjaśnił Pepe. – I za zasługi w krzewieniu czegoś tam za granicą. Zdążyłem już zapomnieć, co tam krzewiłaś, ich zdaniem, w tej Hiszpanii. Moim zdaniem głównie zamiłowanie do alkoholu. Ale to nasza cecha narodowa, więc może podciągnęli to pod patriotyzm, a to teraz w modzie.

– Całokształt?! – Róża skupiła się na pierwszej części jego wypowiedzi, za

drugą postanawiając mu ewentualnie urządzić piekło nieco później, kiedy już przemyśli, czy aby nie kryje się tam trochę prawdy. – Przecież to się wręcza jakimś stojącym nad grobem staruszkom z balkonikami. Czy ktoś tam oszalał?! Wiem, że może już nie wyglądam na nastolatkę, zwłaszcza jak zapomnę iść do kosmetyczki...

– Yhm... – kaszlnął znacząco Pepe.

– No dobrze, do doktora Gwoźdźcia – poprawiła się szybko Róża, przypominając sobie, jak po ostatnim zabiegu zwanym wampirzym liftingiem, a polegającym na wstrzyknięciu pod skórę twarzy osocza z pobranej wcześniej krwi, lekko otumaniona zastosowanym przez lekarza środkiem znieczulającym dowlokła się ledwie żywa do swojego rodzinnego domu, po czym z miejsca zasnęła kamiennym snem na kanapie, na której kilkanaście minut potem znalazła ją matka. Przerażona krwawymi śladami na twarzy swojej latorośli i myśląc, że ta miała wypadek samochodowy albo zmasakrował ją włamywacz, zadzwoniła w panice po pogotowie, któremu potem trzeba było zapłacić dwieście złotych za „nieuzasadnione wezwanie”. – Joanna ma stanowczo za długi język...

– Twoja mama jest po prostu szczerą – podsumował Pepe. – W przeciwieństwie do ciebie... Łazisz po jakichś szarlatanach, którzy z medycyną mają tyle wspólnego, że kilka razy przechodzili obok szpitala, ale za to cię dmuchają. A potem mówisz, że byłeś u kosmetyczki, która przejechała ci lekko po twarzy wacikiem z kremem nawilżającym. I od tego muskania twoje policzki zaczynają nagle wyglądać tak, jakbyś chowała w nich piłeczki pingpongowe...

– Nikt mnie nie dmucha! – zaprotestowała ogniście pisarka, choć w jej głosie dało się też wychwycić lekką nutkę żalu. – Od wielu miesięcy!

– To też wiem – powiedział Pepe z politowaniem. – Zrobiłem skrót myślowy. Chodziło mi o dmuchanie twoich policzków...

– Nawet jeśli coś tam sobie delikatnie wypełniłam, a wcale nie mówię, że to zrobiłam, to tym bardziej nie wyglądam na kogoś, kto powinien dostać nagrodę za całokształt. – Róża pokazała przyjacielowi język. – Poza tym zawsze czuję się na takich złotych jak w maglu. I właśnie tak wyobrażam sobie jeden z kręgów piekielnych. Kupa sfrustrowanych wiedźm, które nic nie robią, tylko obgadują się nawzajem albo pomstują na swoich wydawców. I pewnie jak zawsze dziwnym trafem wyląduję w jednym pokoju z tą całą Manuellą...

– Mariellą – poprawił Pepe.

– Wszystko jedno – nie dała się zbić z pantałyku Róża. – Ona najpierw zużywa cały papier toaletowy, a potem chrapie tak, że trzęsą się ściany! Jak wielbłąd!

– Wielbłądy chrapią? – zdziwił się Pepe, zostawiając na uboczu nieco dziwną kwestię połączenia przez jej pracodawczynię zużywania papieru z wydawaniem głośnych odgłosów w czasie snu.

– Nawet sobie nie wyobrażasz! – potwierdziła Róża. – Jak w Afryce w oazie kilka zaczęło ciągnąć smugę koło mojego namiotu, to miałam wrażenie, że znalazłam się w klubie techno. Do kompletu brakowało mi tylko laserów i tabletki ekstazy.

– Teraz już się nie łyka ekstazy, musisz uaktualnić swoją bazę danych – powiedział Pepe. – Znajomy, który prowadzi klub, mówił mi, co teraz bierze młodzież, ale już zapomniałem, co to było. Zapamiętałem tylko, że osoby w moim wieku wylądowałyby po tym na OIOM-ie, a w twoim kołfnęłyby na zawał w jednej sekundzie.

– A oni wytrzymują? – zaciękała się Róża, zapominając przypomnieć PR-owcowi, że jest zaledwie pięć lat od niego starsza, więc zaliczanie ich do różnych pokoleń jest z jego strony sporym nadużyciem.

– Owszem, ale teraz wcześniej zaczyna się eksperymentować, więc organizm się przyzwyczaja – wyjaśnił Pepe. – Poza tym od tego ponoć są tacy szczupli...

– Hmm, w takim razie koniecznie zapytaj kolegę, jak to się nazywa – poprosiła Róża, która mimo wypróbowania w ciągu ostatnich trzech lat gdzieś tak około setki magicznych diet ciągle walczyła z kilkoma nadprogramowymi kilogramami. Czyniła to zresztą bez specjalnego przekonania, bo na szczęście owa mała nadwaga uprzejmie znalazła sobie miejsce głównie w jej biodrach, biuście i pupie, czyniąc z niej ideał kobiecości w stylu Marylin Monroe, ewentualnie Wenus z Milo, które, jak wiadomo, anorektyczkami zdecydowanie nie były. – A wracając do tego cholernego sabatu, to mowy nie ma, żebym tam pojechała. Zapomnij! Wiesz, że beznadziejnie czuję się wśród innych pisarek. Prawie żadna z nich nie jest normalna. Albo mają depresję, albo pierdolca. Nawijają na zmianę o swoich książkach, chorobach, fobiach, mężach, kochankach i wydawcach. Nie wiem, co jest bardziej przygnębiające. Już prędeż wołałabym drugi raz jechać na to coś, na czym zasnąłam! Tam przynajmniej było ciepło i można było się opalać nago na dachu hotelu. Co to było...?

– Masz na myśli Sewillę? Międzynarodowe sympozjum naukowe na temat roli literatury erotycznej w edukacji seksualnej – przypomniał cierpliwie Pepe. – Zasnąłaś na wykładzie EL James i zachowywałaś się nie lepiej niż te twoje wielbłądy...

– Bo to było śmiertelnie nudne, a poza tym z tego, co pamiętam, byłam zmęczona po locie... – odparła niepewnie Róża. – I chyba jakoś źle się wtedy czułam.

– Niezupełnie. – Pepe zawsze szczyił się tym, że ma pamięć jak słoń i potrafi podać najdrobniejsze szczegóły każdego wydarzenia, w którym brał udział bez mała od chwili swojego urodzenia. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że czasami też mijał się z prawdą, bazując na tym, że inni, na czele z jego pracodawczynią, zachowywali się tak, jakby chorowali na zaawansowaną

demencję. – Sympozjum było drugiego dnia po locie, więc zdążyłabyś spokojnie odpocząć. Ale nie! Poszłaś zwiedzać miasto i poznałaś jakiegoś nastoletniego Gonzalesa z irokezem na głowie i w podartych dżinsach. Umówiłaś się z nim na wieczór na jednego drinka, po czym wróciłaś do hotelu o trzeciej nad ranem, chwiejnym krokiem i ze śpiewem na ustach. A potem przez resztę pobytu drżałaś, że cię policja przymknie za uprawianie seksu z nieletnim.

– A, faktycznie, już mi się przypomniało. – Róża odetchnęła, a na jej twarzy pojawił się nieco dwuznaczny uśmiezek. – Wcale nie był taki nieletni. Niektóre części ciała miał już bardzo rozwinięte. A nawet bardzo, bardzo...

– Nawet nie chcę tego słuchać! – Pepe demonstracyjnie, acz tylko na chwilę, zatkał uszy palcami. – Teraz przynajmniej nie będzie ci groził prokurator, bo impreza odbywa się w jakimś starym dworku pod Krakowem i nie ma tam w okolicy żadnych bardzo, bardzo rozwiniętych żigolaków. Przez ostatnie lata ten dworek niszczał, a teraz kupił go jakiś inwestor i chce z tego uczynić salon kulturalny Małopolski czy coś równie niedorzecznego. To będzie jedna z pierwszych imprez. Przygotuj się na marmury, kelnerów we frakach, platynową zastawę, lustra w złotych ramach i portrety hrabiowskich rodzin na ścianach. Z tego, co wiem, zaproszono prawie same kobiety. Jeśli będzie się tam pałętał jakiś męski element, to co najwyżej w charakterze osób towarzyszących, więc pod kontrolą swoich lubyh. Tak czy siak przepadło. Musisz tam jechać, bo obiecałem to organizatorom. I chyba już nawet coś podpisałem w twoim imieniu. Poza tym nie zapowiada się tak źle. Większość ludzi, którzy też tam będą, jako tako znosisz...

– Na przykład kogo? – zapytała Róża, która ogólnie bardzo lubiła ludzi, ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy kupowali jej książki, ale do przyjaźni z innymi literatami i literatkami miała wyjątkowego pecha. Na samym początku swojej trwającej już piętnasty rok przygody z pisaniem poznała kilka cudownych, jak jej się wtedy wydawało, koleżanek po piórze, szybko jednak się okazało, że żadna nie nadawała się na przyjaciółkę. Pierwsza oskarżyła ją o plagiat i to tylko dlatego, że Róża akcję swojej książki umieściła na Krecie, o której jej koleżanka, jak to potem głosiła w wywiadach, „wiele razy jej opowiadała”. I nic to, że Krull odmalowała tę wyspę jako raj na ziemi, krainę miłości i miejsce miodem i mlekiem płynące, podczas gdy w powieści jej teoretycznej przyjaciółki był to „jeden wielki syf, wypełniony wiecznie nawalonymi śmierdzącymi Angolami, zasuszonymi jak mumie starymi Niemrami i ruskimi nowobogackimi tipsiarami”. Oskarżenie poszło w świat i Róża musiała się długo bronić przez opinią plagiatorki. Druga „przyjaciółka” uwiodła jej ówczesnego narzeczonego, po czym na domiar złego przekonała go do małżeństwa, choć ów u boku Róży głosił zawsze, że „prędzej Nergal zostanie wokalistą Arki Noego, a Beata Tyszkiewicz zatańczy na rurze, niż on się da zaobrączkować”. I wreszcie trzecia najpierw namówiła ją na „szczerę

babskie zwierzenia przy lampce wina”, następnie upiła w zimnego trupa, a potem z satysfakcją doniosła ich wspólnemu wydawcy, że „Róża nazywa go kutwą, tudzież twierdzi, że jest kryptogejem i dlatego, żeby wszystkich zmylić, ożenił się z pierwszą lepszą, która na niego poleciała, bo sama przypomina szympansię i nikt inny by jej nie chciał”. W wyniku owego donosu wydawca odłożył premierę już zaakceptowanego do druku kryminału Róży, mściwie przy tym zaznaczając, że nową datą pojawienia się owej powieści będzie dzień, kiedy „jego żona zejdzie z drzewa”. Po tym ostatnim doświadczeniu pisarka ostatecznie zrezygnowała z szukania przyjaźni w świecie literackim. Swoje koleżanki po fachu traktowała uprzejmie, ale na wszelkie próby zamiany znajomości w przyjaźń reagowała alergicznie.

– Będzie na przykład Miłka Wężowska – podsunął Paweł.

– No dobrze, ją faktycznie lubię. – Róża odetchnęła. – Nie mogłabym dzielić z nią pokoju?

– Nie, bo Miłka jak zawsze będzie mieszkać z Julią Kulicką – wyjaśnił Paweł.

Róża gniewnie pufnęła.

– Wyglądają jak żeński odpowiednik Flipa i Flapa – mruknęła.

– To było wredne. – Pepe pokiwał potępiająco głową. – Nawet jeśli masz trochę racji...

– Poza tym one nie pasują do siebie też i charakterami... – Róża się zamyśliła. – Miłka jest zawsze uśmiechnięta, pogodna, rozgadana. A ta cała Julia to jakaś straszliwa mimoza. Z reguły wygląda tak, jakby trzy sekundy wcześniej ktoś rozjechał jej kotka. Z drugiej strony Miłka mówiła mi, że ona kiedyś była inna. A znają się długo. Ponoć tak mniej więcej pięć lat temu Julia przeżyła jakąś traumę. Miłka nigdy nie chciała mi powiedzieć, co takiego się wydarzyło, i odniosłam wrażenie, że sama tego też po prostu nie wie albo też wmówiła sobie, że coś się stało, żeby usprawiedliwić zachowanie swojej przyjaciółki. Ja w każdym razie niezbyt dobrze znoszę jej towarzystwo. Nie cierpię ponuraków. A Julii chyba nigdy nie widziałam nawet z cieniem uśmiechu. Podobnie żałobne są jej książki. Pięć stron i zaczynasz się zastanawiać, czego lepiej poszukać. Żyletki, żeby się pociąć, czy sznura, żeby się powiesić...

– Nie znam kobiety, ale z twojego opisu wygląda na szalenie atrakcyjną – zauważył Pepe. – Nie wiem, czy się z miejsca nie zakocham. Poza tym przyjedzie Olka Nosicka. I Grażyna Winnik...

– Hmm, to przynajmniej będzie dobra zabawa – zgodziła się Róża. – Mam tylko nadzieję, że nie wpadną znowu na pomysł zrobienia karaoke jak rok temu na jakimś przyjęciu, na które też mnie wypchnąłeś przemocą. Jakoś na trzeźwo i bez tego tam Marquesa...

– Gonzalesa – poprawił Pepe. – Mogłabyś przynajmniej pamiętać, z kim

uprawiasz tarło!

– Zaraz tarło... – zaprotestowała bez przekonania Róża, która tak naprawdę nijak nie mogła sobie przypomnieć, co zaszło w czasie jej nocnej przygody z przystojnym Hiszpanem. Ostatnie, co pamiętała, to jego zapewnienie, że w knajpie, do której ją zaprowadził, podają bardzo słabe drinki i piąty „Sex On The Beach” na pewno im nie zaszkodzi. – No więc bez tego Gonzalesa śpiewanie nie wychodzi mi tak dobrze. Leć dalej z tą listą gości. Kto następny?

– Trzy blogerki, który wygrały konkurs na spotkanie ze swoimi ulubionymi pisarkami, i to chyba wszystko... Tak mi się przynajmniej wydaje...

Pisarka spojrzała na niego uważnie. Pepe uciekł wzrokiem, po czym sięgnął do kieszeni džinsów po komórkę, udając, że dostał SMS-a.

– Coś kręcisz – zawyrokowała Róża z niesmakiem.

Paweł oderwał wzrok od telefonu.

– Czemu tak twierdzisz? – zapytał.

– Bo tobie nigdy się nie wydaje – powiedziała pisarka. – Albo coś wiesz, albo nie. Więc teraz po prostu próbujesz przede mną coś ukryć.

– Oj tam, oj tam... – usiłował zbagatelizować sprawę Paweł, ale pisarka pokręciła głową, zaciskając usta w grymasie pełnym potępienia.

– Tym razem ci się nie uda – oświadczyła stanowczo. – Kto jeszcze tam będzie?!

– Nikt...

– Pepe!

– No dobrze, będzie jeszcze Kikhhhhhhh, khe khe khe, Luuuuuunaaaaaa... – Pepe najpierw udał, że złapał go kaszel, a ostatnie słowo dokończył ciszej, nie wypowiadając na głos kończących je sylab. Jego wysiłki nie zdały się jednak na wiele.

– Czy ty powiedziałaś „Kika Luna”?! – zapytała z przerażeniem Róża, łapiąc się jedną ręką za serce, a drugą za głowę i robiąc minę niczym Marta Lipińska w ekranizacji *Nad Niemnem* w chwilach, kiedy „dostawała globusa”.

– Owszem – przyznał z wyjątkową niechęcią Pepe. – Kika Luna. Nie miałem na to wpływu i jeśli cię to jakoś pocieszy, to też dowiedziałem się o tym, kiedy już się zgodziłem. Pewnie jakby organizatorzy od razu mówili, że ją też zaprosili, to nikt inny nie zgodziłby się przyjechać.

– Czyli chcesz powiedzieć, że podstępem wrąbałeś mnie w spotkanie z psychopatką? – rzuciła gniewnie Róża. – Ratunku! Obcięłabym ci premię, gdyby nie to, że i tak ci jej nie dają. Kika Luna, matko pańska...!

Kika Luna była jedną z najbardziej znanych polskich autorek romansów oraz postrachem całego świata literackiego. O jej nadętym do monstrialnych rozmiarów ego, żądaniach godnych Jackie Collins czy jakiejś innej amerykańskiej gwiazdy pióra, szalonych pomysłach oraz karczemnych awanturach, jakie urządzała

wszystkim, od wydawców począwszy, a na organizatorach spotkań i bibliotekarkach skończywszy, krążyły legendy przekazywane sobie z pobladyłych ze zgrozy ust do ust. Już przy okazji premiery swojej drugiej powieści Kika, po sukcesie pierwszej książki uważająca się za gwiazdę pokroju Maryli Rodowicz czy Krystyny Jandy, zażądała od wydawcy rozłożenia przed nią w warszawskim empiku czerwonego dywanu, twierdząc, że nie będzie chodziła po posadzce zabłoconej wcześniej przez plebs, oraz rozpalenia wzdłuż niego pięćdziesięciu żółtych świec. Swoim niemożliwym do opanowania jazgotem oglupiała najpierw wydawcę, a następnie sympatycznego chłopaka, odpowiedzialnego za organizację spotkań w empiku, który spełnił jej żądania, łamiąc tym samym wszelkie możliwe przepisy przeciwpożarowe. Ukoronowaniem tak przygotowanego wieczoru było pojawienie się Kiki w ogromnym kapeluszu, w którym swoim zdaniem prezentowała się niczym Kate Winslet w *Titanicu*, a który we wszystkich innych wzbudził skojarzenia z donicą na palmę, nałożoną na głowę do góry nogami, oraz sukni z długim, szerokim trenem, jak zawsze trzeszczącej w szwach i sprawiającej takie wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować. Ponieważ Luna weszła do empiku z właściwym sobie impetem, jej powłóczysty, ciągnący się po ziemi tren z miejsca przewrócił kilka świeczek, co mało nie doprowadziło do tragedii. Na szczęście pożar zdołano w porę ugasić, a w jego wyniku zniszczeniu uległa jedynie część biografii zagranicznych polityków, których to arcydzieł i tak nikt nie kupował. Potem Kika zasłynęła z wydawania „czwartkowych obiadków literackich”, na które rozsyłała zaproszenia do wszystkich topowych pisarzy i pisarek. Kiedy tylko któreś z nich śmiało jej odmówić albo też nie wyrazić zachwyty nad jakimkolwiek aspektem imprezy, z miejsca się obrażała. W ten sposób w ciągu roku pogniwiała się prawie na wszystkich autorów. Zresztą ku olbrzymiej uldze swoich gości, po cichu dzielających opinię znanego twórcy literatury fantasy, który po kolacji u Kiki napisał na swoim Facebooku, że uczestniczył w „pretensjonalnej stypie, na której podano mu trzy świderki na zgniłym mchu” i dodał, że „po tak wątpliwym menu musiał potem lecieć do makdoka i dopchać te frykasy hambuksem”. Po tej druzgoczącej recenzji i w obliczu wizji braku gości, na których się jeszcze nie obraziła, Luna odpuściła sobie próby zostania żeńską wersją króla Stasia. W zamian jednak postanowiła zyskać opinię symbolu polskiej literatury za granicą. W związku z tym skorzystała z zaproszenia od swoich krewnych, mieszkających w Dublinie w pobliżu polskiej ambasady, i zaczęła tam bałamucić polskiego attaché kulturalnego, nachodząc go, jak się jej wydawało, ku jego ogromnemu zachwytowi, codziennie w porze obiadowej. Przerażony urzędnik, chcąc, żeby Kika i jej coraz bardziej przerażające nakrycia głowy jak najszybciej zniknęły mu z oczu, użył swoich wpływów i znalazł wydawcę, który zgodził się przetłumaczyć i wydać jedną z jej książek. Na uroczystą premierę, określaną przez pisarkę jako „najważniejsze wydarzenie w Irlandii od czasu separacji z Wielką Brytanią”

i odbywającą się w jednej z dublińskich księgarni, Kika zaprosiła kilkoro polonijnych dziennikarzy, po czym w czasie przygotowywania zaproszeń jakimś cudem pomyliła datę owego wiekopomnego wydarzenia. Takim sposobem sprawiła, że na przedstawicieli mediów zamiast bankietu z szampanem i kawiozem czekała zamknięta na cztery spusty księgarnia oraz obudzony z błogiego snu i w związku z tym wściekły jak sto diabłów irlandzki cieć. Ten, nagabywany o imprezę, najpierw wpuścił dziennikarzy do środka, a potem zamknął na skobelek w lodowato zimnym pomieszczeniu służbowym, po czym wykrzyczał, że dzwoni na policję, bo mu tu „Polacy na okrągło się szwendają i kradną”. Nawet jednak taki blamaż nie powstrzymał Luny przed ogłoszeniem, że impreza była ogromnym sukcesem, a ona za swoje zasługi dla kultury i ojczyzny powinna dostać Order Orła Białego albo jakiegoś tam innego szlchetnego ptactwa. Wszystkie tego typu ekscesy uchodziły jej jednak na sucho, bo mimo swojego zbiegowania pisała całkiem niezłe i cieszące się popularnością książki. Była więc dla wydawców smacznym kąskiem, choć żaden z nich nie wytrzymał z nią dłużej niż dwa lata, a ostatni poczuł się po tym czasie tak wykończony psychicznie, że zamknął firmę i przetrzasnął się na kontraktowanie buraków cukrowych. Oświadczył przy tym, że współpraca z Kiką nauczyła go, że najważniejszy w życiu jest święty spokój oraz że burak przynajmniej nie nosi kapeluszy i nie żąda, aby jego podobizną ozdobić Pałac Kultury i Nauki.

– Demonizujecie tę Kikę. – Głos Pawła przerwał Róży rozpamiętywanie szaleństw jej koleżanki po fachu. – Poznałem ją i zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie...

– Może była pijana – podsunęła Róża. – Ona lubi zaglądać do kieliszka. Jak była rok temu na targach w Krakowie, to się tak udziudźgała, że na pytanie taksówkarza, dokąd ma ją zawieźć, odpowiedziała, że pod pomnik Neptuna, bo jest jej ideałem mężczyzny i chce sprawdzić, czy to, co ma pod listkiem figowym, też spełnia jej oczekiwania. Akurat w tym pragnieniu nie jest odosobniona, bo tego biednego Neptuna na okrągło ogałają z jedynej odzienia. Ponoć magistrat ma na wszelki wypadek przygotowanych każdego sezonu kilkanaście zapasowych odlewów listka figowego, żeby na bieżąco je uzupełniać i żeby bóg nie gorszył nieletnich, dewotek i prawicowych posłanek. Taksówkarz jeszcze ją dopytał, czy aby na pewno ma jechać do Gdańska, więc nakrzyczała na niego, że zadaje jej niedorzeczne pytania i żeby się pospieszył, bo Neptun na nią czeka z erekcją pod listkiem. Dopiero w okolicy Częstochowy wytrzeźwiała na tyle, że kazała mu zawracać. Jak jest pijana, to ponoć bywa całkiem miła. Zwłaszcza dla facetów...

– To może będzie miła i tym razem? – powiedział optymistycznie Pepe. – Myśl pozytywnie...

– Skoro mówisz, że zaproszono głównie kobiety, to raczej nie ma na to szans – mruknęła Róża. – Przy kobietach jej idiotyzm zawsze ma tendencję zwyżkową.

– Można ewentualnie napuścić na nią Grzegorza Kąciszewskiego – zaproponował Paweł. – Też będzie. Przez jeden tylko dzień, ale zawsze...

– No to dopiero znalazłeś symbol seksu – prychnęła Róża. – Mały, łysiejący, pękaty i z twarzy podobny do starego buldoga. Faktycznie, istny Brad Pitt! Żadna kobieta by na niego nie poleciała. No, chyba że niewidoma i bez czucia w palcach...

– A ja słyszałem, że zanim został wydawcą, pracował przez lata w promocji w Natchnieniu i że jego zadaniem było obłaskawianie autorek, które miały o coś focha – zdziwił się Pepe. – I gdy na przykład przychodziła taka Anna Sakuła, żeby z jakiejś przyczyny wypowiedzieć umowę, to on był ostatnią deską ratunku. Zamykał się z nią w gabinecie i raczył tekstami typu: „Pani Aniu, wygląda pani dziś w tych perłach tak seksownie, że ledwo się hamuję, żeby ich z pani nie zerwać zębami!”, po których Sakuła wychodziła cała podniecona i z umową podpisaną od razu z góry na pięć lat do przodu.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – odparła Róża, próbując czym prędzej pozbyć się sprzed oczu opisywanej przez jej asystenta sceny, tudzież czując, że straciła przez nią ochotę na seks na najbliższych kilka dni. – I zapewniam cię, że Kika nie będzie chciała na tego nedorobionego krasnala nawet spojrzeć. Poza tym widziałeś kiedyś jej męża?!

– Nie – przyznał Pepe – ale słyszałem o nim co nieco. Ponoć niezłe z niego ciacho...

– Ciacho to mało powiedziane... – rzekła Róża rozmarzonym głosem. – Były siatkarz, wysoki, barczysty, z męską twarzą, taka nieco starsza kopia Roberta Lewandowskiego. A do tego inteligentny, z poczuciem humoru, szarmancki i kulturalny. Mówię ci, ideał!

– I jest z Kiką...? – zdumiał się Pepe. – Dlaczego?!

– Tego nie wie nikt. – Róża pokiwała głową, doskonale rozumiejąc zaskoczenie swojego asystenta. – Ich związek zawsze był dla wszystkich zagadką. Taki facet mógłby mieć każdą piękność świata, a wybrał właśnie ją i nikt nie wie dlaczego. Nie dość, że jest od niej młodszy, to jeszcze fizycznie kompletnie do siebie nie pasują, charakterologicznie też, a do tego ona traktuje go na zasadzie „przynieś, wynieś, pozamiataj”. A on wodzi za nią rozkochanym wzrokiem i spełnia wszystkie jej życzenia, jakby był jakimś średniowiecznym rycerzem, a ona bladolicą piękną księżniczką. Gdyby kazała mu zabić żubra, to natychmiast pobiegłby po jakieś narzędzie zbrodni. Halabardę albo coś w tym stylu...

– Halabardą to można co najwyżej poszatkować kapustę – powiedział Pepe z politowaniem. – Jako autorka kryminałów powinnaś mieć obcykane narzędzia mordu. A poza tym żubry są pod ochroną.

– Pomyliłam się – przyznała Róża. – Nie żubra, tylko tego drugiego z rogami, jak mu tam...?

– Smoka? – podsunął uczynnie Pepe.

– Sam jesteś smok – zniecierpliwiła się Róża. – Wiem! Tura!

– Tury wybito już dawno temu, nie trzeba ich już zabijać. – Pepe spojrzął na nią potępiająco, po czym wrócił do głównego wątku. – Od jak dawna oni są razem?

– Poznali się półtora roku temu, a ślub wzięli jakoś tak na początku tego roku – odparła Róża. – Były plotki, że Kika kazała mu podpisać intercyzę...

– Jak to?! – Pepe zrobił wielkie oczy. – Intercyzę? To coś takiego jeszcze się praktykuje? Myślałem, że to zwyczaj, który umarł jakieś dobre sto lat temu...

– No coś ty, dalej się to praktykuje. – Róża się uśmiechnęła. – Tylko teraz rzadziej używa się tego słowa. Nazywa się to umową przedślubną, albo jakoś tak podobnie.

– Ale po co intercyza? – Pepe nadal nie mógł wyjść ze zdumienia. – Ona zarabia jakiś majątek na swoich książkach? Przecież ty sprzedajesz o wiele więcej od niej, a jakoś nie widzę, żeby cię było stać na prywatny samolot jak Kozidrak albo choćby podwyżkę dla mnie...

– Grzeszysz – skarciła go Róża. – I tak masz ze mną jak w raju!

– Jasne, jak Adam i Ewa z wężem – westchnął Pepe. – Nieważne... Więc o co chodzi z tą intercyzą Kiki?

– Ona pochodzi z bogatej rodziny – wyjaśniła pisarka. – Odziedziczyła po ojcu sieć kantorów. Kiedyś to był całkiem opłacalny biznes, a jej tata dodatkowo prawie wszystkie zarobione pieniądze inwestował na giełdzie. Na początku jej istnienia nazywano go nawet królem tego miejsca. Pieniądze mnożyły mu się w kosmicznym tempie. A potem zachorował, dość poważnie. Miał jechać na kurację za granicę, ale nie zdążył, bo zmarł. Miał sporo krewnych, ale okazało się, że zostawił testament, w którym wszystko zapisał Kice, bo zawsze była jego pupilką. Że niby taka zdolna i artystka, i zawsze tak o niego dbała. Moi zdaniem ona miała go w nosie, a chuchała i dmuchała tylko na jego kasę. Oczywiście z ostatniej woli starszego pana wynikły jakieś niesnaski rodzinne. Zdaje się, że mama Kiki przez kilka miesięcy się do niej nie odzywała. Liczyła pewnie, że coś jej skapnie, a musiała się obejść smakiem, bo oczywiście jej córka nie zamierzała się z nikim dzielić majątkiem. Kantory sprzedała, akcje też i nagle okazało się, że jest milionerką. Rzuciła pracę, przez kilka lat jeździła po luksusowych ośrodkach SPA po całym świecie, potem osiadła w Dublinie, gdzie mieszka jej rodzina. Wyszła za mąż za jakiegoś irlandzkiego przedsiębiorcę, urodziła córkę. Jakieś sześć lat temu wróciła do kraju. Bez męża, z którym się rozwiodła przed wyjazdem, ale za to ze sztucznym akcentem i wkurwiającym zwyczajem wtrącania co parę sekund jakiegoś angielskiego wyrazu dla podkreślenia, że mieszkała długo za granicą. Potem przez kilka lat był z nią spokój. To znaczy, przez cały czas się wygłupiała, ale tylko artystycznie, a prywatnie nic się u niej nie działo. A potem na jakiejś imprezie poznała Dawida. Obiecujący siatkarz, o którego swego czasu były

się wszystkie kluby, z powodu kontuzji wyeliminowany ze sportu i zarabiający na życie jako model i trener personalny. Miesiąc później byli już zaręczeni...

– Cóż za tempo! – zdumiał się Pepe.

– Owszem, dlatego wszyscy podejrzewali, że w grę wchodzi bardziej uczucie do pieniędzy narzeczonej, a nie do niej samej – oznajmiła Róża. – Ktoś z przyjaciół Kiki w końcu jej powiedział, że całe miasto huczy o tym, że jej luby oświadczył się głównie jej kontu bankowemu i że szybko puści ją w trąbę. A ona tylko się uśmieła, po czym oświadczyła, że nie z nią te numery, że miłość miłością, a interesy interesami, że za stara jest, żeby tracić głowę dla jakiegoś playboya, i że kazała mu podpisać intercyzę. W razie ich rozstania Dawid nie zobaczy ani grosza...

– Czyli to jednak prawdziwa miłość? – Paweł nie wyglądał na przekonanego.

– Czy raczej chęć zapewnienia sobie wygodnego życia?

– Licho wie. – Róża podniosła się z kanapy i podeszła do barku. – Chlapiesz coś? Samo wspomnienie Kiki sprawiło, że poczułam chęć na wiśnióweczkę mojej mamy...

– Możesz mi też nalać – poprosił Paweł, który uwielbiał wysokoprocentowe wyroby rodzicielki swojej pracodawczyni – i wyjaśnić, czemu tak alergicznie reagujesz na Lunę. Zrobiła ci coś?

Róża otworzyła butelkę, powąchała trunek, w duchu skonstatowała, że tym razem jej mama pobiła wszelkie rekordy i że zapewne już kilka łyżek tego czegoś, co nazwała „delikatniutką naleweczką”, wystarczy, żeby za kwadrans zasnęli z Pawłem pod stołem, po czym rozlała go do kieliszków. Jeden z nich podała swojemu agentowi, a drugi przez chwilę pottrzymała na wysokości oczu, rozkoszując się krwistą barwą alkoholu.

– Czy coś mi zrobiła...? – powtórzyła pytanie w zamyśleniu. – Nie, raczej nie. Ale wiesz... Tam gdzie pojawia się Kika, zawsze są komplikacje i kłopoty. Ona ma taki dar do robienia zamieszania. A poza tym to jest niedobry człowiek, z natury.

– „Bo to zła kobieta była” – Paweł z uśmiechem zacytował *Psy*. – Wytrzymasz trzy dni, spokojnie...

Róża skosztowała odrobinę wiśniówki, po czym pokręciła głową z nagle zatroskaną miną.

– Mam niedobre przeczucia... – powiedziała poważnie.

– À propos tego, co pijemy? – zapytał Paweł. – Faktycznie, jakiś mamusi dziwny ten trunek wyszedł tym razem...

– Bo ona im jest starsza, tym bardziej zmienia proporcje alkoholu i owoców – wyjaśniła niecierpliwie Róża. – Niebawem będzie dawała jedną wisienkę na litr tego bimbru, który nazywa wódką. Nie, nie o to chodzi... Mam dziwne przeczucia co do tego sabatu czarownic...

– Jeśli tylko znów nie zaśnie w czasie oficjalnej części, to nic się tam nie wydarzy złego – zapewnił ją menedżer. – Zapewniam cię!

I choć Pepe prawie nigdy się nie mylił, to tym razem miał się, niestety, wydarzyć ów jeden wyjątek potwierdzający regułę.

ROZDZIAŁ II

Żółte karteczki

Świeżo odremontowany, wybudowany pod koniec XIX wieku w stylu secesji wiedeńskiej dworek Kopielniki położony był mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów od rogatek Krakowa i robił niezwykle wrażenie. Utrzymany w kremowo-bordowej kolorystyce, miał ponad tysiąc pięćset metrów kwadratowych, na których nowy inwestor urządził dziesięć luksusowych apartamentów, kilkanaście mniejszych pokoi gościnnych, dwie sale seminaryjne, czytelnię z biblioteką, kilka pomieszczeń klubowych, łaźnię ze SPA oraz potężną jadalnię ze stołem na kilkanaście osób, a po rozłożeniu na ponad pięćdziesiąt. Jakby tego było mało, dworek otaczał baśniowy, kilkuhektarowy ogród, z racji wczesnej jesieni ciągle w zenicie rozkwitu. Miejsce zachwyciło Różę tak, że postanowiła już przestać ciosać kołki swojemu agentowi za to, że wrębał ją w tę imprezę, tudzież lżyć go mianem „średniowiecznego kata”. Tym bardziej że Pepe stanął na głowie i dzięki swojemu urokowi załatwił jej jednoosobowy apartament. Pisarka, która miała magiczny dar robienia w dowolnie krótkim czasie bałaganu na modłę stajni Augiasza, była temu bardzo rada, choć i trochę się zmartwiła, bo na miejscu okazało się, że jednak mogłaby mieszkać z Miłką. Julia Kulicka, którą Róża po kilku latach przerwy w ich kontaktach z trudem poznała, przyjechała bowiem z inną swoją przyjaciółką, równie jak ona chudą, szarą i smętną myszką, w dodatku tak bladą na twarzy, jakby ucharakteryzowała się na zabawę halloweenową. W wyciągniętych czarnych swetrach i identycznie uczesanych ciemnych włosach z grzywkami opadającymi na oczy i zasłaniającymi pół twarzy wyglądały jak bliźniaczki. Julia przedstawiła wszystkim swoją

towarzyszkę jako „moją drogą Kornelię”. Róża natychmiast przestała się dziwić melancholii owej niewiasty. Jakby jej dano na imię Kornelia, to pewnie też by się pałętała po świecie w charakterze ożywionej wierzby płaczącej. Sama Miłka wylądowała w apartamencie z Olką Kulicką, autorką komedii kryminalnych, pogodną trzydziestolatką o włosach blond. Kolejny trafił się Grażynie Winnik, rudowłosej, długonogiej seksbombie, od lat cieszącej się opinią najlepszej polskiej pisarki literatury erotycznej. Autorka przyjechała do Kopielnik ze swoim narzeczonym. Jej towarzysz prezentował się tak, że Róża z miejsca obiecała sobie, iż najbliższe trzy dni poświęci na post i umartwianie się, a potem rozszerzy swoją pokutę na pozostałe miesiące, póki nie zrzuci dwudziestu kilku kilo i nie zacznie przypominać swojej koleżanki po piórze. Widać bowiem dopiero figura Małgorzaty Rozenek gwarantuje kobiecie zainteresowanie mężczyzn, którzy wyglądają, jakby wyskoczyli z okładki magazynu „Men’s Health”. „Nic dziwnego, że mną zachwycają się same stare pitekantropy”, skonstatowała w duchu Róża, wgapiając się w narzeczonego Grażyny niczym wygłodniała sroka w okazały gnata i z roztargnieniem przyjmując umizgi witającego ją z wyjątkową wylewnością Grzegorza Kąciszewskiego. „To jest właśnie kwintesencja mojego seksapilu – pomyślała z goryczą pisarka. – Adonis patrzy na mnie jak na starą pralkę, ale za to mam obsłinioną pół dłoni przez jakiegoś karłowatego wypłosza. Pięknie, nic tylko się obwiesić na tym zdobnym żyrandolu. Swoją drogą, ciekawe, gdzie go kupili. Pasowałyby mi do pracowni...”

Listę gości, którzy przyjechali przed Różą do Kopielnik, uzupełniała sprawiająca wrażenie uciekiniarki z domu wariatów pisarka cikliwych romansidel w stylu Mniszkówny Mariella Miszalek, starsza, siwiutka i dobrotliwie wyglądająca autorka biografii gwiazd kina i teatru Katarzyna Skrzypińska oraz trzy wyraźnie speszone i oszołomione przebywaniem wśród swoich idolek blogerki, które przedstawiły się Róży jako Ruda, Dama Karo i Wiola.

– Czekamy jeszcze na panią Kikę – poinformowała pisarkę w drodze do jej apartamentu drobna brunetka, mająca na głowie oszałamiającą burzę loków, a na marynarce granatowego kostiumu plaketkę z napisem „menedżer hotelu”. – Napisała z rana, że trochę się spóźni i dlatego postanowiliśmy przełożyć inauguracyjny obiad i zamienić go w uroczystą kolację...

„I niby przez tę małpę mam teraz chodzić przez pół dnia o suchym pysku?!”, pomyślała Róża, starając się nadać swojej twarzy miły wyraz. Nie udało jej się to chyba najlepiej, bo menedżerka uśmiechnęła się i porozumiewawczo mrugnęła.

– Oczywiście przygotowaliśmy dla państwa zimne przekąski, ale jeśli ktoś będzie chciał, znajdzie się też coś na gorąco – powiedziała uspokajająco. – Nasza kuchnia słynie ze znakomitego menu, a jej szef doszedł prawie do finału MasterChefa. Wymyślone przez niego menu łączy zalety kuchni molekularnej z fusion oraz odrobiną wpływów *nouvelle cuisine*. Polecam zwłaszcza piankę sweet

and sour na bazie new Xanthan albo napařtki kawioru z arbuza w otulinie makaronu z zielonej herbaty.

„I, kurwa, po marzeniu o schabowym”, skonstatowała smętnie w duchu pisarka, czując, że zabiłaby w tym momencie też za solidną porcję pierogów z kapustą i grzybami albo choćby małą goloneczkę z piwem.

– Znakomita jest także owsianka ze ślimaków ze strzemionkami łososia z lukrecją – rozproszyła jej wizję pani menedżer. – To autorski przepis naszego szefa. Rozpływa się w ustach.

„Można się porzygać od samego opisu – pomyślała Róża z obrzydzeniem. – Strzemionka łososia, ja piernicę, czy ten szef to jakiś cymbał?! Ale z drugiej strony Pepe dostałby tu z miejsca orgazmu. Wielkokrotnego!” Owa ostatnia myśl niewątpliwie nie była żadną przesadą. Agent pisarki miał bowiem fioła na punkcie kuchni, a przy okazji słynął z talentu kulinarnego godnego Nigelli Lawson i gdyby Michelin przyznawał swoje gwiazdki nie tylko restauracjom, ale i osobom prywatnym, to Pepe chodziłby pooblepiany nimi niczym witryna centrum handlowego w okresie przedświątecznym. „No, nic, będę musiała dać stąd nogę i skoczyć gdzieś na kebaba, pizzę albo jakiegoś chinola”, pomyślała z rezygnacją.

– Na razie nie jestem specjalnie głodna – zapewniła swoją rozmówczynię. – A jak daleko jest stąd do jakiegoś... sklepu?

„No to błysnęłam dyplomacją...”, pomyślała jednocześnie. Menedżerka popatrzyła na nią z zaskoczeniem i otworzyła drzwi do apartamentu. Pisarka wzięła głębszy oddech, starając się pohamować chęć głośnego gwizdnięcia z wrażenia. W końcu szanowana literatka nie powinna się zachowywać jak jakiś żul. Wnętrze robiło piorunujące wrażenie, choć – co zauważała jedynie mała część gości – stanowiło trochę opozycję do stylu, w którym zbudowany został sam dworek. Róża gościła już w wielu ekskluzywnych miejscach, ale to przebijało wszystko, co do tej pory widziała. Przez chwilę poczuła się tak, jakby ktoś przeniósł ją z XXI wieku prosto do wersalskich komnat Króla Słońce. Ogromne łóżce z baldachimem, bogato zdobione połączanymi motywami liści akantu, wieńców laurowych i girland biurko, szafa, parawan i olbrzymi szezlong, piękny, misternie tkany w roślinny wzór dywan, starannie dobrane złoto-bordowe zasłony, a do tego wielkie lustro w ramie o kształcie połączanej winorośli po prostu odbierały głos. Róża poczuła nagle żal, że nie odwiedziła przed przyjazdem wypożyczalni kostiumów i nie wybrała tam kilku balowych sukien oraz peruki à la madame Pompadour. W swoich ciuchach, kupionych głównie w sieciówkach, nie będzie się czuła gościem, tylko co najwyżej osobą, która przyszła tu posprzątać.

– Znajdzie pani w tym pokoju chyba wszystko – poinformowała pisarkę menedżerka. – Telewizor schowany jest za obrazem, nie chcieliśmy, żeby psuł charakter tego pokoju. Wystarczy wcisnąć guzik przy łóżku, a obraz się przesunie, odsłaniając ekran. Ot, takie połączenie klasyki z nowoczesnością. Jeśli będzie pani

czegokolwiek brakowało, to proszę dać znać. Jeśli chodzi o okolice, to w promieniu trzech kilometrów są jedynie lasy i mokradła. Odosobnienie. To jedyny drobny minus tego punktu. Podobno człowiek, który zbudował to miejsce, był odludkiem. Wykupił nie tylko tych kilka hektarów, na których jest dworek i ogród, ale i cały olbrzymi teren dokoła. I nie pozwolił nic tu postawić. W okolicy zasadził tysiące drzew, a dokoła posiadłości zrobił bagna. Nie chciał, żeby ktokolwiek się osiedlił w pobliżu. Ponoć nie lubił ludzi. Po tym, jak porzuciła go miłość jego życia, zdziwaczał, a w końcu popełnił tu samobójstwo. Ale, spokojnie, nic tu nie straszy. W ogóle nie wiem, ile w tej historii jest prawdy, ale jak pani zauważyła, jadąc tutaj, do dworku prowadzi tylko jedna droga, a dokoła po dziś dzień faktycznie są tylko bagniska. Dlatego ostrzegamy naszych gości, że wychodzenie poza ogrodowy mur może się źle skończyć. Na szczęście nikt się tu jeszcze nie utopił, ale kiedyś jeden z kierowców zjechał trochę z drogi, bo chciał sprawdzić, czy pękła mu opona, a jednocześnie nie zamierzał tarasować dojazdu i o mały włos, a straciłby samochód. Trzeba go było wziąć na hol i wyciągać, bo prawe koło już zaczynało mu tonąć.

– Samotny dom otoczony bagnami. – Róża się wzdrygnęła. – Wygląda to na doskonałą scenę horroru. Choć w sumie też mogłabym go wykorzystać jako miejsce akcji mojego kryminału...

– Ależ proszę bardzo. – Menedżerka się uśmiechnęła. – Jeśli to pani zrobi i pomoże nam się trochę rozreklamować, gwarantuję dożywotnią zniżkę na apartament. Dobrą zniżkę!

– Pomyślę – obiecała Róża, przypominając sobie, że już trzykrotnie umieściła akcję swoich książek w starych pałacykach. Z drugiej strony żaden z nich nie istniał naprawdę i nie oferowano jej tam żadnych promocji, więc może warto zaryzykować raz jeszcze. – A o której ma przyjechać Kika?

– Za jakieś półtorej godziny – odpowiedziała menedżerka, patrząc na zegarek. – Nie przyjedzie sama...

Róża spojrzała na nią pytająco.

– Jej wydawca już tydzień temu poprosił o zarezerwowanie dwóch apartamentów. Jednego dla pani Luny i jej męża, a drugiego dla jej córki, która ma się tu pojawić z narzeczonym. Jutro ma też dojechać jej wizażystka i fryzjer, żeby ją przygotować na sesję fotograficzną, jaką przy okazji pani Kika chce sobie tu zrobić.

„No tak, wizyta rodziny królewskiej. Dobrze, że nie zabrała przy okazji lokaja i pokojówki”, pomyślała pisarka.

– Na razie zostawię panią samą i pójdę powitać pozostałych gości – oznajmiła menedżerka. – Za moment nasz boy hotelowy przyniesie bagaż, może pani też od razu złożyć u niego zamówienie. Albo wykręcić numer do naszego biura, zawsze jestem tam ja lub pan Darek, drugi menedżer. Proszę się odświeżyć

i pamiętać, że kolacja zostanie podana w Sali Audiencyjnej o godzinie dziewiętnastej.

Menedżerka przeszła jeszcze przez pokój, otworzyła znajdujące się tuż przy oknie drzwi, za którymi prawdopodobnie znajdowała się łazienka, pokiwała głową z zadowoleniem, przejechała ręką po kotarach, po czym uściśnęła Róży rękę i wyszła z pokoju. Po pięciu minutach, w czasie których pisarka odkryła, że łazienka ma wielkość przeciętnej stodoły, a w znajdującej się tam wannie mógłby się naraz spokojnie wykapać no może nie szwadron, ale na pewno pluton żołnierzy, nieco zziębnięty sympatyczny blondynek przytaczał jej bagaże. Pisarka sięgnęła po portfel, żeby mu zapłacić, ale ku jej zdumieniu chłopak pohamował ją zdecydowanym ruchem ręki.

– Mam inną prośbę – rzekł wyraźnie spieszący, trochę się czerwieniąc. – Może dałoby radę skrobnąć jakąś fajną dedykację...

Mówiąc to, wyciągnął z tyłu, zza paska spodni nieco sfatygowany egzemplarz *Krwawych zaręczyn*, jednego z pierwszych kryminałów Róży.

– Bardzo lubię pani powieści – wyjaśnił. – I kiedy dowiedziałem się, że pani do nas przyjedzie, pomyślałem, że fajnie byłoby mieć autograf choć na jednej...

Róża zaczęła szukać w torebce długopisu. Jak zwykle miała w niej wszystko, tylko nie to, czego najbardziej w danej chwili potrzebowała. Młodzieniec patrzył na jej staranie cierpliwie, najwyraźniej delectując się każdą chwilą spędzoną ze swoją idolką.

– Pani to musi mieć niezłą wyobraźnię, że tak wszystko w tych książkach logicznie układa – powiedział. Róża skinęła głową, przypominając sobie, że akurat w *Krwawych zaręczynach* udało jej się w cudownie piękny sposób wyłożyć w najbardziej kluczowym momencie powieści, czyli chwili, kiedy jedna z bohaterek, przebywająca ze swoim narzeczonym na wycieczce w rezerwacie indiańskim, pada martwa po wypiciu zatrutego wina. Cholera, wiedziała, że kurara, żeby kogoś zabić, musi trafić do krwiobiegu, a ponieważ nie jest wchłaniania przez przewód pokarmowy, to można jej zjeść nawet pół tony i co najwyżej dostanie się od tego gigantycznej zgagi.

– Różnie to bywa z tą moją logiką – przyznała teraz sprawiedliwie, znajdując wreszcie długopis. – Czasem coś tam mi się palnie bez sensu...

– No ja tego jeszcze nie zauważyłem – zaproponował młodzieniec. – Niech pani napisze, że to specjalnie dla Kuby.

Róża posłusznie zaczęła kreślić dedykację. Nigdy nie umiała ich pisać zwięźle i krótko, a do tego każdemu starała się napisać coś innego, co wywoływało czasem niezadowolenie jej fanów, zmuszonych przy różnych okazjach czekać na podpisanie książki w takich kolejkach, jakie ustawiają się z reguły tylko przy okazji promocji masła i cukru w Biedronce. „U pani to idzie wolniej niż na pocztce. Jestem w siódmym miesiącu ciąży i miałam wrażenie, że zdążę urodzić, zanim

przyjdzie moja kolej”, zauważyła kiedyś kąśliwie jedna z jej czytelniczek i było to najbardziej trafne podsumowanie wysiłków pisarki zmierzających do tego, żeby każdy z jej wielbicieli miał oryginalny wpis w książce.

– Jakby czegoś pani potrzebowała, proszę od razu walić do mnie, zostawię pani numer mojej komórki – oznajmił młodzieniec. – Mogę nawet panią potem oprowadzić po wszystkim. Znam tutaj każdy zakamarek, każdy kąt. Jak byłem mały, to przyjeżdżaliśmy tu z chłopakami i bawiliśmy się w chowanego, podchody albo wojnę. Wtedy ten pałac był opuszczony, pokoje stały puste, zniszczone że aż strach. Niektóre okna nie miały nawet szyb. Wieczorem trochę tu było przerażająco. Planowaliśmy, że kiedyś zostaniemy na noc, ale za każdym razem spenialiśmy. Ale i tak wiem, gdzie są tajne przejścia i kryjówki. Jak teraz to odnowili, większość zamurowali albo zrobili tam jakieś magazyny, ale zostało jeszcze kilka, które znam tylko ja i moi koledzy. Chętnie pani pokażę...

Róża podziękowała mu uśmiechem, myśląc, że może i pomysł umieszczenia w tym miejscu akcji kryminału nie jest taki zły, po czym podała mu książkę. Kuba sięgnął po nią, ale pisarka przez chwilę przytrzymała ją w ręku, patrząc na nią z namysłem.

– Nie kupiłeś jej sam, prawda? – powiedziała wreszcie. – To stare wydanie. Sprzed dobrych dwunastu lat, o ile dobrze pamiętam...

Kuba lekko się speszył.

– No nie – przyznał. – Szczerze mówiąc, przed wyjazdem z domu nie wiedziałem, że pani tu będzie. Bo ja tu już jestem od paru dni. Pomagałem w sprzątanii i przygotowaniach. Jak są jakieś imprezy, to po prostu do mnie dzwonią, pakuję się, przyjeżdżam i jak trzeba, zostaję. To pierwsza taka oficjalna uroczystość, ale wcześniej odbyło się tu już kilka wesel i bib integracyjnych dla pracowników różnych firm. Za pałacem jest taki mały budynek, ponoć kiedyś był tam mały folwark. Teraz zrobili pokoje dla osób, które tu pracują. Nocuję tam ja, kelner, kucharz, dziewczyna, która pomaga w kuchni, sprzątaczkę. Bo my tu wszyscy tak z doskoku.

– I...? – ponagliła go Róża, kierując wzrok na wciąż trzymaną w rękach powieść. – Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Znalazłem w folwarku – odparł Kuba. – Leżała w przedpokoju, tuż przy wejściu, na podłodze. Myślałem, że ktoś ją zgubił, ale zapytałem wszystkich i nikt się nie przyznał. No to ją sobie wziąłem. Co prawda jest w środku trochę podniszczona i miała ponalepiane jakieś karteczki, ale ciągle jest w dobrym stanie. Pomyślałem, że będzie fajnie mieć coś na pamiątkę. Tym bardziej że ja naprawdę uwielbiam pani kryminały. *Człowiek w czerwonym prochowcu* to moja ulubiona książka wszech czasów! Daję słowo!

Róża nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok przejętej miny swojego rozmówcy. Po sekundzie jednak wyłapała w jego wypowiedzi coś, co ją

zastanowiło.

– Jakie karteczki? – zapytała.

– Takie żółte, cienkie, samoprzylepne – wyjaśnił Kuba. – Były w kilku miejscach. Odkleilem je, ale i tak zostawiły ślady, może pani sama zobaczyć.

Otworzył książkę, przerzucił kilka stron, zatrzymał się na jednej i podał pisarce jej dzieło. Róża przebiegła wzrokiem tekst. Opisywał on moment, kiedy to bohaterka w połowie toastu, tuż przed tym, gdy zamierzała wszystkim oznajmić datę swojego ślubu, nagle pada trupem po wypiciu owej nieszczęsnej nietrującej kurary. Róża skrzywiła się lekko, przypominając sobie, że jeden z krytyków przez tę scenę nazwał ją w swojej recenzji „królową kryminalnych cymbalic”.

– Kolejna przyklejona była kilkadziesiąt stron dalej – powiedział Kuba, nachylając się nad trzymaną przez pisarkę powieścią i nerwowo ją kartkując. – O, tutaj...

Róża spojrzała na wskazaną przez swojego towarzysza stronę i poczuła, jak brwi same unoszą jej się ze zdziwienia. Tajemniczy ktoś zaznaczył kolejną wymyśloną przez nią scenę zabójstwa. Tym razem uduszona jedwabnym szalem ginęła przyjaciółka nieporadnie zabitej uprzednio nieboraczki, która nieświadomie mogła naprowadzić policję na trop zabójcy. Róża przypominała sobie, że w *Krwawych zaręczynach* pozbawiła w sumie życia trzy bohaterki, zaczęła nerwowo przerzucać strony w poszukiwaniu kolejnej sceny mordu. Kiedy do niej doszła, poczuła, że po plecach przechodzi jej zimny dreszcz. Wyrażna obwódka po oderwanym pasku samoprzylepnej karteczki zakula ją w oczy.

– Coś nie tak? – zapytał wpatrujący się w nią uważnie Kuba. – Ma pani nietęgą minę...

– Ktoś zaznaczył tutaj sceny morderstw – wyjaśniła pisarka. – Trochę to dziwne...

– I straszne – zgodził się Kuba, po czym nagle jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. – Ale byłby numer, gdyby nagle zaczęły tu ginąć osoby i okazałoby się, że ktoś je morduje tak samo, jak w pani książce! To by była ekscytacja *level maximum!*

– Lepiej się przepluj trzy razy przez lewe ramię – poradziła mu Róża – a ja zaraz znajdę coś niemalowanego i odpukam.

– Eee tam, wszędzie, gdzie jestem, z reguły jest nudno. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się nic niecodziennego – uspokoił ją z uśmiechem, ale i lekkim żalem w głosie Kuba, po czym sięgnął do kieszeni spodni, gdzie brzdęknął mu telefon komórkowy. – O, przyjechała pani, która kazała sobie naszykować w pokoju persymony, co to nikt nie wiedział, co to jest, rozpalić kadzidła i zażądała jakiejś takiej wody mineralnej, że nasz szef kuchni powiedział, że prędzej ją z siebie wysika, niż znajdzie w którymś z pobliskich sklepów. On dobrze gotuje, ale jest strasznym nerwusem. I potem jeszcze krzyczał, że jak ona chce mieć Ritza, to

niech wypierdziela do Paryża i że on ją może na dzień dobry tak kopnąć w zadek, żeby tam doleciała w trzy sekundy.

„Prędzej złamałby nogę...”, przemknęło przez głowę Róży.

– Bardzo pani jest fajna – skomplementował ją Kuba, stojąc już w drzwiach.
– I jeszcze raz dziękuję za autograf i dedykację. Może jeszcze będzie szansa porozmawiać, to by mi pani poopowiadała, jak wymyśla te swoje historie i czy jest w nich trochę prawdy. Kiedyś też chciałem zostać pisarzem, ale chyba nie umiałbym. Do tego trzeba być mądrym, a ja ze wszystkiego w szkole zawsze byłem mierny albo co najwyżej dostateczny...

– Dickens i Orwell nie mieli matury, a przeszli do historii jako wielcy pisarze, więc głowa do góry – pocieszyła go Róża.

– O, to ja przynajmniej mam maturę – ucieszył się Kuba i wyraźnie podniesiony na duchu swoją przewagą nad tuzami angielskiej literatury oddalił się, pogwizdując pod nosem piosenkę *Hej ho, hej ho, do pracy by się szło*.

Róża podeszła do okna, z którego widok roztaczał się na kawałek ogrodu, a w dalszej kolejności na podjazd. To właśnie tam skierowała spojrzenie, aby zobaczyć, jak przystojny brunet otwiera tylne drzwi białego mercedesa, z którego wysiada Kika. W zielono-żółtym poncho w dziwaczne zygzaki, spod którego wystawała jadowicie pomarańczowa sukienka, czerwonych butach, sprawiających z daleka wrażenie gumiaków, i ogromnym bordowym kapeluszu na głowie Luna wyglądała tak, jakby chciała zostać drugim po Wielkim Chińskim Murze widocznym z kosmosu obiektem na planecie. „Pepe powiedziałby, że zwymiotowała na nią tęcza”, pomyślała Róża. Z rozbawieniem popatrzyła jeszcze, jak jej koleżanka po piórze wita się najpierw z menedżerką, robiąc gesty i miny godne brytyjskiej królowej, a potem z nieznanym jej szczupłym, niskim blondynem, zapewne drugim menedżerem dworku. Potem przeniosła wzrok najpierw na męża Kiki, który obserwował swoją żonę z przyklepionym do twarzy, zdaniem pisarki bardzo sztucznym, uśmiechem, a następnie na jej córkę. Lena Pastor patrzyła na matkę z politowaniem pomieszonym z kpina. Za to towarzyszący jej młody, chorobliwie chudy człowiek o długich, czarnych włosach, sprawiających wrażenie farbowanych, miał we wzroku, którym lustrował swoją potencjalną przyszłą teściową, wypisaną taką nienawiść, że Róża aż instynktownie zrobiła krok do tyłu, a po czym zdecydowanym ruchem zasłoniła okno. Przez chwilę stała bez ruchu, usiłując zebrać myśli, po czym podeszła do wielkiego łoża i usiadła na jego skraju, ignorując walizki, które teoretycznie powinna teraz rozpakowywać. Coś tu nie grało... Zamiast beztrąsko rozkoszować się wizją pobytu w luksusowym miejscu, godnym przyjmowania koronowanych głów, Róża czuła irracjonalny niepokój. I nijak nie mogła się go pozbyć. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer swojego agenta, licząc na to, że rozproszy jej wątpliwości, a raczej, jak to z reguły miał w zwyczaju, nakrzyczy na nią, żeby przestała dziwaczeć i wymyślać jakieś

kocopały. Jego pohukiwania działały czasem na nią bardziej zbawiennie niż najlepsza psychoterapia. Przeczekała kilka sygnałów, aby usłyszeć uprzejmy damski głos, zachęcający ją do pozostawienia wiadomości w poczcie głosowej. „Typowe, jak go potrzebuję, to drań pewnie siedzi w kuchni i wymyśla jakieś makagigi albo inne cycki-murzynki”, pomyślała, czując, że na samo wspomnienie Pawłowych łakoci robi się wściekle głodna. Wstała z łóżka i podeszła do stolika, na którym pod przykryciem czekały na nią minikanapeczki oraz urocze maleńkie babeczki z kremem waniliowym i porzeczkami. Nalała sobie wody do szklanki, wzięła jedną z kanapeczek i spojrzała w lustro.

– Jesteś głupią histeryczką, Rózo – powiedziała głośno do swojego odbicia, po czym patrząc na nowe uczesanie, określone przez jej fryzjera jako „wariacja na temat Sharon Stone”, dodała: – I wyglądasz jak klon Donalda Trumpa, dziewczyno.

Ale w sercu nadal czuła niepokój.

ROZDZIAŁ III

Niedokończona kolacja

Prawie wszyscy uczestnicy zjazdu stawili się przed jadalnią już kwadrans przed kolacją. Drzwi ciągle były jednak zamknięte, ale w korytarzu na zgromadzonych czekały kieliszki z winem, roznoszone przez jednego z dwóch zatrudnionych we dworku kelnerów. Ponieważ większość gości albo była ze sobą zaprzyjaźniona, albo znała się z widzenia, od razu zrobiło się gwarno. Róża, która bohatersko zwalczyła „Trumpa”, zczesując włosy na gładko do tyłu i trochę tapirując ich końcówki, poszukała wzrokiem Miłki, która zawsze poprawiała jej humor. Wzięła od kelnera kieliszek i podeszła do swojej koleżanki, która w jednej ręce trzymała drinka, a w drugiej prawie już w całości zjedzonego snickersa XXL.

– Niezły spęd, prawda? – powitała ją Miłka z uśmiechem. – Licho wie, po co zorganizowany, ale przynajmniej przez kilka dni nie będę się frustrowała, że setny raz oglądam *Gotowe na wszystko*, zamiast pisać nową książkę. Gdyby mój wydawca wiedział, w jakim tempie ją tworzę, to dostałby zawału. A jakby go ewentualnie odratowali, to zatrudniłby Ukraińców, kazał im mnie porwać i trzymać w piwnicy o chlebie i wodzie, póki nie oddam mu gotowej powieści. A co u ciebie?

– Mniej więcej to samo – Róża westchnęła – tak jak ty powinnam pisać i mi się nie chce. Ale przyjeżdżać tutaj też mi się nie uśmiechało...

– Doskonale panią rozumiem – powiedziała cicho Julia Kulicka, podchodząc do nich wraz ze swoją smętną przyjaciółką. – Właśnie przed chwilą mówiłam mojej drogiej Kornelii, jak bardzo stresują mnie takie spotkania...

Jej przyjaciółka skinęła głową z taką miną, jaką ma osoba potwierdzająca najbliższym krewnym wiadomość, że nikt z ich bliskich nie przeżył katastrofy

lotniczej.

– A gdybym wiedziała, w jakim gronie się znajdę, to nie przekonałoby mnie nawet to, że mam tu dostać nagrodę i w związku z tym pieniądze – kontynuowała Julia smętnie. – U mnie ostatnio krucho z finansami. Ale w sumie nagrody też mnie zawsze onieśmielają. Mój wydawca powiedział jednak, że powinnam się przełamać i choć na kilka dni wyjść z domu. Od kilku lat prawie go nie opuszczam...

„Nagrodę? Hmm... Brzmi znajomo”, pomyślała Róża, wylapując zaskoczone spojrzenie Miłki. Czyżby wszystkie miały tu dostać jakieś wyróżnienia...?

– I to w ogóle takie dziwne – wtrąciła nagle Kornelia. – Całe to spotkanie, jest w nim coś podejrzanego... Och...

Trącona przez przechodzącego męża Kiki Kornelia lekko się zachwiała i prawie wylała na Miłkę wino z trzymanego przez siebie kieliszka. W ostatniej chwili zdołała przechylić kieliszek tak, aby jego zawartość rozlała się tylko na podłogę.

– *Ouuuu, I'm so sorry...* – powiedział z zabójczym uśmiechem mężczyzna, którego dziewięć kobiet na dziesięć uznałoby za boga seksu i ucieleśnienie swoich marzeń, a dziesiąta do razu zawlokła do łóżka. – To znaczy, oczywiście, przepraszam bardzo. Ciągle zapominam, że jestem w Polsce. Panie pozwolą, bo chyba się nie znamy, Dawid Dumowski.

Róża, która właśnie doszła do wniosku, że dałaby mu się oblać winem w całości, a nawet mogłaby się razem z nim w tym winie wykąpać, podała mu rękę. Mąż Kiki pocałował ją, ale, co pisarka odnotowała z ogromnym rozczarowaniem, nawet na nią nie spojrzał. Musnął jeszcze ustami dłoń Miłki, która będąc z krwi i kości zatwardziałą feministką i niezbyt lubiącą takie gesty, ponad jego głowę zrobiła do Róży minę wyrażającą dość dobitnie myśl: „a spieprzaj, dziadu!”, po czym objął za ramię Kornelię.

– Czy naprawdę nic się nie stało? – zapytał z troską. – Pani pozwoli, że zamówię dla niej jeszcze jeden kieliszek wina. No i trzeba coś zrobić z tą kałużą. Panie Marcynie! Proszę tu podejść, przydarzył nam się mały wypadek...

Przyzwany kelner najpierw usłużnie zamienił kieliszek w dłoni Kornelii z pustego na pełny, a następnie zajął się zmywaniem rozlanego wina. Mąż Kiki w tym czasie zdążył zabrać swoje towarzyszki do przeciwległego kąta sali, gdzie, jak się okazało, można było usiąść na kiepsko oświetlonych i przez to nieco zakamufLOWANYCH sofach.

– Menedżerowie tego miejsca cenią sobie punktualność – wyjaśnił z czarującym uśmiechem, a ten sprawił, że Róża natychmiast zastąpiła nim George'a Clooneya na liście mężczyzn, których chciałaby uwieść przez śmiercią – w każdą stronę, więc nie ma co liczyć, żeby otworzyli jadalnię choć sekundę przed kolacją. Mogą więc panie spokojnie jeszcze chwilę posiedzieć, a ja je przeproszę

i pójdę sprawdzić, czy moja szanowna małżonka jest już gotowa i nie potrzebuje pomocy.

– Skąd ona go wytrzasnęła? – powiedziała ze zdumieniem w głosie Miłka. – Co za facet...! To znaczy subiektywnie to on nie jest w moim typie, bo, jak wiesz, wolę bad boyów. Choć jakby mu odjąć tę straszliwą opaleniznę, w której wygląda, jakby nadużył podkładu Chanel, dodać kilka tatuaży i zmusić do tego, żeby przez kilka dni się nie golił, to może nawet bym na nim zawiesiła oko...

– Ja zawieszam i z chanelem, i bez tatuaży, i jak jest gładki – oznajmiła rozmarzonym tonem Róża. – Natychmiast...

Miłka spojrzała na nią uważnie.

– Kiedy miałś ostatnio seks? – zapytała, zmrużywszy oko. – Przy czym od razu zaznaczę, że jako seks nie wlicza się fantazjowania o listonoszu, otarcia o sąsiada z piętra niżej oraz oglądania w telewizji Krzysztofa Ibisza...

Róża zrobiła oburzoną minę.

– Już nigdy nic ci więcej nie zdradzę! – powiedziała z wyrzutem. – Listonosz zmienił pracę i teraz przychodzi taki, który wygląda jak stara zagłodzona koza. Sąsiada z piętra niżej zamknęli w mamrze, bo ocierał się nie tylko o mnie, ale i o nieletnie dziewczynki w pobliskim parku. A Ibisza skreśliłam, bo wygląda już tak młodo, że wszyscy by go brali za mojego syna. A za kilka lat pewnie za wnuczka...

– Aż tak źle nie jest. – Miłka się uśmiechnęła. – Wracając jednak do naszego przystojniaka, to subiektywnie nie rozumiem, co robi z tym pretensjonalnym babsztylem...

– Może ktoś mu wmówił, że jak ją pocałuje, to ona się zamieni w supermodelkę – podsunęła Róża – a tu dupa, proszę pani. Całuje i całuje, i całuje, a baba ciągle wygląda jak otyły koczokodan...

– Basia to bardzo szlachetna osoba – odezwała się nagle Kornelia, jak na siebie dość stanowczym tonem. – Naprawdę nieładne z waszej strony, że tak ją obgadujecie. Nawet jej dobrze nie znacie!

Zaskoczona Róża w pierwszej chwili nie skojarzyła, kogo dotyczy jej okrzyk, i potrzebowała dłuższej chwili, aby uzmysłwić sobie, że Kika Luna tak naprawdę nazywa się Barbara Gołąb. Na początku swojej przygody z literaturą uznała jednak, zapewne słusznie, że z takim nazwiskiem nie robi kariery. Wymieniła je więc na brzmiące bardziej oryginalnie i jej zdaniem zapadające w pamięć, a akcję swoich pierwszych dwóch powieści umieściła w Hiszpanii, gdzie „Kika” jest popularnym zdrobnieniem imienia Francesca.

– Przecież tylko żartujemy... – próbowała się bronić, ale Kornelia patrzyła na nią i Miłkę z oburzeniem.

– To przestańcie, przynajmniej przy mnie! – rozkazała Kornelia. Julia uczyniła w jej stronę uspokajający gest.

– Kika bardzo nam kiedyś pomogła i Kornelia ma jej dużo do zawdzięczenia – wyjaśniła. – Bardzo przepraszam za jej reakcję. Kornelio, moja droga, musisz ochłonać. Chodźmy, trochę się przejdziemy po świeżym powietrzu...

Wzięła przyjaciółkę za rękę, wstała z sofy i szybkim krokiem przeszła w stronę drzwi wejściowych dworku. Otworzyła je i wyszła na ganek. Kornelia posłusznie podreptała za nią. Róża bezradnie spojrzała na Miłkę.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytała zdziwiona.

– Nic poza tym, że ludzie psychicznie chorzy dobierają się w pary. – Miłka wzruszyła ramionami. – Niech oni wreszcie otworzą tę jadalnię, bo jestem o włos od skonsumowania kelnera!

W tym samym momencie, tak jakby ktoś usłyszał jej groźbę, otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich ów niski, szczupły blondyn, który wraz z menedżerką witał kilka godzin wcześniej Kikę Lunę i jej rodzinę.

– Witam państwa, nazywam się Dariusz Kapica i wraz z moją koleżanką Jolantą Stępień mam zaszczyt zaprosić wszystkich na uroczystą kolację, inaugurującą nasze spotkanie – oznajmił podniosłym i, jak na tak niepozornego mężczyznę, zaskakująco tubalnym głosem. – Na stole rozstawione są wizytówki z nazwiskami każdego z was, proszę je odnaleźć i usiąść na wskazanym miejscu. W czasie kolacji opowiem państwu o programie naszej imprezy i atrakcjach, które przygotowaliśmy. Zapewniam, że nie będziecie się państwo z nami nudzili. A teraz proszę już do środka!

Róża wstała z sofy i wraz z Miłką przeszła do jadalni. Choć po tym, jak odkryła, że w swoim apartamencie ma zamontowane w oparciu jednego z krzeseł urządzenie do masażu, które włączyło się z nienacka samodzielnie i o mało nie doprowadziło jej do ataku serca, a w łazience LED-owe lampki umieszczone w kranach podświetlają wodę tak, że w zależności od temperatury ma kolor czerwony lub granatowy i na zmianę odnosi się wrażenie, że albo jest to krew, albo denaturat, święcie postanowiła już niczemu się nie dziwić. Jednak na widok sali, w której przyszykowano kolację, znów zrobiła wielkie oczy. Białe ściany zostały bogato ozdobione sztukaterią gipsową, na każdej znajdowało się też potężne kryształowe lustro. Na ścianie vis-à-vis wejścia wzrok przyciągał wielki złoty piec kaflowy z kominkiem zdobionym w motywy roślinne, pięknie kontrastujący z podłogową mozaiką dębową z elementami czarnego dębu. Ukoronowaniem wszystkiego był sufit z ogromnym malunkiem, przedstawiającym antyczną ucztę, oraz kryształowe żyrandole, których wysokość Róża oceniła co najmniej na półtora metra. Na przygotowanym stole, wśród kilku potężnych świeczników, czekały już nakrycia i napoje.

– Teraz już rozumiem strój pani Kasi – szepnęła Miłka, wskazując na najstarszą z zaproszonych pisarek, która tego wieczoru miała na sobie czarno-złotą suknię balową z tafty oraz idealnie do niej pasujący orientalny szal. – Uprzedził cię

ktoś, że tu będzie tak osiemnastowieczny szal ciał?

– Nie. – Róża się skrzywiła, postanawiając przy pierwszej okazji zamienić co najmniej kwadrans życia swojego agenta w piekło. – Najbardziej elegancka rzecz w mojej walizce to, za przeproszeniem, koronkowe majtki.

– Piękne kobiety we wszystkim wyglądają idealnie – usłyszały za sobą miły męski głos. – Tak jak moja ukochana.

Odwróciły się, aby zobaczyć Mateusza Mączyńskiego. Ten uklonił się im i szarmanckim gestem odsunął jedno z krzeseł, tak aby mogła na nim usiąść jego narzeczona. Róża z niejakim żalem zauważyła, że Grażyna nie musiała się wcale stroić, aby wyglądać jak milion dolarów. Szczupła sylwetka i idealnie dopasowana prosta czerwona sukienka wystarczyły, aby prezentowała się jak hollywoodzka gwiazda. „Mogłaby włożyć nawet worek po ziemniakach i nadal byłaby seksbombą”, pomyślała rozgoryczona Róża, siadając przy stole. Miejsce obok niej po lewej stronie zajęła Miłka. Cztery krzesła z prawej strony były puste i pisarka zaczęła mieć złe przeczucia. Jak się okazało słusznie.

– No chyba nie jestem *late*! – Dźwięczny głos, który potoczył się od wejścia po całej ogromnej sali, mógł należeć tylko do jednej osoby. Róża odwróciła się i jej oczom ukazała się Kika. Choć w stylizowanej na barokową biało-srebrnej sukni z nieco niepasującym do niej potężnym kołnierzem à la Elżbieta I, ciągnącym się po podłodze szarosrebrnym trenem i – a jakże! – diademem na głowie prezentowała się jak podstarzała i w dodatku chorująca na puchlinę wodną primadonna kiepskiej opery (Róża postanowiła nawet okiem nie mrugnąć, jeśli zaraz usłyszy z jej ust arię z *Carmen* albo *Aidy*), to paradoksalnie pasowała do tego wnętrza o wiele bardziej niż reszta osób.

– *Sweetie darling*, pilnuj mojego trenu – powiedziała Kika do towarzyszącego jej męża, idąc przez salę na swoje miejsce niczym caryca Katarzyna i lekko kiwając głową mijanym ludziom, jakby faktycznie byli jej poddanyimi. Przystanęła na chwilę jedynie przy Julii Kulickiej, a potem przeniosła spojrzenie na jej przyjaciółkę. Popatrzyła na nie nieco dłużej uważnym wzrokiem, w którym Róża, ku swojemu zaskoczeniu, wyczytała najpierw odrobinę zaskoczenia, a potem szyderstwa. Julia wyraźnie się speszyła i spuściła głowę. Kika uśmiechnęła się i dokończyła swój obchód sali, na końcu sadowiąc się dwa miejsca od Róży. Obok pisarki usiadł mąż Luny. Róża z dużym wysiłkiem opanowała się, żeby nie wpić mu się w usta niczym wampirzyca, która obudziła się po stuletnim śnie, a następnie pod byle pozorem wywabić go z jadalni na sofę w przedpokoju, a najlepiej od razu do swojego apartamentu. „Celibat rzuca mi się już na umysł”, pomyślała w panice, z ulgą odnotowując, że na szczęście Dawid traktuje ją z takim samym zainteresowaniem jak leżące przed nim talerzyk i widelec.

– Jak my się dawno nie widziałyśmy, *sweetie*. – Kika przechyliła się trochę,

tak aby zza pleców męża widzieć Różę. – Musimy potem odbyć małą *conversation*. Nie chcę cię martwić, ale już możesz czuć się przeze mnie zagrożona. Napisałam *crime story*. Za chwilę stawiam ostatnią kropkę i wysyłam dzieło do mojego publishera. Bój się, bo wiesz, że ja zawsze *kill my* konkurencję!

Róża, która w odpowiedzi chciała pokazać Lunie środkowy palec i krzyknąć: „Urodziłaś się we wsi pod Białymstokiem, więc *fuck yourself* z tym angielskim!”, uśmiechnęła się słodko i rozłożyła ręce w teatralnym geście rezygnacji. Kika nie zamierzała jednak odpuścić.

– Opisałam w nim fantastyczne story, w dodatku to są tylko *facts* – kontynuowała, a ponieważ inni też zaczęli rozmawiać, musiała trochę podnieść głos. – O trzech kobietach, które prześladowuje *psychopath*. Ten *man* może każdej z nich zrujnować życie. A potem one go zabijają, postanawiają zakopać jego zwłoki w lesie i wziąć na siebie winę...

Harmider spowodowany rozmowami został spotęgowany przez kelnerów, którzy zaczęli przyjmować zamówienia. Menu tego wieczoru można było ułożyć z kilku propozycji szefa kuchni.

– Przepraszam, nie dosłyszałam końca – powiedziała ze skrucą w głosie Róża, pochylając się w stronę siedzącego obok niej Dawida. Tak naprawdę chciała po prostu wykorzystać okazję, aby dotknąć jego umięsnionego, co dawało się zauważyć nawet pod garniturem, ramienia. – Co wzięły te trzy panie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Dumowski, po czym zniżając głos, dodał: – Nie zwróciłem uwagi na to, co mówi żona, a jej książek w ogóle nie czytam. Tylko niech jej pani tego nie powtarza...

Mrugnął do niej. Róża obdarzyła go w zamian porozumiewawczym uśmiechem. Wyraźnie niezadowolona Kika przechyliła się jeszcze bardziej w jej stronę, a wypowiedziane przez nią słowa zbiegły się z dźwiękiem bicia zegara, który sprawił, że wszyscy na chwilę umilkli.

– ...ale zabiła go tylko jedna z nich! – donośny głos Kiki zmieszał się z echem dźwięku. Przez ułamek sekundy panowała cisza, przerwana nagle brzękiem tłuczonego szkła. Róża spojrzała w kierunku, z którego doszedł ten odgłos, i wzrok jej padł na śmiertelnie bladą Kornelię. Ta zakrywała jedną ręką usta, jakby chciała powstrzymać usiłujący wyrwać się z nich krzyk. Z drugiej ręki, którą trzymała w powietrzu, najwyraźniej przed momentem wypadł jej kieliszek. Przez chwilę wszyscy przenosili wzrok z niej na Kikę. Luna wyglądała na rozbawioną całą sytuacją.

– Opowiadam właśnie Różyczce o *story*, które w zasadzie już skończyłam pisać – wyjaśniła, najwyraźniej szalenie zadowolona, że jest w centrum zainteresowania. – Muszę znać opinię *Queen of Crime Novels* na temat fabuły, którą wymyśliłam.

– Przerzucasz się, kochanie, na pisanie kryminałów? – zdziwiła się łagodnie

Mariella.

– Jak widać... – potwierdziła Kika.

– Nie lubię tego gatunku, jest taki... okrutny i bezduszny. – Mariella spojrzała na Różę z lekkim wyrzutem, jakby ta nie opisywała morderstw, tylko je popełniała, i to jeszcze z dziką rozkoszą. – Czy nie lepiej pisać o miłości? O nostalgicznym pięknie wschodów i zachodów słońca, szumie morskich fal, zapachu bzu, muśnięciu porannej rosy, gdy biega się latem we dwoje po trawie, małym białym domku, w którym słychać tylko bicie dwóch zakochanych serc, i o splecionych dłoniach...

– Za moment walnę ją w inny splot, żeby się wreszcie przymknęła – szepnęła Miłka.

– A ja piszę teraz powieść, w której też jest miłość, ale zupełnie inna – odezwała się nagle Katarzyna Skrzypińska. – Jej bohaterem jest kochliwy wilkołak, który gwałci aktorki, a potem rozrywa ich ciała i pożera...

– Zdaje się, że pani Kasia zadała cios za mnie. – Miłka roześmiała się cicho, patrząc na przerażoną minę Marielli.

Rozmowy przy stole pomału wróciły do swojego rytmu. Kelner szybko pozbierał z podłogi odłamki szkła z kieliszka i przyniósł z wolna odzyskującej normalny kolor twarzy Kornelii kolejny. Niezbyt zadowolona z utraty zainteresowania Kika popukała łyżeczką w stojący przed nią porcelanowy kubeczek.

– Będę wdzięczna, jeśli poświęćcie mi jeszcze chwilę uwagi – powiedziała, kiedy szmery przy stole się uciszyły. – Zapewne byliście wszyscy bardzo zdziwieni, kiedy otrzymaliście zaproszenie na ten event. Teraz chciałabym co nieco wam wyjaśnić. Otóż został on zorganizowany z mojej inicjacji.

„Chyba inicjatywy, irlandzka wywłoko”, pomyślała Róża. Po sali przeszedł szum, ale Kika uciszyła go władczy ruchem ręki.

– Tak, tak, wiem, że nikt z was o tym nie wiedział – kontynuowała z zadowoloną miną. – Ale chciałam wam zrobić *surprise*, a właściwie dwie. Teraz pora na ogłoszenie drugiej. Otóż dzięki moim *international* znajomościom udało mi się przekonać jednego z największych amerykańskich publisherów do pomysłu promowania w Stanach, Anglii i Australii polskich książek. Zostaną one przetłumaczone na *English*, a następnie wydane i reklamowane. Zwrócono się do mnie, bo nie chcę się oczywiście chwalić, ale cieszę się sławą wybitnej znawczyni literatury, z prośbą o wybranie *the best* książek lub też – w tym miejscu znacząco spojrzała na Różę, a potem przeniosła wzrok najpierw na Grażynę, a potem na Mariellę – najbardziej *popular*, co, jak wiemy, nie zawsze idzie w parze z ich *quality*. Postanowiłam, najdrożsi moi, zarekomendować właśnie wasze powieści. Wiem, oczywiście, że musicie porozmawiać ze swoimi publisherami i dostać od nich zgodę, ale ufam, że to tylko *formality*. Każdemu z was zostanie wypłacona

zaliczka na poczet udzielenia licencji do wydania książek. Spora zaliczka. Pozwoliłam sobie też zaprosić na nasz event trzy bardzo znane *bloggers*, z którymi od lat bardzo dobrze mi się współpracuje i które znają się na literaturze jak mało kto...

– ...bo chwałą moje wiekopomne arcydzieła – wyszeptała Róża do ucha złośliwie Miłka.

– Bo kochają książki i liczę, że pierwsze podzielią się tą wiadomością z czytelnikami swoich *blogs*, pomagając nam w ten sposób spopularyzować ten znaczący dla polskiej kultury event – dokończyła Kika, po czym dodała: – Nie liczę oczywiście na *applause*, bo przecież nie robię tego dla własnej sławy i popularności...

– Uważaj, bo jak w nią zaraz piorun jebnie jak w Balladynę, to nas też może przy okazji osmalić – wyszeptała Miłka. Róża zgromiła ją wzrokiem. Miłka skrzywiła się, zabawnie podnosząc prawy kącik ust niczym Billy Idol i wystawiając koniuszek języka. Róża mimowolnie się uśmiechnęła, po czym położyła palec na ustach, dając znak przyjaciółce, żeby jednak powstrzymała się na razie od komentowania kolejnego wariactwa Kiki.

– ...i nie liczę na własne korzyści – ciągnęła Luna – ale robię to dla was i polskiej kultury, której zawsze byłam wielką propagatorką.

Przez chwilę w sali panowała grobowa cisza. Zaskoczona, najwyraźniej oczekująca aplauzu, okrzyków radości, omdleń czy jakiegokolwiek żywiołowej reakcji, Kika rozejrzała się po obecnych. Sytuację uratował jej mąż, który zaczął klaskać. Po sekundzie dołączyli do niego inni. Owacje nie były jednak zbyt gorące i Kika klapnęła na swój fotel wyraźnie rozczarowana.

– Ona z pewnością myśli teraz, że podłość ludzka nie zna granic – powiedziała Miłka. – Ale tak naprawdę to nie wiem, na co liczyła. Po pierwsze i tak jej nikt nie wierzy, a po drugie, nawet jeśli coś z tego wyjdzie, to i tak skończy się jakąś aferą i kompromitacją.

– Pewnie masz rację – przytaknęła Róża. – Jednak jestem ciekawa, co ona z tego będzie miała. Bo w to, że zrobiła to, nie myśląc o własnej korzyści, to daruj, ale nie wierzę...

– Pewnie wcześniej czy później się dowiemy – zawyrokowała Miłka – a na razie mogliby już podać główne danie. Zamówiłam co prawda jadalną ziemię orzechową, bo wydawała mi się lepszym wyborem od na przykład makaronu z łososiem w aerozolu, ale obawiam się, że i tak się tym nie najem. A ty co wzięłaś?

– Karmelizowane ravioli z mątwy z aromatyzowanym tatarem z planktonu – odpowiedziała Róża. – Nauczyłam się nazwy na pamięć, żeby ewentualnie potem na pogotowiu wiedzieli, czym się zatrulałam.

Jak się okazało, na danie główne trzeba było jeszcze trochę poczekać.

Menedżer obiektu przedstawił im plan na dwa kolejne dni, z którego wynikało, że nie będą miały ani chwili wolnego, bo najpierw czeka ich spotkanie z prasą, potem sesje zdjęciowe, a po drodze bal, aukcja charytatywna i kilka innych atrakcji, a potem, kiedy wydawało się, że już skończył mówić i przyszała wreszcie pora na jedzenie, odchrząknął i nagle nieco zmieszany zwrócił wzrok w stronę Grażyny Winnik.

– Jedną osobę było tu wyjątkowo trudno zaprosić – oznajmił – bo miała na ten wieczór zupełnie inne plany. Cieszę się jednak, że je zmieniła i że jest tutaj, aby podzielić się z nami ważną dla siebie wiadomością. Ale może opowie o tym sama...

Grażyna podziękowała mu skinieniem głowy i wstała.

– To prawda, że pierwotnie planowałam spędzić ten wieczór z rodziną, aby oznajmić im pewną istotną nowinę, ale cieszę się, że ostatecznie to wy dowiecie się o niej pierwsi. Tym bardziej że jesteśmy jedną wielką literacką rodziną, w której oczywiście zdarzają się też czarne owce – tu spojrzała ze złośliwym uśmiechem na Kikę – ale i tak wszyscy się szanujemy i kochamy. Dlatego miło mi was poinformować, że dokładnie za trzy miesiące o tej porze będziemy się bawili na moim weselu!

Tym razem na oklaski nie trzeba było długo czekać.

– Taką nowinę trzeba natychmiast opić! – krzyknął Dawid, pstrykając na kelnerów, aby uzupełnili trunki we wszystkich kieliszkach. Wyraźnie wzruszona Grażyna dała znać, że chce jeszcze coś dodać.

– Kochani, nawet nie wiecie, jak miło mi znów się z wami spotkać. Niektórych z was nie widziałam od tak dawna, że ledwo ich poznałam – powiedziała, patrząc na Julię, która lekko się zaczerwieniła – ale cieszę się, że jesteśmy w komplecie i będziemy mogli powspominać stare czasy, i wyjaśnić sobie wszystkie nieporozumienia, do których kiedyś między nami doszło. Wypijmy więc przede wszystkim za nasze spotkanie.

Podniosła kieliszek z winem, a potem przyłożyła go do ust, kosztując czerwonego trunku.

– Chciałabym jeszcze... – zaczęła mówić, ale nagle przerwała. Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, z wolna zamieniający się w przerażenie. Ścisnęła kieliszek tak, że pękł, kalecząc jej dłoń. Strużka krwi zaczęła spływać wzdłuż jej ręki. Grażyna najwyraźniej zaczynała się dusić. Rozpaczliwie złapała się za gardło, próbując bezskutecznie wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Minęła sekunda, dwie, trzy... Mateusz poderwał się ze swojego miejsca dokładnie w tej samej chwili, gdy jego narzeczona osunęła się na dywan obok swojego krzesła. Wszyscy patrzyli na tę scenę jak sparaliżowani. Róży zdążyło nawet przemknąć przez głowę, że może to, co oglądali, było zamierzonym żartem, który za chwilę zostanie wyjaśniony, ale spojrzenie na wstającego z kolan narzeczonego Grażyny rozwiało

wszelkie jej wątpliwości.

– Pogotowie!!! – krzyknął blady jak ściana. – Grażyna umiera!!!

ROZDZIAŁ IV

Tajna misja

Komisarz Krzysztof Darski patrzył na swoją ukochaną z lekką rozpaczą w oczach.

– Wiesz, że teoretycznie nie powinienem cię wtajemniczać w szczegóły śledztwa – powiedział z wahaniem – ale z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że znasz te wszystkie kobiety i możesz mi pomóc...

– Chętnie. – Beata Jankowska, przez wszystkich zwana Betty, popatrzyła na niego ze współczuciem. – Tym bardziej że już poprzednio rozwiązywaliśmy kilka spraw razem...

– No właśnie. – Krzysztof zmierzwił swoją czuprynę, jak zawsze w chwilach zdenerwowania. – Powiem ci więc co nieco, ale musisz mi obiecać, że nigdy się z tym nie zdradzisz. Pracuję z prokuratorem Mareckim, a sama wiesz, że niezbyt się lubimy. To dla mnie prestiżowa kwestia, żeby rozwiązać tę sprawę przed nim.

Betty podniosła lewą dłoń, tak jakby zgłaszała się w szkole do odpowiedzi, a prawą dłoń położyła na księdze, która leżała przed nią.

– Uroczyście ci to ślubuję – oznajmiła, przybierając poważny wyraz twarzy. Krzysztof przesunął jej rękę, odsłaniając okładkę księgi.

– Nie wiem, czy przysięga złożona na *Jedz i chudnij* Ewy Wachowicz ma jakieś znaczenie, ale niech ci będzie – powiedział z uśmiechem. – Zanim jednak cokolwiek zdradzę, najpierw odpowiedz mi na jedno zasadnicze pytanie. Czy wszyscy pisarze są pierdolnięci?!

Betty roześmiała się na głos.

– Owszem – odparła po chwili. – Zdecydowana większość, a pozostali po

prostu się dobrze kamufluja. A co? Dali ci się we znaki?

– Odrobinę – mruknął Krzysztof.

– Kto najbardziej? – zaciekała się Betty.

Krzysztof przez chwilę przypomniał sobie przesłuchania prowadzone w Kopalnikach następnego ranka po morderstwie.

– Mariella Miszałek – oznajmił zdecydowanie. – Miałem wrażenie, że rozmawiam z kimś nawiedzonym. Przez cały czas hamowałem się, żeby nie wezwać do niej pogotowia i nie uprzedzić, że powinni mieć pod ręką kaftan bezpieczeństwa. Nadal nie jestem pewny, czy nie poproszę, żeby z nią pogadał nasz policyjny psychiatra...

– Owszem, ona jest wariatką, ale całkowicie niegroźną dla otoczenia. – Betty się uśmiechnęła.

– No nie wiem... – nie dawał się przekonać Darski.

– I uwierz mi, że co najmniej połowa jej szaleństwa to starannie przemyślana poza – dokończyła jego ukochana. – A co zeznała?

– Przez kwadrans opowiadała mi barwnie o tym, jak to Grażyna była, cytując: heroiną wielu romansów i w związku z tym zabił ją jakiś zazdrosny były kochanek, którego odtrąciła... – powiedział Krzysztof.

– Nie wiem, czy ma rację co do mordercy, ale Grażyna faktycznie miała skłonność do robienia dość, nazwijmy to, dokładnego researchu do swoich erotyków. – Betty się zamyśliła. – A ponieważ jej książki Joanna nazywała „krótkim przewodnikiem po działaniu męskich i damskich genitaliów w czasie orgii”, to sam rozumiesz, że prowadziła życie dalekie od ascezy i wstrzemięźliwości...

Krzysztof, który już miał zadać kolejne pytanie, porzucił na chwilę ten zamiar i spojrział na swoją ukochaną uważnie.

– To pierwszy raz... – powiedział ostrożnie, bojąc się wypowiedzieć dalszą część swojej myśli.

Betty spojrzała na niego pytająco.

– Pierwszy raz wypowiedziałaś jej imię, od kiedy... – zaczął, ale wzrok narzeczonej podpowiedział mu, żeby nie kończył kwestii. – Nieważne. Problem z tymi podejrzeniami Marielli jest taki, że tego wieczoru we dworku nie było nikogo z dawnych partnerów Grażyny. Był tylko aktualny, z tego, co wszyscy zeznali wyjątkowo zgodnie, szaleńczo w niej zakochany i mający za parę miesięcy się z nią ożenić, co zresztą Winnik ogłosiła tego wieczoru tuż przed śmiercią.

– I nikt obcy nie mógł się dostać do posiadłości? – zapytała Betty.

– Nie. – Krzysztof pokręcił głową. – Po pierwsze dokoła rozciągają się bagniska i prędzej ktoś by się w nich utopił, niż przez nie przeszedł, a po drugie teren dworku ma dość solidny monitoring, a przy jedynej bramie wjazdowej ochronę. Tam często nikogo nie ma, a ponieważ w pałacyku znajdują się antyki,

więc pilnuje się go jako oczka w głowie.

– Rozumiem – oznajmiła Betty, po czym zaciekawiona dodała: – Ale w sumie w tym, co powiedziała Mariella, nie ma nic szalonego. Chyba że coś ukrywasz...

Jedno spojrzenie na ukochanego i wiedziała, że jest na dobrym tropie.

– No, najdroższy mój misiaczku... – ponagliła go zachęcająco. – Czym jeszcze podpadła ci nasza królowa harlequinów?

Krzysztof, wyraźnie zakłopotany, chrząknął lekko, jakby chciał pozbyć się chryпки.

– Zaczęła mi robić te no... – powiedział ostrożnie. – Awanse...

– Serio? – Betty wyglądała na ubawioną. – Tej natury, o której myślę?

– Nie wiem, o czym myślisz – fuknął jej narzeczony. – Ale zaczęła opowiadać, że bohaterem następnej swojej książki musi uczynić przystojnego, wysokiego, barczystego, ciemnowłosego komisarza policji, który zakochuje się w nieco tylko starszej pisarce bestsellerowych romansów...

– Opis pasuje raczej średnio – oceniła Betty, mierząc go wzrokiem. – Rozumiem jednak, że z góry zidentyfikowałeś tego adonisa jako siebie...

– Ta babcia pogłaskała mnie po rękę! – krzyknął najwyraźniej wciąż zbulwersowany tak bezpardonowym atakiem na jego cnotę Darski. – A potem usiadła tak, żeby jej widać było całe udo...

– I co ty na to? – zapytała z zainteresowaniem Betty, w duchu wizualizująca sobie ku własnej uciechu tę scenę. Jako że znała zarówno Miszałek, jak i reakcje swojego ukochanego na ataki rozmaitych podrywaczek, przyszło jej to z łatwością.

– Ugryzłem się w język, żeby nie zapytać, czy ma w domu lustro – odparł zirytowany Krzysztof. – A jeśli tak, to dlaczego, do licha ciężkiego, czasem się w nim nie przejrzy!

– No dobrze, a reszta gości? – zapytała Betty. – Bo rozumiem, że przesłuchałeś wszystkich obecnych.

– Większość nie miała wiele do powiedzenia – podsumował Darski, powoli dochodząc do siebie po traumatycznym wspomnieniu, jak to był obiektem zakusów kobiety w wieku jego matki. – Nabrali wody w usta i jeśli coś mówili, to bardzo enigmatycznie. Kilkoro powiedziało to, co ty przed chwilą, że Grażyna prowadziła dość swobodny styl życia i informacja o tym, że zamierza wyjść za mąż, była w związku z tym mocno zaskakująca. I że nie miała żadnych wrogów, a już na pewno takich, którzy chcieliby się jej pozbyć z tego świata.

– A właśnie, miałam zapytać – przypomniało się Betty. – Czym ją otruto?

– Cyjankiem potasu – odparł Darski. – Jak w jakimś starym kryminale. Stężenie w winie było tak duże, że powaliłoby dużego chłopca, dlatego tak szybko zadziałał.

– A może trucizna przeznaczona była dla kogoś innego? – Betty się

zamysliła.

– Chyba ze dwie osoby wygłosiły podobną myśl – przypomniał sobie Krzysztof. – Powiedziały, że gdyby trupem padła Kika Luna, to wcale by się temu nie dziwiły. Skąd taka niechęć do niej? Wiesz coś?

– Kiki nikt nie lubi w tym środowisku – wyjaśniła Betty. – Joanna też jej nie znosiła. Kika to jedna z tych pretensjonalnych panius, którym wydaje się, że są duszą towarzystwa. A towarzystwo dusi się w ich obecności. A poza tym częściej zmyśla, niż mówi prawdę, i to bynajmniej nie przez przypadek. Ona ma z reguły wszystko dokładnie przekalkulowane.

– Oczywiście, zbadamy też hipotezę, że cyjanek miał zabić kogoś innego – zdradził Darski – ale na tym etapie wydaje się ona dość mało prawdopodobna. Grażyna musiałaby się zamienić z kimś kieliszkami...

– No właśnie, jak trucizna tam trafiła? – zdziwiła się Betty. – Przecież nie mogła być w kieliszku i czekać, aż ktoś naleje tam wina. O ile wiem, to jest biały proszek...

– Owszem – potwierdził Darski. – Ktoś musiał go wsypać na chwilę przed tym, zanim nalano tam wina. Albo podać już z winem.

– Kelner?

– Z oczywistych przyczyn jest pierwszym podejrzanym – zgodził się Krzysztof. – Pytanie tylko, dlaczego miałby otruć kogoś, kogo widział pierwszy raz na oczy.

– Jesteście tego pewni?

– Sprawdzamy to dokładnie – powiedział Krzysztof – ale z tego, co udało nam się na razie ustalić, nigdy wcześniej się nie spotkali. Zresztą kelner najpierw mieszkał w Gdańsku, a teraz od dwóch lat żyje w Krakowie i rzadko bywa w stolicy. A Winnik z kolei odwiedzała Kraków tylko przy okazji targów książki i spotkań w księgarniach. Oczywiście można założyć, że kelner był jakimś jej psychofanem albo odrzuconym kochankiem, ale chyba ktoś by o tym wiedział albo byłby jakiś tego ślad w mieszkaniu, które już zbadaliśmy.

– Tak szybko dostaliście nakaz przeszukania? – zdumiała się Betty.

– Nie, on sam zaproponował, że chętnie nam je udostępni, jak tylko w czasie przesłuchania pojawiła się sugestia, że może być mordercą – wyjaśnił Darski.

– Uprzejme z jego strony – zauważyła Betty. – Zbyt uprzejme...

– Yhm, dlatego nadal będziemy badali, czy miał powiązania z kimkolwiek, kto był tego dnia na kolacji w Kopielnikach – powiedział Darski. – Co ciekawe, sama Kika, kiedy zapytaliśmy, co sądzi o hipotezie, że trucizna była przeznaczona dla niej, po prostu nas wyśmiała. A potem wygłosiła długi i bardzo męczący wykład, z którego wynikało, że jest kochana przez wszystkich bardziej niż Matka Teresa, a Dalajlama powinien się od niej uczyć, jak czynić dobro na świecie.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że to tylko jej opinia – wtrąciła Betty.

– Owszem. – Darski kiwnął głową. – Tym bardziej że pod koniec jej przesłuchania w duchu dziękowałem Opatrzności, że zostawiłem pistolet w gabinecie. Bo nie wiem, czybym go nie użył, żeby wreszcie ją uciszyć razem z tą jej wspaniałością.

– Wyświadczyłybyś światu przysługę – orzekła Betty. – Coś jeszcze? Jakies inne interesujące rzeczy?

– A jakże. Na stole pojawiła się róża.

– Co?! – Betty zrobiła wielkie oczy. – Jaka róża?

– Czarna – odpowiedział Darski. – Kiedy Grażyna zaczynała wznosić toast zatrutym winem, na pewno jej tam nie było. A kiedy przyjechało pogotowie, ktoś zauważył, że na stole, a dokładnie na nieużyтым nigdy talerzyku Winnik, leży czarna róża.

Betty przez chwilę przyglądała mu się z dziwnym wyrazem twarzy. Darski nie pytał jej o nic, bo doskonale znał ten grymas i wiedział, że ukochana próbuje coś sobie przypomnieć oraz że nie należy jej w tym przeszkadzać ani jej ponaglać.

– Nie, to na nic – oznajmiła po dłuższej chwili Betty. – Odnoszę wrażenie, że ktoś nie tak dawno opowiadał mi historię, w której pojawiła się czarna róża, ale ni cholery nie przypomnę sobie teraz kto, gdzie i w jakich okolicznościach. A co zeznali goście?

– W sprawie róży? – upewnił się Krzysztof. – Prawie wszyscy sprawiali wrażenie zaskoczonych. Nikt nie wiedział, skąd ta róża się tam wzięła i nikomu się z niczym nie skojarzyła. Były tylko dwa wyjątki. Jeden to Julia Kulicka. Znasz moją intuicję...?

Betty potwierdziła skinieniem głowy, bo wiele razy była świadkiem tego, jak przy okazji badania różnych przestępstw mężczyzna jej życia od początku przeczuwał różne rzeczy, które potem potwierdzały się w trakcie śledztwa.

– No właśnie. – Darski pokiwał głową. – Moim zdaniem ona coś ukrywa. Przy okazji pytań o różę była wyraźnie zmieszana i przestraszona. I w ogóle przez całe jej zeznania miałem wrażenie, że nie mówi prawdy. Nawet nie to, raczej, że mówi tylko część prawdy, a wie o wiele więcej.

– Myślisz, że jest zamieszana w morderstwo Winnik? – zdumiała się Betty. – Przecież były przyjaciółkami! A poza tym to taka szara myszka...

– Całkiem jak kilka seryjnych morderczyń – zwrócił jej uwagę Krzysztof. – Ale za wcześnie, żeby ją o coś oskarżać. Po prostu mówię ci, że nie ufam jej i nie wierzę, że czegoś przede mną nie ukryła. Poprosiłem chłopaków, żeby sprawdzili, czy nie ma czegoś na sumieniu, ale nic nie znaleźli. Nigdy nie miała żadnych zatargów z prawem, nawet nie dostała mandatu...

– Co było dość proste, bo o ile wiem, nie ma samochodu – weszła mu w słowo Betty. – A przynajmniej nie miała dwa lata temu, kiedy odwoziłyśmy ją po targach do hotelu. Mówiła wtedy, że podziwia kobiety, które nauczyły się

jeździć i są dobrymi kierowcami, bo ona by nie umiała...

– Dobrymi kierowcami? – Darski przymknął jedno oko, przybierając swój szelmowsko chłopięcy wyraz twarzy. – To chyba nie ty siedziałaś wtedy za kierownicą?

– Nie – przyznała niechętnie Betty. – Tak jak i nie ja zrobię dzisiaj kolację. Za karę!

– W porządku, zasłużyłem – zgodził się potulnie Krzysztof. – W każdym razie poza moim przeczuciem, że coś nie gra, nic na Julię nie mamy.

– A druga osoba? – przypomniła Betty. – Mówiłeś chyba, że dwie osoby zareagowały dziwnie na pytania o różę...

– Owszem. Ale w przypadku drugiej to całkiem zrozumiałe, bo ma tak na imię. Róża Krull...

– Znam ją. – Betty się uśmiechnęła. – Równa babka. Kiedyś byliśmy razem w Hiszpanii na jakimś straszliwie nudnym seminarium dotyczącym seksu w literaturze czy jakichś innych bzdetów i pamiętam, że była wielce rozrywkowa. Zdaje się, że zamiast gadać o seksie, jako jedyna z nas go tam po prostu uprawiała...

– Miło – wtrącił Darski, zaczynając rozpinąć koszulę.

– ...z jakimś na oko piętnastolatkiem – dokończyła siłą rozpędu Betty. – Ale poza tym była naprawdę w porządku. Czy słowo „seks” zawsze powoduje, że zaczynasz striptiz?

Darski pozbył się górnej części swojego stroju służbowego.

– Czasem, ale teraz akurat powodem jest chęć wzięcia prysznicza – powiadomił ukochaną. – Ale seks rzecz jasna też mam w planach...

– Nie skonsultowałaś ich ze mną, więc nie wiem, czy je zrealizujesz. Chyba że chcesz go uprawiać sam ze sobą. Jak dwa dni temu przed komputerem...

– Miałaś mi to wypominać tylko przez... – zaczął Darski, ale przypomniła mu się ich umowa. – No dobrze, dzisiaj jeszcze masz prawo. Ale tylko do północy.

Zaczął rozpinąć spodnie. Betty dała mu znać, żeby się wstrzymał.

– Zanim mi znikniesz pod prysznicem i zaczniesz tam znowu udawać Justina Timberlake’a, pozwól, że po pierwsze poszukam zatyczek do uszu, bo gdzieś je zapodziałam, a po drugie dokończ to, co zaczęłaś. To znaczy powiedz mi, jak mam ci pomóc w śledztwie. Bo miałam wrażenie, że chcesz więcej, niż tylko ze mną porozmawiać.

– Owszem. Chcieliśmy dzisiaj puścić wszystkich do domu, ale po naradzie i rozmowach z menedżerami dworku postanowiliśmy zostawić wszystkim wolny wybór. I ku naszemu zaskoczeniu nagle się okazało, że wszyscy chcą zostać w Kąpielnikach i dokończyć spotkanie, tak jak to było zaplanowane. Część dlatego, że już miała wykupiony transport w innym terminie, część ze względu na spotkania z prasą, której przedstawicieleli na wieść o morderstwie zapowiedziało się

nagle dziesięć razy tyle, niż umówiło się pierwotnie...

– Sępy – mruknęła Betty.

– ...a część, żeby wesprzeć duchowo innych – dokończył Darski. – Powiem ci, że jest mi to nawet na rękę. Mam ich wszystkich w jednym miejscu. Przeanalizuję to, co powiedzieli mi na pierwszym spotkaniu, i spróbuję z każdym porozmawiać jeszcze raz.

– Czyli jak zwykle będziesz się bawił w Herculesa Poirota – podsumowała Betty.

– Tak trochę, ale wpadłem na pomysł, że będę miał też swoją pannę Marple – rzucił z uśmiechem policjant. – Jeśli się zgodzisz, to przyjedziesz do Kapielnik jako spóźniony gość. Ustaliłem to z menedżerami. Powiedzą, że znają cię od dawna i zaprosili cię, bo szukasz pracy. Pokręcisz się między ludźmi, odnowisz kontakty, posłuchasz ploteczek. Mam nadzieję, że nikt nie wie, że jesteś dziewczyną policjanta...

– Wieść o tym jeszcze się nie rozeszła – potwierdziła Betty, ale z nadąsaną miną. Darski popatrzył na nią uważnie.

– O co chodzi? – zapytał.

– O nic...

– A, tu cię mam! – krzyknął Darski z triumfem. – Sama mnie nauczyłaś, że jak kobieta mówi, że o nic jej nie chodzi, to facet natychmiast powinien wiedzieć, że to pułapka, i zacząć się zastanawiać, co przeskrobał. Więc teraz to już mów...

– Panna Marple miała ponad siedemdziesiąt lat – oznajmiła lodowatym tonem Betty. – I z pewnością nie uprawiała już seksu. Tak jak ja dzisiaj. Idź pod prysznic, a ja przygotuję ci wygodniejszą niż ostatnio poduszkę na fotel przed komputerem...

ROZDZIAŁ V

Pogawędki

Goście w Kąpielnikach rozmawiali od samego rana tylko o jednym.

– Nie powinnyśmy były tego robić! – Kornelia patrzyła na Julię z wyrzutem.

– Od początku mówiłam ci, że to bardzo zły pomysł. Wiesz, że dla ciebie jestem gotowa na każdy szalony czyn, ale teraz niestety nie za bardzo sobie wyobrażam, jak się z tego wyplączemy. A teraz jeszcze to!

Skierowała wzrok na leżącą na biurku kartkę, którą nieco wcześniej znalazły wsuniętą pod drzwi wejściowe do swojego apartamentu.

– Musimy to ciągnąć – powiedziała stanowczo Julia. – Tym bardziej po tym, jak zobaczyłam czarną różę. Mówiłam ci od początku, że ktoś o tym wie. I okazuje się, że miałam rację...

– To był dziwny pomysł – wyjęczała Kornelia. – I dziwię się, że ty, zawsze taka ostrożna i zapobiegliwa, musiałaś się z czymś takim wygłupić!

Julia popatrzyła na przyjaciółkę z nagłym gniewem w oczach.

– Wygłupić?! – powtórzyła oburzonym tonem. – Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co przeżywałam? Ile razy powtarzałam ten wieczór w myślach, ile razy nawiedzał mnie on w koszmarach sennych, ile razy budziłam się z krzykiem? Wiesz, że przez pięć lat nie było ani jednego dnia, żebym nie wróciła myślami do tamtego zdarzenia? Musiałam coś zrobić. To mi pomagało, a poza tym pomyślałam, że dam tym ludziom znać, że nie tylko oni o nim myślą, że jest ktoś jeszcze...

– No i się doigrałaś. – Kornelia wyglądała na niewzruszoną tyradą swojej przyjaciółki. – Czarna róża... To nie jest przypadek, na pewno. Widzę dwa

rozwiązania. Albo ktoś wie, co przeskrobałyście, albo ktoś podejrzwał to, co robiłaś. W każdym przypadku wygląda to na ostrzeżenie.

– Nie trzeba było tu przyjeżdżać – powtórzyła Julia chyba po raz tysięczny tego dnia. – Ale skoro już stało się tak, jak się stało, to teraz musimy iść w zaparte i...

– I...? – Kornelia spojrzała jej prosto w oczy.

– I trzymać język za zębami tak długo, jak się da – dokończyła stanowczo Julia. – A co do tej kartki... Ile właściwie mamy pieniędzy na koncie?

* * *

Apartament dalej Kika Luna w różowym peniuarze, w którym swoim – i tylko swoim – zdaniem prezentowała się kusząco niczym Doda, patrzyła wściekłym wzrokiem na przywiezioną ze sobą garderobę.

– *Darling*, nie mam nic *in black* – powiedziała po kilku minutach przesuwania wieszaków w ogromnej szafie. – Trudno było przewidzieć, że z radosnego wyjazdu zrobi się tu Halloween. Swoją drogą, to czysta złośliwość, żeby mordować kogoś akurat na moim evencie! Ludzie naprawdę nie wiedzą, co to znaczy przyzwoitość...

Jej mąż oderwał wzrok od iPhone'a, na którym grał w wirtualnego pokera.

– Teraz już nie wiem, czy to był dobry pomysł... – zaczął ostrożnie. – Miałaś rację, te baby są naprawdę wredne! Ale miałem dobre intencje...

– Mówiłam ci! – powiedziała z triumfem Kika. – Wreszcie mi uwierzyłeś! Tyle razy ci powtarzałam, że mnie nie znoszą. Ale nigdy się tym nie przejmowałam i nie zamierzam zacząć. Teraz też martwię się tym, że dzisiaj miała przyjechać *press*. Umówiłam się tylko z tymi, którzy przyrzekli, że porozmawiają głównie ze mną, a cała reszta tych a-r-t-y-st-e-k... – to ostatnie słowo wycedziła z nieskrywaną pogardą – będzie służyła za tło. Ale teraz po tym, co wydarzyło się wczoraj, walą tu drzwiami i oknami tabuny dziennikarzy. I cały event trafił szlag. A do tego nie mam nic *in black*...

– Zamierzałaś nosić żałobę? – zdziwił się Dawid. – Bez przesady...

Kika na chwilę przestała przesuwac wieszaki, oderwała wzrok od męża i popatrzyła w lustro na swoje odbicie. Tym razem jednak nie poświęciła mu całej uwagi, jak to zawsze miała w zwyczaju. Przed oczami miała scenę sprzed pięciu lat. Scenę, o której, jak jej się wydawało, szybko zapomniała. Dlaczego nagle teraz do niej wróciła? Czy możliwe, aby miała ona cokolwiek wspólnego z tym, co wydarzyło się wczoraj?

– Kiedyś bardzo się przyjaźniłam z Grażyną – wyjaśniła, nadal patrząc w lustro. – To było jakieś osiem, dziewięć lat temu. Poznałyśmy się po moim rozwodzie z Grzegorzem i powrocie do kraju z Irlandii. Miałam wtedy gorszy czas.

Nie potrafiłam się zebrać i zacząć pisać, Lenka wyjątkowo źle zniosła nasze rozstanie i sprawiała wiele kłopotów, a do tego biznes zaczął iść gorzej. I wtedy na targach w Warszawie poznałam Grażynę. Akurat tak się złożyło, że mój *publisher* wyznaczył nam spotkania o jednej porze, mnie, Grażynie i Julii Kulickiej. Myślałam, że nie dam rady wytrzymać tam całej godziny. Musiałam się sztucznie uśmiechać do ludzi, rozmawiać z nimi, a tak naprawdę miałam ochotę zaszyć się w ciemnym kącie i płakać. Grażyna to wyczuła. Kiedy dobrnęłyśmy do końca spotkania, zabrała mnie do swojego pokoju hotelowego, który dzieliła z Julią. Wlała we mnie chyba z litr *vodka with cola* i przez całą noc, najpierw sama, a potem z pomocą Julki, ustawiała mnie do pionu. Później spotykałyśmy się bardzo często, parę razy zrobiłyśmy sobie nawet kilkudniowe babskie tripy...

– A co się stało, że zerwałyście kontakty? – zaciekawił się Dawid.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – skłamała Kika, choć powód, dla którego ich drogi się rozeszły, cały czas miała przed oczami. – Tak jakoś wyszło. Czasem tak jest, że jacyś ludzie potrzebni ci są tylko na pewnym etapie życia. A potem ich misja się kończy i znikają. Choć... Miałam nadzieję, że być może tutaj uda się odnowić kontakty.

– Swoją drogą, ciekawe, kto mógł ją zabić? – powiedział Dawid, wracając do gry. – Wydaje mi się to jakieś takie nierzeczywiste...

Kika spojrzała na niego.

– Z reguły pierwszym podejrzanym o zabójstwo żony jest jej mąż – stwierdziła. – Gdybym to ja była *dead*, na pewno większość ludzi myślałaby, że to twoja sprawka. Co przypomina mi o jednej sprawie... Dzwoniłeś do prawnika?

– Tak, tuż przed wyjazdem – odpowiedział jej mąż, nie komentując faktu, że w oczach swojej ślubnej jest potencjalnym mordercą. – Papiery będą gotowe do podpisu w poniedziałek po południu. Wszystko tak, jak sobie zażyczyłaś.

– Nie będziesz zły, *darling*? – Kika spojrzała na niego z wyjątkową uwagą. – Na pewno?

– Nie, oczywiście, że nie. – Odpowiedź Dawida była stanowcza i padła bez chwili namysłu. Kika poczuła ulgę. – Dlaczego miałbym? Czyżbyś nawet po takim czasie nie wierzyła, że nie jestem z tobą dla pieniędzy, tylko dlatego, że cię kocham?

– Mówiłam ci wiele razy, że po tym wszystkim, co w życiu przeszłam, nie wierzę już w żadne *love forever* – powiedziała Kika, znów nieco rozmijając się z prawdą.

– A w co wierzysz? – Dawid nadal nie odrywał wzroku od komórki, zawzięcie stukając w jej ekranik co kilka sekund i wydając się mało zainteresowany ich rozmową.

– Wierzę w to, że mamy ze sobą *good fun*, a ty dzięki mnie prowadzisz wygodne życie, tak jak chciałeś. A ja mam męża, który budzi zawiść we wszystkim

moich *friends*, poza tymi, które gustują w innych paniach.

– A są tu takie?! – zaciekawiał się Dawid.

– Może... – Kika uśmiechnęła się złośliwie. – I powiem ci więcej, robią rzeczy, których do końca nie rozumiem. I zaczynam podejrzewać, że być może wiem, kto otruł Grażynę. Choć nie umiem wymyślić motywu zbrodni. Ale jeśli jest tak, jak myślę, to...

– Tak? – Dawid spojrzał na nią badawczo.

– ...to powinniśmy tu uważać przynajmniej na dwie osoby, *darling!*

* * *

W narożnym apartamencie, z którego widok rozciągał się i na ogród, i na drogę dojazdową do dworku, dwie pisarki siedziały przy małym stoliczku, sącząc niespiesznie drinki.

– Dlaczego akurat Grażyna? – Miłka powtórzyła najczęściej zadawane tego dnia pytanie. – Jakby to była Kika, to chciałabym poznać mordercę, żeby mu wysłać kwiaty i liścik z podziękowaniami, ale Grazia... Komu ona wadziła?

– Na pewno byłej żonie swojego narzeczonego – odparła spokojnie Olka Nosicka. – Słyszałam plotki, że szalała po tym, jak Grażyna rozbiła jej małżeństwo, i dokładnie określiła, co by jej zrobiła, gdyby tylko ktoś jej zapewnił alibi. O otruciu co prawda nie wspomniała, ale efekt jej planów byłby podobny. Trup i kondukt żałobny.

– Myślisz, że kogoś tu przekupiła? – Miłka się zamyśliła. – Kelnerów?

– No chyba tylko... – potwierdziła Olka. – Dziwię się, że policja ich jeszcze nie zgarnęła. Już za sam sposób, w jaki podawali potrawy i nalewali wino, powinni dostać parę lat odsiadki.

– Fakt – zgodziła się Miłka. – Kelnerzy są najbardziej podejrzani. Ale nie tylko oni mieli okazję dosypać coś do kieliszka Grażyny...

– Jak to? – zdziwiła się Olka.

– Obie osoby, które siedziały przy niej, też mogły to w każdej chwili uczynić – powiedziała Miłka. – I też muszą być wliczone do grona podejrzanych.

– Z jednej strony siedział jej narzeczony – przypomniała Olka. – A z drugiej?

Miłka na chwilę przymknęła oczy, odtwarzając kolejność, w jakiej zasiedli wczoraj przy stole do kolacji.

– Katarzyna Skrzypińska – powiedziała zaskoczonym tonem. – Hmm...

– Starsza pani, na pozór niepotrafiąca skrzywdzić nawet muchy, okazuje się psychopatką zazdrosną o sukcesy swojej młodszej koleżanki, którą w końcu wysłała na tamten świat, trując na oczach kilkunastu innych osób. – Olka się roześmiała. – Dobre. Choć gdybym to napisała w swojej książce, to blogerki znów by mnie

obtańcowwały za tworzenie nierealistycznych fabuł.

– I miałyby rację – osądziła Miłka. – Bo to jest bardzo mało prawdopodobne...

– Zostają więc kelnerzy i narzeczony Grażyny... – podsumowała Olka. – Dziwne, że policja od razu ich nie zatrzymała. Ten przystojny, co prowadzi śledztwo, jest jakiś dziwny. Pozwoliłabyś potencjalnemu mordercy dalej podawać gościom jedzenie? A co, jeśli to jakiś wariat, który truje bez powodu? Dla samej przyjemności? Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam jeść niczego, co zostanie tu zaserwowane.

– Zamierzasz głodować? – zdumiała się Miłka, wstając z fotela, żeby rozprostować trochę nogi.

– Nie. – Olka popukała triumfalnie w kartkę leżącą na biurku obok jej telefonu. – Zamierzam zamówić jedzenie z dowozem z Krakowa. Zapłacę co prawda jak za zboże i to u wyjątkowo chciwego rolnika, ale przynajmniej nie będę miała ochoty po każdym kęsie lecieć do ubikacji, żeby go zwracać. Jeszcze bym wpadła w bulimię...

– No akurat mnie to by dobrze zrobiło – skonstatowała smętnie Miłka, rzucając ponure spojrzenie w lustro odbijające jej krągłą sylwetkę. – Ale masz rację. Co tam można zamówić?

– Jak chcesz coś nietuczącego, to mają warzywa gotowane na parze, bakłażana i cukinię z grilla oraz szaszłycki z kurczaka – wyczytała Olka – a na deserek na przykład ciasteczka orkiszowe z rodzynkami.

– Super, to zamów mi to – powiedziała Miłka, patrząc jej przez ramię na menu. – I niech przywiozą też dwa schabowe XXL zapiekane w serze, frytki belgijskie z sosem majonezowo-ketchupowym i ze cztery kawałki domowego sernika. A najlepiej weź po prostu cały sernik. Zobacz, waży jedyne dwa i pół kilo. Zjemy go sobie wieczorem do winka...

Olka wystukała na ekraniku numer do restauracji.

– Faktycznie – mruknęła pobłaźliwie – odchudzasz się na całego...

* * *

W tym samym czasie kilkanaście metrów dalej trzy osoby patrzyły na siebie uważnie. Najstarsza z nich była wyraźnie zła, dwie pozostałe sprawiały wrażenie nieco zdezorientowanych.

– Której części naszego planu nie zrozumieliście? – zapytała zirytowanym głosem najstarsza kobieta. – I które z was wyrwało się przed szereg? A może ukartowaliście to we dwoje?

Pozostała dwójka popatrzyła na siebie niepewnie.

– Nie miałem z tym nic wspólnego! – powiedział stanowczo mężczyzna. –

Mogę przysiąc na wszystkie świętości świata, łącznie z kosmicznym władcą Xenu, w którego wierzą scjentolodzy!

– Ja też nie byłabym taką idiotką, żeby coś kombinować za waszymi plecami – odparła młodsza kobieta. – Na nic nie będę przysięgać, bo i tak w nic nie wierzę, ale to chyba jasne. Musiałabym być kompletnie wyprana z rozumu, żeby pozbywać się kogoś, kogo i tak mieliśmy w garści. Nie było powodu...

– W takim razie kto to zrobił? – zapytała starsza z pań. – Bo poza nami chyba nikt nic nie wiedział o tej sprawie. Do czasu oczywiście, kiedy ta debilka wygłupiła się z publikacją. Wtedy ewentualnie ktoś mógłby coś skojarzyć, tak jak ja, ale też niekoniecznie. Mimo to ktoś ją jednak sprzątnął. A tylko my mieliśmy powód do zemsty...

– Dlatego właśnie nic z tego nie rozumiem. – Mężczyzna westchnął. – Kilka tygodni przygotowań szlag trafił. A wraz z nimi szansę na kasę...

– Niekoniecznie... – powiedziała wolno nadal gniewnym tonem starsza kobieta. – Jedna z nich jest martwa. Ale nadal zostały jeszcze dwie. W tym jedna na tyle naiwna, że można nią manipulować jak małym dzieckiem. Sami widzieliście. Chyba nawet uwierzyła, że to całe spotkanie było jej inicjatywą. A druga boi się własnego cienia. Z całej tej trójki tylko jedna osoba mogła pokrzyżować nam plany, ale ktoś ją sprzątnął z tego świata. Najwyraźniej miała więcej na sumieniu, niż widzieliśmy. Może się nawet okazać, że powinniśmy być wdzięczni mordercy za to, co zrobił. A na razie realizujemy dalszą część tego, co zaplanowaliśmy. Tylko nic już nie popsujmy!

* * *

W swoim pięknym apartamencie Róża próbowała po pierwsze opanować chęć szczekania zębami i rwania włosów z głowy, a po drugie – połączyć się ze swoim PR-owcem. Udało jej się to dopiero za czwartym razem, kiedy bliska już była rzuceniem telefonem o ścianę.

– Po co ci, do cholery, ten wypasiony iPhone, skoro nigdy nie odbierasz, gdy dzwonię?! – wykrzyczała na dzień dobry. – Tylko do robienia milionów selfie? Podobno takie fotografowanie się co pięć minut jest oznaką zaburzeń psychicznych!

– Sama jesteś zaburzona, a ja jestem trochę zajęty – poinformował ją w odpowiedzi konfidencjonalnym szeptem Pepe. – I nie za bardzo mogę rozmawiać...

– Ale musisz! – rzuciła stanowczo Róża. – Ja tu mam morderstwo na głowie! Co może być ważniejszego od zbrodni?! Nic!

– Zdziwiłabyś się – odpowiedział podobnym tonem Pepe. – Jestem właśnie na planie teledysku Klaudii Hutniak!

Chcąc początkowo ognić zaprotestować Róża na dźwięk imienia i nazwiska najbardziej kapryśnej polskiej diwy czym prędzej ucieła swoje pretensje. Za to poczuła się zaciekawiona, jaki tym razem pomysł zaświtał w głowie gwiazdy. W przeszłości piosenkarka chciała już nagrywać klip na środku areny cyrkowej w otoczeniu żywych lwów i tygrysów. Twierdziła przy tym, że jej śpiew ma uspokajający wpływ na te i tak z natury miłe i łagodne zwierzątka. Innym razem uparła się, aby na potrzeby jej teledysku utworzyć, jak to nazwała, „łańcuch czystych serc”, czyli zatrudnić osoby, które od Tatr po Bałtyk będą stały i trzymały się za ręce, nucąc jej piosenkę, co sfilmuje się z lotu ptaka. Ponieważ, podobnie jak z Kiką, nikt nie śmiał z nią dyskutować, najpierw o mały włos zostałyby pożarta przez tygrysa, który przez przypadek dostał za małą dawkę środka nasennego. W związku z tym bardzo źle zniósł dźwięki jej przejmującej, miłosnej ballady i próbował rzucić się na nią, gdy akurat śpiewała refren swojego hitu o treści „miłość jest jak lew, poczuj w sobie jej zew, miłość jest jak tygrys, niech kwitnie w nas jak cyprys”. Czuwający nad wszystkim treser uratował ją w ostatniej chwili, acz widać było, że uczynił to bez specjalnego przekonania. Przy kręceniu drugiego teledysku obraziła się śmiertelnie i „na zawsze”, czyli na półtora tygodnia, na swoją firmę płytową, która śmiała jej odmówić takiego „drobiazgu” jak zatrudnienie czterech milionów statystów w chwili, kiedy ona „włożyła w piosenkę całą swoją duszę”.

– Jaka szajba odbiła jej tym razem? – zaciekawiała się Róża.

– Wymyśliła sobie, że będzie stała na obrotowej platformie w sukience obramowanej na dole odblaskowymi złotymi elementami – wyjaśnił Pepe – i jak platforma zacznie się obracać, to jej sukienka się uniesie, a elementy będą tworzyły świetliste kręgi. Problem w tym, że po drodze jak zawsze zmieniła zdanie co do sukienki i zamieniła ją na dłuższą, obszytą czerwoną koronką. Bo wtedy kręgi będą jak krew, a jej utwór nosi tytuł *Tętnica życia*, więc wszystko będzie do siebie pasować. Niestety, jak puściliśmy w ruch platformę, to ta sukienka okazała się za długa i z miejsca wkręciła się w maszynię. I teraz mamy problem, bo Hutniak stoi spętana i przypomina wędzony baleron. Spece od kwadransa debatują, jak ją uwolnić, bo nie zgodziła się na rozcięcie sukni. Zaczęła krzyczeć, że to arcydzieło, które trafi kiedyś do muzeum. A dzieł sztuki, rozumiesz, się nie niszczy i ona na to nie pozwoli. Więc teraz stoi nadęta i niestety robi się coraz bardziej czerwona na twarzy. Myślę, że ta wkręcona sukienka odcięła jej dopływ krwi do mózgu i lada moment trafi ją apopleksja. A wtedy będę musiał zredagować jej nekrolog do prasy. Trochę to potrwa...

– Koniecznie zrób jej zdjęcie! Jak przyjdzie czarna godzina, to je sprzedamy paparazzim – poleciła mu Róża, kiedy skończyła rechotać. – A jak już się uwolnisz od tej wariatki, natychmiast wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj do Kopielnik. Wysłałeś mnie na zjazd morderców, to teraz siedź tu i bój się razem ze mną.

– No słyszałem o incydencie, jaki się tam wydarzył – przyznał niechętnie Paweł. – Naprawdę jeszcze mnie tam brakuje ci do szczęścia?

– Owszem – powiedziała stanowczo pisarka. – Nie chcę być tu sama.

– To się pakuj i wracaj! Po co tam zostałeś? – spytał zdziwiony.

– Po pierwsze, bo nikt nie wyjechał. – Róża przez chwilę zastanowiła się, jak przekonująco wytłumaczyć swojemu PR-owcowi powód, dla którego zdecydowała się zostać na miejscu, chociaż znienacka zamieniło się z sielankowego w budzące grozę, bo przecież nie powie mu, że uznała to za doskonałą inspirację do napisania kolejnej książki. – A po drugie, obawiam się, że w jakiś dziwny sposób to morderstwo łączy się ze mną...

– W jaki?! – zdumiał się Pepe.

– Przede wszystkim morderca posłużył się trucizną tak jak w mojej powieści *Krwawe zaręczyny*, tyle że jest mądrzejszy, bo kurarę zastąpił cyjankiem potasu. Ale to nie wszystko! Egzemplarz tej książki tajemniczo znalazł się tutaj i w dodatku miał zaznaczone karteczkami strony, na których opisywałam kolejne zbrodnie – wyjaśniła nieco chaotycznie Róża – a ponadto na talerzu ofiary ktoś zostawił różę. Nie sądzisz, że to jednoznaczny znak?

– Tym bardziej jestem zdania, że powinnaś stamtąd wyjechać – powiedział Pepe. – I mam nadzieję, że podzieliłaś się swoimi spostrzeżeniami z policją?

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

– Róża...? – Paweł przybrał swój najpoważniejszy ton. – Powiedziałaś o książce policji, prawda?!

– Oczywiście, że nie – prychnęła Róża. – Od razu stałabym się podejrzana. Wiesz, jaka jest nasza policja. Włączyliby mi podsłuch, zaczęli sprawdzać maile...

– O ile wiem – rzekł ostrożnie Paweł – to jedyną nielegalną rzeczą, którą kiedykolwiek wysłałaś mailem, był przepis na sernik z białą czekoladą, który ukradłaś mi z notatnika...

– Bo ty się z tymi przepisami tak kryjesz, jakby to była instrukcja, jak domowym sposobem skonstruować bombę atomową – zezłościła się Róża – a poza tym nie życzę sobie póki co wzbudzać większej sensacji niż to konieczne, bo mam swój tajny plan!

– O nie! – jęknął Paweł. – Tylko nie plan...

– Owszem – potwierdziła entuzjastycznie Róża. – I tym razem jestem pewna, że wypali...

Rozpacz jej agenta brała się z doświadczeń, jakich nabył przez lata współpracy ze swoją pracodawczynią. Na samym początku ich wspólnej drogi Róża miała plan, aby poszukać inspiracji w więzieniach, gdzie będzie odbywała rozmowy ze skazańcami i wykorzystywała potem ich zwierzenia przy tworzeniu fabuł powieści. W efekcie kilkunastu skazańców z miejsca się w niej na zabój zakochało, zaczęło jej wysyłać zza kratki listy z propozycjami natury seksualnej

lub matrymonialnej. Jeden okazał się takim desperatem, że na przepustkach nie dość, że spał na schodach przed jej domem, co jeszcze można było uznać od biedy za przejaw uwielbienia, ale też załatwiał tam swoje potrzeby fizjologiczne, czego już nijak pod wyraz afektu podciągnąć się nie dało. Na szczęście, zanim zdążył się spotkać z Różą, policja przymknęła go za kradzieże, jakich dokonywał w pobliskim sklepie. Podczas tej odsiadki odkochał się w pisarce i zakochał na zabój w Natalii Siwiec. Drugi „genialny plan” Róży polegał na tym, że spróbuje ona dokonać kilku włamań, żeby rzetelnie opisać je potem w książkach. Tym razem rezultat był taki, że Paweł kilka razy musiał odbierać swoją pracodawczynię z „dołka” w rozmaitych komisariatach. Jediną pociechą była dla niego myśl, że Róża nigdy nie pisała w swoich powieściach o gwałtach. Była to jednak pociecha dość marna, wzięwszy pod uwagę, że autorka miała wkrótce rozpocząć serię dotyczącą porwań. Na szczęście, pomna swoich wpadek przy włamaniach, tym razem ku uldze swojego PR-owca zrezygnowała z aż tak dogłębnego researchu.

– Róża, czy wiesz, jak ciężko będzie cię wyciągać z mamra, do którego na pewno trafisz dzięki swojemu planowi? – jęknął teraz Pepe. – Poza tym nie wiem, jak wytrzymasz w celi. Uprzejmie ci przypominam, że masz klaustrofobię i mdlejesz nawet wtedy, gdy winda zatrzymuje się między piętrami...

– Już ty nie bądź taki troskliwy... – Różę nagle olśniło, jak zwabić do Kopielnik swojego przyjaciela. – A poza tym jest tutaj kucharz, który gotuje takie potrawy, o jakich nigdy nie słyszałam. I ty pewnie też! Dzisiaj na obiad... – pisarka sięgnęła po rozpiskę menu, dostarczoną jej z samego rana w związku z tym, że jadalnia jako miejsce mordy została zamknięta, a wejście do niej zaplombowane, więc zamówione posiłki miały być przynoszone bezpośrednio do pokoiów – będzie na przykład mus z kabanosa z ziemniakami o smaku coca-coli i sałatką z glonów, a na deser lody ogórkowo-musztardowe. Rewelacja, no nie?

„Nawet menu objazdowej budy z kebabami brzmi przy tym atrakcyjnie”, pomyślała. Była jednak pewna, że argument kulinarny zadziała. I bynajmniej się nie rozczarowała.

– No dobrze... Chętnie posłucham, co wymyśliłaś, a potem wybiję ci to z głowy – powiedział Pepe. – Jak tylko znajdziemy sposób na zamianę baleronu z powrotem w Hutniak, wsiałam w samochód i jadę. Myślę, że za jakieś dwie, trzy godziny dotrę. Postaraj się do tego czasu nie zrobić nic głupiego!

ROZDZIAŁ VI

Zagadka czarnej róży

Róża odłożyła telefon na biurko i przez chwilę zastanawiała się, co robić. Bezczynność nigdy bowiem nie leżała w jej naturze. Do spotkania z prasą zostało jeszcze kilka godzin, bo dziennikarze zgodnie z pierwotnym planem mieli przyjechać dopiero na uroczystą kolację, zmierzyć się z arcytrudnym zadaniem wysłuchania, jak to zapisano w programie, „fascynującej prelekcji Kiki Luni na temat kondycji polskiej literatury”, a potem mieć sposobność porozmawiania z każdym uczestnikiem zjazdu. Oczywiście w związku z zamknięciem jadalni owego punktu nijak nie dało się zrealizować, ale godziny spotkań z dziennikarzami już nie przekładano. Ku niezadowoleniu Kiki, która już widziała się na okładkach wszystkich polskich periodyków, od „Faktu” począwszy, a na „Wędkarzu Polskim” skończywszy, nie pozwolono też rozszerzyć listy zaproszonych gości o licznych żurnalistów i fotografów, którzy w związku z morderstwem chcieli wyciągnąć choć kilka słów od świadków zbrodni i zrobić jakiegokolwiek zdjęcie dla swoich gazet. Brama wjazdowa do posiadłości została zamknięta na głucho i na wszelki wypadek postawiono przy niej młodego funkcjonariusza. Ten pławił się w duchu nagle spadłą na niego sławą i z nadętą miną godną jakiegoś ministra pozował kilkunastu paparazzim, którzy pojawili się w Kopielnikach.

Róża wyciągnęła swojego laptopa i żeby jakoś zabić czas do przyjazdu Pawła, usiłowała pchnąć trochę do przodu zaczęta kilka tygodni wcześniej książkę. Po trzech minutach dotarło jednak do niej, że zapomniała w ferworze pospiesznego pakowania – czy nigdy nie nauczy się nie robić wszystkiego w ostatniej chwili?! – zabrać kartki, na której rozpisała intrygę kryminalną, i w związku z tym nie ma

bladej koncepcji, kto miał kogo zabić i po co, a na kogo miały paść podejrzenia. Do tego wszystkie stworzone przez nią postacie nagle wydały jej się beznadziejnie nudne, sama książka przegadana i monotonna, a kulminacyjna scena morderstwa – dziecinnie nieporadna. W obliczu prawdziwej zbrodni, której była wczoraj świadkiem, jej własna twórczość wydała się nagle kompletnie wyprana z emocji. Po kilku kolejnych sekundach pisarka zamknęła plik z tekstem powieści, wydając z siebie gniewne pufnięcie. Może jednak rację mają ci krytycy, którzy twierdzą, że jest grafomanką i nigdy nie powinna napisać niczego więcej niż CV do „Biedronki”? Róża przez chwilę siedziała w bezruchu, pogrążona w ekspiacyjnych rozmyślaniach o własnej beznadziejności, a potem, nie za bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, kliknęła w przeglądarkę internetową. Na ekranie pojawiła się, ustawiona jako jej strona startowa, wyszukiwarka Google. Zamyślona pisarka wpisała odruchowo hasło „czarna róża”, co dotarło do niej dopiero, kiedy przed jej oczami pojawiły się rezultaty wyszukiwania. „Czarna róża pnąca, silnie pachnąca”, głosiła nazwa pierwszego odnośnika, prowadzącego do portalu Allegro. „Nawet nie czuję, jak rymuję”, pomyślała złośliwie Róża. Kolejny link wiódł do strony z gramami. Ta, nazwana „Czarna róża”, według twórców „zapewniała mocne wrażenia wszystkim fanom horrorów”. „Poczekaj tylko do zmroku, zgaś światło, załóż dobre słuchawki i wczuj się w klimat”, zachęcał opis. Róża, która spędziła ostatnią noc przy zapalonych wszystkich możliwych światłach, zasuniętych szczelnie kotarach i na wszelki wypadek z zabranym z sali i schowanym pod poduszką nożykiem do krajania ryb, którym w razie czego mogłaby co najwyżej wydłubać ewentualnemu mordercy oko, poczuła na plecach dreszcz. Żadnych więcej horrorów, o nie! Kolejny link też dotyczył gry. „*Czarna Róża* to gra typu thriller, w której będziesz sterował dziewczyną o imieniu Linda. Twoja bohaterka została zamknięta w tajemniczym domu, w którym według legendy zamordowano kilkanaście osób. Pomóż jej rozwikłać zagadkę i znaleźć krwiożerczego mordercę”, głosił opis. „Szkoda, że nie mogę sterować robotem o imieniu Róża – pomyślała pisarka, w duchu wyobrażając sobie odchudzonego androida, którego wysyłałaby zamiast siebie na spotkania autorskie – zawsze lepiej stracić cyborga niż życie”. Kolejnych kilka haseł prowadziło do stron tłumaczących, jak wyhodować czarne róże. Pierwszą stronę wyszukiwań kończył opis książki Nory Roberts *Czarna róża*. Nic związanego z morderstwem w Kąpielnikach...

Róża zniechęciła się i zamknęła laptopa. Następnie narzuciła sobie na ramiona szal, bo ogrzewanie w dworku przegrywało nieco z jesiennym chłodem, zamknęła drzwi i udała się na poszukiwanie którejś ze swoich koleżanek. Stanowczo nie mogła przebywać teraz sama! Puste korytarze posiadłości, która jeszcze wczoraj robiła na niej wrażenie domu z marzeń, dzisiaj wydawały się idealną scenerią do thrillera. Twarze szlachciców i ich żon, uwiecznione na zdobiących korytarze portretach, były jej zdaniem wykrzywione w groteskowych

grymasach i zdawały się kpić z niej. Róża poczuła się nagle jak owca prowadzona na rzeź. I do tego ta cisza! Cały budynek w niej tonął i pisarka pomyślała nagle, że może wszystkich tu już zamordowano i tylko ją morderca zostawił sobie na deser jako wisienkę na torcie i zaraz zacznie ją ganiać z jakimś toporem, siekierą albo innym niewygodnie ciężkim narzędziem mordy. Poddając się, wbrew rozsądkowi, wytworom swojej wyobraźni i czując, że nie da rady iść dalej, stanęła przed jakimiś drzwiami i energicznie kilka razy w nie zapukała. Ku jej wielkiej uldze po kilku sekundach jedno z potężnych skrzydeł zaczęło się otwierać.

– O, pani Róża – powiedziała jedna z poznanych przez pisarkę dzień wcześniej blogerek. – Właśnie o pani rozmawialiśmy, co za zrządzenie losu! Zapraszamy...

– Jakoś głupio tak siedzieć samej – wyjaśniła nieco zawstydzona pisarka, czując, że powinna usprawiedliwić swoją wizytę. – Pomyślałam, że skoro już trafiła się okazja, to może trochę poznamy się i porozmawiamy...

Dwie pozostałe blogerki siedziały na łóżku. Pokój dziewczyn był o wiele mniejszy i skromniej wyposażony od apartamentu Róży, ale przez to robił wrażenie bardziej przytulnego. Pisarka usiadła w jedynym znajdującym się w tym pomieszczeniu fotelu, a dziewczyna, która ją wpuściła, zajęła się przygotowaniem napojów.

– Herbata malinowa z melisą doskonale pani zrobi – wyjaśniła rezolutnie. – Bo tu i zimno, i straszno, więc trzeba się rozgrzać i uspokoić.

– Przypomnicie mi swoje imiona? – poprosiła nieco zawstydzona Róża. – Wiem, że wczoraj mi się przedstawiałyście, ale kompletnie nie mam głowy do zapamiętywania imion, nazwisk i twarzy oraz kojarzenia jednego z drugim i trzecim. Czasem aż mi głupio. Na przykład w trakcie spotkań autorskich, kiedy trzeba wpisywać dedykacje. Ktoś podchodzi, wiem, że na pewno już go spotkałam i to niejednym razem, że znam go też z Facebooka, i nagle mam dziurę w głowie. A już najgorzej, jak na moje pytanie, komu mam zadedykować książkę, ten ktoś odpowiada: „No jak to? Mnie!”. I bądź tu teraz mądra. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, ile osób mnie przez to zniechęciło...

– Na pewno nikt – pocieszyła ją jedna z dziewczyn siedzących na łóżku. – Ludzie rozumieją takie sytuacje. A nas łatwo zapamiętać, po włosach. Ja jestem ruda i może się pani tak do mnie zwracać. Wszyscy tak do mnie mówią, choć tak naprawdę mam na imię Paula. Obok mnie siedzi Ania, czyli Dama Karo. Jak wiadomo, każda Ania jest typową Słowianką i musi być blondynką. Zgadza się, prawda? A naszą mistrzynią herbat na każdą okazję jest Wiola. Jako jedyna ma ciemne włosy.

– Ruda, Ania, Wiola... – powtórzyła Róża, odbierając z rąk brunetki kubeczek z aromatycznym naparem – daję słowo, że postaram się zapamiętać. I co wy o tym wszystkim sądzicie?

– Że jest ekscytujące! – wykrzyknęła entuzjastycznie Ruda. Jej koleżanki spojrzwały na nią z lekkim wyrzutem. – To znaczy, przepraszam, bo panie chyba byliście przyjaciółkami...

– Znałyśmy się, ale przyjaźnią raczej bym tego nie nazwała – powiedziała ostrożnie Róża. – Raczej znajomością, i to niezbyt bliską. Ale, ale... Siedziałyście wczoraj vis-à-vis Grażyny. Nie zauważyłyście nic podejrzanego...?

Dziewczyny wymieniły się niepewnymi spojrzeniami.

– Właśnie o tym rozmawiałyśmy, kiedy pani zapukała – wyjaśniła Ania. – Że jak zeznawałyśmy na policji, to byłyśmy tak oszołomione, że prawie nie mogłyśmy wydusić z siebie słowa, a co dopiero włączyć funkcję myślenia. A poza tym ten policjant, który nas przesłuchiwał... No, jakby to powiedzieć...

– Niezłe z niego ciacho! – Ruda wróciła do swojego entuzjastycznego tonu. – Taki przystojniak, że się nie dało skupić! Wyglądał jak brat bliźniak Matta Bomera, tego aktora z *Białych kołnierzyków* i *Magic Mike'a*!

Róża potaknęła, bo i ją podobieństwo przedstawiciela naszych służb do amerykańskiego boga seksu nieco zbijało z pantafelku. Tym bardziej że zdjęcie przystojnego Amerykanina miała ustawione jako wygaszacz komórki, tapetę laptopa i, jakby tego było mało, nosiła je też w portfelu i pokazywała czasem co bardziej namolnym podrywaczom jako fotografię swojego narzeczonego. Bywały nawet takie chwile, kiedy zaczynała sama wierzyć, że jest w związku z Bomere i wracając wieczorem do domu, czuła zdziwienie, że nie czeka tam na nią z kolacją i rozpiętą koszulą, na wypadek gdyby przed kolacją zachciało jej się trochę pobaraszkować. Bo w końcu, jak wiadomo, zawsze lepiej uprawiać seks przed jedzeniem niż po nim.

– Na mnie nie zrobił żadnego wrażenia – nie zgodziła się Wiola. – Ale ja mam inny gust. Nie lubię, jak facet jest tak nachalnie przystojny...

– Jasne, najlepsze jest piękno ukryte – powiedziała złośliwie Ruda. – Jak u Jasia Fasoli...

Róża poczuła, że rozmowa zejdzie zaraz na boczny tor i już z niego nie wróci, a co najwyżej się wykolei.

– Więc co z tymi waszymi zeznaniami? – zapytała. – Rozumiem, że nie powiedziałyście wszystkiego?

– Nie. – Wiola pokręciła głową. – Ale tylko dlatego, że pewne sytuacje przypomniały nam się, kiedy zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać. Już po tym, jak złożyłyśmy zeznania.

– Na przykład? – zaciekawiała się Róża.

– Była taka chwila... – powiedziała wolno Ania. – Początkowo nie przykładaliśmy do niej większej wagi, ale teraz myślimy, że była istotna. Tych dwóch kelnerów, którzy nas obsługiwali, miało podzielone między siebie części stołu. To znaczy, ten wyższy brunet podawał z reguły wszystko nam, a ten niższy

blondyn – gościom siedzącym po drugiej stronie. Ale jakoś tak na kwadrans, zanim wydarzył się ten... wypadek, ten nasz rozstawił na stole nowe kieliszki. Myśli pani, że to ważne?

– Na pewno! – bez mała krzyknęła Róża. – Bardzo ważne!

– No właśnie nie jesteśmy tego pewne, bo to jeszcze nie koniec. – Wiola pokręciła głową. – Po kilku minutach blondyn przyszedł, sprzątnął te kieliszki, które rozstawił jego kolega, i zamienił je na jeszcze inne. Czyli zrobił to, co do niego należało...

Róża powściągnęła swój entuzjazm. Faktycznie, w takim układzie zachowanie kelnerów wyglądało na zwykłe niedogadanie, a nie jakąś z góry zaplanowaną akcję.

– A poza tym ten przystojny pytał, czy to prawda, że przez ten cały czas nikt się nie ruszał od stołu, bo wszyscy tak zeznali – przypomniało się Ani.

– Owszem, bo przecież tak było. – Róża, która też potwierdziła to policjantowi, pokiwała głową.

– Ale to nieprawda! – zaprzeczyła Ania. – Ten emo wstał i podszedł do kominka, tam gdzie stały tace z przygotowanymi naczyniami na zmianę.

– Emo? – nie rozumiała Róża. – Kogo masz na myśli?

– Ten z długimi czarnymi włosami, taki smutny i chudy – opisała blogerka.

– Narzeczony Leny – skojarzyła Róża, a widząc pytające spojrzenia swoich rozmówczyń, dodała: – Córki Kiki Luny...

– Właśnie ten! – potwierdziła Ania. – Wstał, zrobił kilka kroków, postął tam chwilę, a potem zabrał coś stamtąd i położył na stole przed sobą...

– Dziwne – powiedziała zamyślona Róża. – W ogóle nie mogę sobie przypomnieć tego momentu, a przecież siedział trzy miejsca ode mnie...

– Cztery – poprawiła Wiola. – Zrobiłyśmy sobie całą rozpiskę! O, proszę...

Podawa Róża dużą kartkę, na której wcześniej wraz z koleżankami oznaczyły kolejność, w jakiej feralnego wieczoru usadowiono gości. Począwszy od dłuższego boku przy stole, zasiedli po kolei: Krystian, Lena, Kika, Dawid, Róża, Miłka, Mateusz, Grażyna i Katarzyna. Potem przy krótszym boku menedżerowie dworku, Joanna i Darek, a obok nich Grzegorz. Potem znów przy dłuższym Ania, Wiola i Ruda, Julia, Kornelia, Olka i Mariella. Drugi z krótszych boków pozostał pusty, a stół przed nim zdobił wielki, dwunastoramienny srebrny świecznik.

– Niech pani zauważy, że Krystian siedział na samym brzegu, tuż przy kominku. – Ania popukała w kartkę. – Pewnie też nie zauważyłabym, że wstał, gdyby nie to, że siedziałam dokładnie vis-à-vis. A poza tym... Skoro już mówimy o naszych gustach, to ja lubię takich długowłosych...

– W ten sposób wasze fascynacje facetami dały nam materiał do przemyślenia. – Róża się zaśmiała. – Tylko nie za bardzo rozumiem, jakie to ma znaczenie. Szkoda, że żadna z was nie zauważyła, kto położył na stole czarną

różę...

Bloggerki spojrzały na nią niepewnie.

– Zauważyłyście? – zapytała coraz bardziej zszokowana pisarka. – I tego też nie powiedziałyście policji? Dziewczyny, jak mogłyście?!

– No właśnie nie... – zaczęła niepewnie Wiola. – Nic nie zauważyłyśmy. Tylko... Tak nam się skojarzyło... Zaraz pani coś pokażemy. Ania, wyszukaj tę stronę jeszcze raz.

– Dodałam ją do ulubionych – powiedziała Ania, sięgając po swojego laptopa. – Cały czas dręczyło mnie, że z czymś mi się ta czarna róża kojarzy. Myślałam, że z jakąś książką, która kiedyś przeczytałam, ale jednak nie. Niech pani popatrzy!

Triumfalnie podała pisarce swojego macbooka. Róża przebiegła oczami treść wyświetlonego tam artykułu, klnąc w duchu na to, co jej się zrobiło ostatnimi laty w głowie tam, gdzie nieco wcześniej miała mózg i pamięć. Siańsko, a raczej przegniła słoma. Jak mogła o tym zapomnieć! W końcu na kanwie przejmującej historii, którą teraz przypominał jej artykuł, sama chciała kiedyś napisać powieść! Tytuł reportażu brzmiał: „Tajemnica czarnej róży” i opisywał historię zaginięcia znanego krakowskiego bibliotekarza i blogera literackiego, prowadzącego portal „Strumień liter”, Bogdana Kowalskiego. Liczący sobie czterdzieści osiem wiosen przykładowy mąż, ojciec nastoletniego syna, znany jako dusza towarzystwa, społecznik, a przede wszystkim animator życia kulturalnego w grodzie Kraka oraz – o czym artykuł wspominał tylko mimochodem – plotkarz i tropiciel afer, w większości wypadków wydumanych, w światku literackim, pewnego dnia po prostu rozpląnął się w powietrzu. O 20.00 odebrał w domu telefon, ucałował żonę, mówiąc jej, że musi jeszcze coś sprawdzić w bibliotece przed jutrzejszą inwentaryzacją, co jego ślubnej w ogóle nie zdziwiło, bo wiedziała, jakiego fioła jej ukochany ma na punkcie kierowanego przez siebie obiektu, i przyzwyczaiła się, że przesiaduje tam czasem do późnej nocy. Na schodach Bogdan spotkał jeszcze syna i obiecał mu, że jak wróci, pogra z nim chwilę w „Warlorda”, a potem zrobią powtórkę z zadań matematycznych, bo w końcu przed chłopakiem rok maturalny, i... tyle. Z jego domu do biblioteki szło się niecały kwadrans. Kamery monitoringu miejskiego uwieczniły jeszcze, jak przechodzi najpierw przez skrzyżowanie znajdujące się nieopodal jego domu, a potem obok sklepu „Żabka”, a dalej ślad się urywał. Mniej więcej po godzinie pani Kowalska odebrała połączenie od wściekłej bibliotekarki, współpracownicy jej męża. Ta gniewnym tonem oświadczyła, że zatrudniana przez nią opiekunka do dziecka musi już iść do domu, więc ona nie może dłużej czekać na szefa, który w dodatku nie dość, że się nie zjawił, to jeszcze nie odbiera telefonów. Zaniepokojonej Danucie Kowalskiej ruszyła z miejsca wyobraźnia, podsuwając obraz męża leżącego na chodniku i umierającego na zawał serca, tudzież rozjechanego na ulicy przez jakiegoś pirata drogowego, prującego na

czerwonym świetle. Wyimaginowane katastrofy były o tyle dziwne, że Bogdan cieszył się końskim zdrowiem i nigdy nie miał żadnych problemów kardiologicznych, a od biblioteki dzieliło go kilka małych bocznych uliczek, na których łatwiej było zobaczyć pijanego menela niż jakiś samochód. Niemniej gnana potrzebą skonfrontowania wytworów wyobraźni z rzeczywistością Danuta chwyciła płaszcz i ruszyła w drogę, którą powinien wcześniej przemierzyć jej mąż. W kwadrans dotarła do biblioteki, nie napotkawszy po drodze żadnych zwłok, znajomych albo nie, ani też najmniejszych śladów jakiegokolwiek wypadku. Nieco się uspokoiła, myśląc, że być może mąż spotkał po drodze kogoś znajomego i teraz siedzi w jakiejś knajpie, których dokoła nie brakowało, rozmawia, popija piwo i doskonale się bawi. Trochę dziwne było co prawda to, że nie zadzwonił i nie zameldował jej o zmianie swoich planów, co zawsze robił, ale może tym razem o tym po prostu nie pomyślał. Raz na sto lat każdemu może się zdarzyć. Danuta wróciła do domu, ale po kolejnej godzinie poczuła, że coś jednak jest nie tak. W poszukiwaniu wciągnęła syna, licząc na to, że co dwie osoby to nie jedna. Syn obleciał okoliczne bary, puby i restauracje, ale w żadnej z nich nie znalazł ojca. Doprowadzona już do szczykania zębami Danuta udała się więc na policję, która po kolejnych kilkunastu godzinach zaczęła badać sprawę zaginięcia bibliotekarza. Niestety, bez sukcesu. Nie pomogło też zatrudnienie prywatnego detektywa i oblepienie całego miasta listem z podobizną bibliotekarza i dramatycznym apelem o jakąkolwiek o nim informację. Po kilku miesiącach śledztwo umorzono. I choć zgodnie z przepisami Bogdan mógł zostać uznany za zmarłego dopiero po dziesięciu latach od swojego tajemniczego zniknięcia i dopiero wtedy można było zdobyć pozwolenie na jego pogrzeb, to Danuta już po dwóch kazała wyryć na przygotowanej zawczasu kamiennej płycie nagrobkowej jego imię, nazwisko, datę urodzenia i śmierci. Za tę ostatnią przyjęła dzień zniknięcia męża. Dwa miesiące później, przychodząc jak co niedziela, aby uporządkować ów symboliczny grób, odkryła, że ktoś położył na nim czarną różę. Pomyślała wtedy, że to bardzo miłe, iż ktoś jeszcze pamięta o człowieku, który za życia znany był z życzliwości, bezinteresowności i pomógł wielu osobom. Kiedy jednak miesiąc później odkryła kolejną różę, a po kolejnych czterech tygodniach – następną, wydało jej się to podejrzane. Poszła więc na policję. Niestety, nie znalazła tam już nikogo, kto pamiętałby sprawę jej męża, a fakt, że ktoś zostawia na jego grobie raz w miesiącu kwiat, został zbagatelizowany i, ku jej niesmakowi, nawet lekko wyśmiany. Danuta próbowała się zacząić i kiedy nadchodził odpowiedni czas, bywać częściej w okolicach grobu, aby ewentualnie natknąć się na osobę ozdabiającą grób jej męża tak charakterystycznym kwieciem, ale nigdy jej się to nie udało. Raz nawet zostawiła list do tego tajemniczego „ktosia” z prośbą o spotkanie, ale została zlekceważona. Ktokolwiek pozostawiał na grobie różę, nie chciał ujawnić swojej tożsamości. „Czy to wyraz skruchy targanego wyrzutami

sumienia porywacza-mordercy? A może wyraz romantycznych uczuć jakiejś zakochanej w bibliotekarzu kobiety? Rozwiązania zagadki czarnej róży zapewne nie doczekamy się nigdy!” – kończył się artykuł.

– Ciekawe... – powiedziała Róża, odrywając wzrok od laptopa. – Myślicie, że nasza zbrodnia ma coś wspólnego z tą sprawą?

– Właśnie o tym dyskutowaliśmy, kiedy pani zapukała – odpowiedziała Ania. – I trochę dziwne wydaje nam się to, że w jednym miejscu spotkało się co najmniej sześć osób, które wtedy też były w Krakowie, a na co dzień tu nie mieszkają...

– Sześć osób? – Róża uniosła brwi w grymasie zdziwienia. – Jak to sześć?

– W dniu, kiedy ten pan zaginął – powiedziała Wiola, pisząc coś na laptopie – w empiku przy rynku odbyło się spotkanie autorskie trzech pisarek. O, niech pani popatrzy...

Podsunęła Różę ekran prezentujący plakat z anonsem spotkania z – jak głosiło hasło reklamowe – „trzema sensacjami polskiej literatury kobiecej”. Pod spodem znajdowało się zdjęcie przedstawiające trzy kobiety w pozie charakterystycznej dla słynnych Aniołków Charliego, choć środkowa z pań prezentowała się na nim, jakby przed chwilą zjadła aniołka, a nawet cały ich zastęp. Róża nie musiała się długo zastanawiać, kim są uwiecznione na fotce kobiety, a gdyby nawet miała co do tego wątpliwości, rozwiewał je podpis na dole: „Grażyna Winnik, Kika Luna, Julia Kulicka”. Faktycznie, w czasach gdy się przyjaźniły, pisarki zgodziły się wziąć udział we wspólnej trasie po kilku miastach Polski. Trafiły wtedy też do Krakowa. A dziś jedna z nich nie żyje...

– To trzy osoby – powiedziała, odrywając wzrok od komputera. – A pozostałe trzy?

– Nie popatrzyła pani uważnie – zganiała ją Wiola. – Widzi pani, kto prowadził spotkanie?

Róża wróciła wzrokiem do komputera i wczytała się w treść komunikatu na plakacie.

– W porządku, mamy kolejnego podejrzanego – powiedziała. – Grzegorz Kąciszewski. Kto dalej...?

– Dalej to muszę znowu poszukać... – rzuciła Wiola, ale Ruda wtrąciła.

– A ja tymczasem przygotowałam już kolejny dowód rzeczowy – oznajmiła. – A właściwie fotograficzny...

– Fotograficzny to też rzeczowy – poprawiła ją Róża, zamieniając z rąkach laptopa. – O cholera...

Kilka średnio wyraźnych zdjęć, zrobionych w czasie spotkania trzech pisarek, pokazywało nie tylko bohaterki wieczoru, ale i widownię. Kilkadziesiąt siedzących osób, a w pierwszym rzędzie Mariellę Miszalek i Katarzynę Skrzypińską!

– No dobrze... – powiedziała Róża, starając się ochłonać. – Ale to, że w dniu zaginięcia Kowalskiego było tu kilka pisarek i jeden wydawca, o niczym nie świadczy. Równie dobrze może to być przypadek...

– Niby tak... – rzekła z powątpiewaniem Ruda. – Ale przyzna pani, że to dziwne.

– Dziwne, nie dziwne, jestem przekonana, że powinnyście to wszystko opowiedzieć policji – oświadczyła stanowczo Róża. – Której z was najbardziej podobał się ten przystojny komisarz?

– Chyba mnie... – przyznała Ruda. – A co?

– Bo właśnie zamierzam zadzwonić do komendy pod numer, który mi podyktował – powiedziała Róża, wyciągając z kieszeni telefon. – I oddam ci słuchawkę, żebyś mu wszystko dokładnie wytłumaczyła! Jak chcesz, to możesz nawet w tym celu się z nim umówić, droga wolna...

ROZDZIAŁ VII

Starzy przyjaciele

Przedziwnym zbiegiem okoliczności Betty przyjechała do Kopielnik dokładnie w tym samym momencie co Paweł. Ponieważ jedno z nich miało przepustkę od samego Darskiego, a drugie zostało wcześniej wpisane na listę oczekiwanych gości, których należy przepuścić, a nie rozstrzeliwać przed bramą wjazdową, nie mieli żadnego problemu z dostaniem się na teren posiadłości.

– Nie wierzę, że znów się spotykamy! – ucieszył się Paweł. – Ile to lat minęło?!

– Dwa – powiedziała też uradowana jego widokiem Betty, która poznała go lata temu, kiedy pracował jeszcze w redakcji nieistniejącego już magazynu „Koktajl”. – Podobno zająłeś się PR-em?! Ty? Jakim cudem nie masz jeszcze własnej restauracji?

– Oj, długo by gadać. – Pepe machnął ręką. – Wiesz, jak to jest. Chciałem się zakręcić wokół czegoś związanego z gotowaniem, ale potem, jak zamknęli redakcję, trafiła mi się propozycja od przyjaciółki, której brakowało prawej ręki w jej firmie. I tak się wciągnąłem. A potem poznałem Różę i jakoś poszło. Ale...

Zawahał się przez chwilę.

– Masz już dosyć, prawda? – Betty spojrzała na niego ze zrozumieniem. – Wcale się nie dziwię. PR to ciężki kawał chleba. Z jednej strony twoi klienci uważają, że ich nazwiska magicznie otwierają każde drzwi, bo przecież wszyscy ich kochają, pożądamy, wręcz śnią o nich po nocach. A z drugiej słyszysz wieczne „nie” od wszystkich: mediów, organizatorów, blogerów. Więc skoro nie masz żadnych efektów, to znaczy, że jestem smerfem Ciamajdą i nie wiadomo, za co ci

się płaci. Przerabiałam to z Joanną przez pierwszych kilkanaście miesięcy. Pamiętam, jak drugiego dnia naszej współpracy kazała mi zadzwonić do szefa jednego z tygodników, żeby kazał komuś z działu kultury zrecenzować jej książkę. Powiedziała, że ten szef od lat się w niej podkochuje, więc jakby były kłopoty, to mogę dać mu do zrozumienia, że w ramach podziękowań może jej postawić kolację. Zadzwoniłam i usłyszałam, że nie ma mowy, żeby wydrukował w swojej gazecie cokolwiek o tym grafomaństwie dla kucharek. Zaskoczył mnie trochę i zanim zdążyłam to przemyśleć, z rozpędu użyłam argumentu o kolacji, na co odpowiedział, że wolałby ją zjeść w papuańskiej dżungli w otoczeniu kanibali z plemienia Kombai. Po czym starannie wyartykułował miejsce, w które mogę go pocałować. Było to, jak łatwo się domyślić, to samo miejsce, w którym miał książkę Joanny i ją samą.

– No tak... – przytaknął Paweł. – Przy okazji przyjmij wyrazy współczucia à propos Joanny. To strasz...

– Nie chcę o tym rozmawiać! – przerwała mu stanowczo Betty. – Przynajmniej na razie. A co właściwie tutaj porabiasz?

– Jak pewnie wiesz, pracuję dla Róży Krull – wyjaśnił Pepe. – Jest w porządku. Nawet bardzo. Jeśli tylko na jakimś wyjeździe zdążę na czas zamknąć przed nią barek z alkoholami i upilnować, żeby nie poderwała jakiegoś nastolatka wychodzącego z siłowni, to praca z nią jest prawdziwą rozkoszą. Zdążyliśmy się nawet zaprzyjaźnić. Ze wszystkich moich trzech klientek jest najfajniejsza.

– A kogo masz tam jeszcze w swojej stajni? – zacięła się Betty.

– Kludię Hutniak i Annę Ziolo – powiedział Pepe.

– Cóż za doborowe towarzystwo! – roześmiała się Betty. – Pisarka, która prawie nic nie pisze, piosenkarka, która prawie nic nie nagrywa, i aktorka, która prawie w niczym nie gra, tylko rodzi dzieci. Nic dziwnego, że jesteś taki chudziutki. Dziwne za to, że jeszcze nie trafiłeś przez nie do psychiatryka. Co jedna, to lepsza.

– Hutniak chyba mnie właśnie zwolniła – przyznał z wahaniem Pepe, bo sam nie był tego pewny. W kilku zdaniach zrelacjonował Betty wydarzenia tego popołudnia, dopowiadając resztę historii: – Jak ją już wykręciliśmy z tej platformy, to zaczęła spazmować i zawodzić wniebogłose, że to wszystko było ukartowane przez jej konkurencję, a następnie oskarżyła mnie o to, że chciałem ją zabić na zlecenie innej diwy, równie walniętej. A potem powiedziała, że od dziś nie mam wstępu do jej serca ani do żadnego pomieszczenia, w którym ona przebywa. Ot, takie swoiste połączenie romantyzmu z przyziemnością.

– Biedaczek... – Betty, w której Pepe zawsze budził instynkty macierzyńskie, była bliska pogłaskania go po głowie.

– A tuż potem zadzwoniła Ziolo z wiadomością, że jest w czwartej ciąży, z której się bardzo cieszy, bo znów będzie mogła zostać twarzą Bebiko, Ibupromu

dla dzieci i odsysacza mleka. I że na razie w związku ze swoim stanem nie zamierza w niczym występować, co znowu nie jest jakimś wielkim ewenementem w jej karierze. Tak czy siak na razie chce mi dać wolne.

– Jak się wali, to na całego... – podsumowała Betty, ale Pepe pokręcił głową.

– Niekoniecznie – powiedział. – Jakies pół godziny temu odebrałem w samochodzie telefon. Dzwoniła sama Magda Gessler. Ktoś znajomy podał jej adres mojego bloga kulinarnego. Obejrzała go, jest zachwycona i chce się ze mną spotkać, żeby porozmawiać o pracy. Czujesz?! Magda Gessler chce mnie zatrudnić! Czy wiesz, co to znaczy?!

– Że będzie na ciebie krzyczała, że trujesz ludzi? – zapytała Betty, bo rzeczona restauratorka, a zarazem gwiazda telewizyjnych programów kulinarnych, właśnie z tym jej się kojarzyła. – I rozrzuciła ci po kuchni patelnie i garnki?

– Nie bądź niemądra – zganił ją Pepe. – Praca z Gessler to marzenie każdego pasjonata kuchni. Jeśli zaproponuje mi coś sensownego, to nie będę się wahał ani chwili. Tylko, proszę, nie mów o tym jeszcze Róży. Zawiadomię ją w odpowiedniej chwili. Teraz nie chcę jej dokopać. I tak jest niezdrowo podniecona tym, co się tutaj wydarzyło.

– A o czym nawet nie zdążyliśmy pogadać – zauważyła Betty, bo faktycznie stali już przed drzwiami wejściowymi do dworku. – I coś czerwonego tu do nas truchta...

Od strony ogrodu faktycznie nadbiegała tak zwanym kurcgalopem mocno zdyszana kobieca postać ubrana w płaszcz w krwistym kolorze.

– Róża? – zdziwił się na jej widok Paweł. – Musiało się wydarzyć coś szokującego, skoro biegnie. Najpewniej wytropiła mordercę, który ją teraz goni. Albo sama kogoś zabiła i ucieka przed obławą policyjną. Nie wyobrażam sobie niczego innego, co by ją zmusiło do wysiłku fizycznego.

Pisarka dobiegła do nich. Ciężko dysząc, oparła się o Pawła i próbowała coś powiedzieć.

– Chyba... mam... zawał... – wydusiła z wysiłkiem. – I latają... mi... mrocзки... przed... oczami.

– Uspokój się i policz do dziesięciu – poradził jej PR-owiec tonem osoby prowadzącej w wojsku musztrę. – I przy każdej liczbie rób głęboki oddech. Wciągaj powietrze kichawą i wypuszczaj otworem gębowym.

Róża spojrzała na niego wzrokiem zranionej sarenki, ale posłusznie zaczęła wykonywać polecenie.

– To naprawdę pomaga szybciej dojść do siebie? – zapytała z zaciekawieniem Betty.

– Niekoniecznie – odparł z uśmiechem Paweł. – Ale przynajmniej człek się czymś zajmuje, zapomina o histerii i nie zawraca głowy innym.

– Zwierzę! – rzuciła Róża z wyrzutem, z wolna odzyskując normalny oddech. – Za kichawę i otwór gębowy policzę się z tobą później. A na razie musicie iść ze mną do pokoju, bo zostawiłam tam telefon. A potem coś wam pokażę. Padniecie z wrażenia! O, przepraszam, my się chyba nie znamy...?

– Bardzo mi miło – powiedziała Betty, wyciągając do niej dłoń. – Beata Jankowska, poznałyśmy się przy okazji wyjazdu do Sewilli. A potem spotkałyśmy na targach...

– A tak, pamiętam! Pani jest agentką Joanny Szmidt – wypaliła pisarka, zanim zdążyła się zastanowić, co mówi. – To znaczy, była nią pani, zanim... Przepraszam, bardzo mi głupio. Nie powinnam poruszać tego tematu. Róża Krull, miło znów panią spotkać...

Uścisnęły sobie ręce i cała trójka weszła do dworku. Jego korytarze nadal straszyły pustką. Jak widać, nikt nie chciał dzisiaj opuszczać bezpiecznych granic swojego pokoju. Z daleka tylko dobiegały dźwięki jakiegoś wesołego discopolowego przeboju.

– Kuba mówi, że jak nikt nie pilnuje sprzątaczkę, to ona zawsze słucha Zenka Martyniuka, bo wtedy lepiej się jej pracuje – wyjaśniła Róża. – I twierdzi, że Zenek jest jej natchnieniem. Wziąwszy pod uwagę, ile kurzu leży pod moim łóżkiem, to raczej słabo ją natycha. A że dzisiaj nikt nie ma głowy do tego, żeby jej zwrócić uwagę, to słucha go wszędzie tam, gdzie ma jakiś sprzęt odtwarzający płyty.

– Po pierwsze, czemu zaglądałaś pod łóżko? – Paweł spojrzał na swoją chlebodawczynię podejrzliwie. – A po drugie, Kuba...?

Róża ze spokojem wytrzymała jego spojrzenie.

– Pod łóżko zaglądałam w celach badawczych – wyjaśniła. – Sprawdzałam, czy jakby ktoś się w nocy zaczął do mnie włamywać, to dam radę się tam schronić...

– Jasne! – prychnął Pepe. – Bo zbrodniarze nigdy tam nie zaglądają...

– Ale wyszło mi, że i tak się pod nim nie zmieszczę – kontynuowała ze smutkiem Róża. – Zad mi wystawał. A Kuba to boy hotelowy i wielbiciel moich książek. Pomaga mi w moim małym śledztwie...

„Hmmm, jak widać nie ja jedna mam tu misję”, pomyślała z rozbawieniem Betty.

– Ile ma lat? – zapytał Paweł, ściągając usta w dzióbek, co dla wszystkich, którzy go znali, było widowym znakiem, że zaczyna być poirytowany albo próbuje ukryć rozbawienie.

– Nie wiem, w dowód mu przecież nie zaglądałam – oburzyła się Róża. – Siedemnaście, osiemnaście...

– Czyli pewnie piętnaście – podsumował Pepe. – I znowu będzie strach przed prokuratorem...

– No co też ty opowiadasz? – oburzyła się Róża. – Przepraszam panią,

kolega ma specyficzne poczucie humoru...

– Nie musi mi pani nic tłumaczyć. – Betty odczekała chwilę, żeby zobaczyć wyraz ulgi na twarzy Róży, i dodała, mrugając do niej: – Jestem absolutnie pewna, że pan Kuba jest starszy od tego uroczego Hiszpana, z którym piła pani drinki w „Esperanzie” w Sewilli...

Różę lekko zatchnęło. Paweł wydał z siebie radosny rechot.

– Wart Pac pałaca... dobraliście się jak w korcu maku – mruknęła pisarka po chwili, otwierając drzwi swojego pokoju. Dała znać towarzyszącej, żeby na nią poczekała w progu. Podeszła do biurka, wzięła stamtąd swoją komórkę, przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby chciała z niej od razu skorzystać, ale ostatecznie wsunęła ją do kieszeni płaszczyka. Chwilę później cała trójka znów znalazła się poza budynkiem.

– Musimy się pospieszyć – oświadczyła Róża. – I przygotujcie się, że to, co zobaczycie, będzie dla was szokujące. Ale najpierw opowiem wam, co udało nam się ustalić.

Pokrótce streściła im, co odkryły blogerki, a następnie zdradziła, co wydarzyło się, kiedy już zmusiła swoje rozmówczynie do odbycia rozmowy z policją.

– Ten przystojny kazał im przyjechać razem z laptopami, żeby mu wszystko opowiedziały i pokazały na miejscu – mówiła. – Oczywiście nie trzeba ich było długo namawiać. Zwłaszcza Rudej. Wyraźnie zagięła parol na tego komisarza i wcale jej się w sumie nie dziwię...

– Serio jest taki przystojny? – zdziwiła się równie uprzejmie, jak obłudnie Betty, która oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę z fizycznych atutów swojego ukochanego. W końcu zauroczył ją nimi już w czasie pierwszej rozmowy. Atuty innej natury odkryła dopiero później.

– Piekielnie! – potwierdziła Róża entuzjastycznie. – Sama miałabym ochotę zeznać mu to i owo...

– Doprawdy...? – Betty uśmiechnęła się krzywo pod nosem.

– Albo raczej odmówić zeznań, żeby mnie dłużej maglował – kontynuowała rozmarzonym głosem Róży. Betty z trudem zdusiła w sobie chęć natychmiastowego jej uduszenia, tym bardziej że Paweł pewnie by jej w tym usiłował przeszkodzić.

– W każdym ideale jest nieco przesady – powiedziała za to.

– Ten jest bez skazy, przynajmniej jeśli idzie o urodę – zaprzeczyła stanowczo Róża. – Musiałaby go pani zobaczyć. Wysoki...

„Metr osiemdziesiąt dwa, żaden wielkolud”, pomyślała Betty.

– ...barczysty...

„Jak zdejmie mundur, to już nie tak bardzo”.

– ... z cudownymi błękitnymi oczami...

„Kolorowe szkła kontaktowe po czterdzieści trzy złote miesięcznie za parę...”

– ...oszałamiającym hollywoodzkim uśmiechem...

„Pięć licówek na froncie i popsuta czwórka, z którą od miesiąca boi się iść do dentysty”.

– ...i, co widać nawet w mundurze, genialnym tyłeczkiem...

„Piekielne majtasy Andrew Christiana z efektem push-up z obu stron, które w dodatku sama mu kupiłam na urodziny”.

– ...po prostu wzorzec metra jeśli idzie o przystojniaków – dokończyła Róża rozmarzonym głosem godnym nimfomanki na występach Chippendalesów. – Uważajcie, bo tutaj ziemia robi się już lekko grząska. Dochodzimy do tego kawałka muru, za którym, jak mi mówił Kuba, od razu rozciąga się bagno.

Betty przez chwilę rozkoszowała się wizją sceny, w której nowo poznana wielbicielka jej ukochanego znika na zawsze z tego padolu, wciągana w czarną magmę błota.

– Pani też powinna uważać – poradziła jej. – Przypadki chodzą po ludziach. I mówi pani, że wysłała do tego seksownego komisarza trzy młode blogerki. Pewnie w dodatku ładne?

– Chyba tak... – odparła niepewnie Róża. – A co ma ich uroda do rzeczy?

– Nic, nic – rzuciła szybko Betty, próbując się opanować. – Tak tylko pytam. Skoro jest taki atrakcyjny, to pewnie uodporniony na ataki ze strony płci pięknej...

– Ta, która go sobie upatrzyła, jest bardzo atrakcyjna – przyznała Róża, nie zdając sobie sprawy, że tymi słowami wbija Betty nóż w serce. – Panowie tutaj zerkali na nią wczoraj łakomym wzrokiem, a i komisarzowi na jej widok też coś błysnęło w oku...

„Po którym wieczorem będzie miał już tylko wspomnienie”, dopowiedziała w duchu Betty.

Przez chwilę cała trójka szła w milczeniu wzdłuż muru. Dotarli do miejsca, gdzie nagle mur skręcał pod dziwnym kątem, tak jakby jego twórca raptem się rozmyślił przy budowaniu i próbował z nim zawrócić. Za owym dziwnym zakrętem stał młody, szczupły blondynek.

– Wreszcie! – krzyknął na ich widok. – Myślałem już, że panią też ktoś udusił albo utłukł. I nie wiedziałem, czy lecieć i panią pomścić, czy uciekać.

– To właśnie jest Kuba – przedstawiła chłopaka Róża, patrząc znacząco na swojego PR-owca. – Jak widać, nadal zwraca się do mnie „pani”, zauważyłeś? Więc przestań mieć tę idiotyczną minę pod tytułem „a nie mówiłem”! Kuba, to jest mój PR-owiec i przyjaciel, no powiedzmy, że z wolna już były przyjaciel, Paweł Kwiatek, a to Beata Jankowska, agentka literacka...

– Po prostu Betty i Pepe – wyjaśnił Paweł, ściskając dłoń chłopaka. – Przejdźmy od razu na „ty”, będzie łatwiej. Tylko sporo, sporo, sporo starsze osoby

wymagają dla siebie szacunku...

Róża posłała mu mordercze spojrzenie.

– Do pani Róży to nigdy bym nie śmiał mówić na „ty” – oświadczył stanowczo chłopak. – Tak jak do mojej mamy, babci albo siostry katechetki...

Betty dostała dyplomatycznego ataku kaszlu.

– I słusznie, bo sporo, sporo, sporo starsze osoby zawsze należy odpowiednio honorować – wyjaśnił Pepe.

– Jeśli jeszcze raz powtórzysz „sporo”, to sporo, sporo czasu zajmie ci wyjmowanie sobie z zadka mojej szpilki – wyszeptła mu do ucha wściekła Róża.

– I to tej, którą kupiłam sobie ostatnio w Paryżu. Pamiętasz? Tej, co to zapytałeś, czy długo musiałam się czaić, żeby ją ukraść transwestycie.

Pepe kiwnął głową z roztargnieniem, bo nagle dotarła do niego treść komunikatu wygłoszonego nieco wcześniej przez młodego znajomego jego chlebodawczyni.

– Jak to „też udusił albo utłukł”? – zapytał, odwracając się do Kubę. – Co masz na myśli?

– A, to nic im pani nie powiedziała po drodze? – zdziwił się chłopak, posyłając zdziwione spojrzenie Róży.

– Jakoś nie było okazji – odparła niepewnie pisarka. – Mieliśmy ciekawsze tematy. To znaczy inne. Poza tym chciałam, żeby sprawić im niespodziankę...

– Moglibyście nam co nieco wreszcie wytłumaczyć? – zirytował się Pepe.

– Po tym, jak blogerki pojechały na komisariat, postanowiłam się trochę przewietrzyć – grzecznie wyjaśniła Róża. – A ponieważ głupio mi było pałętać się samotnie po terenie, gdzie grasuje jakiś morderca, więc poprosiłam Kubę, żeby mi towarzyszył...

„I żebym mogła go zbałamucić w najbliższej altance”, pomyślał Pepe, ale nie wyartykułował tego spostrzeżenia głośno, postanawiając potem na boku powiedzieć pisarce, co sądzi o podrywaniu przez nią kolejnego wyrostka, tym razem rodzimego chowu.

– ...a przy okazji chciałam też obejrzeć dawny folwark, gdzie teraz mieszkają pracownicy zatrudnieni w dworku i gdzie Kuba znalazł stary egzemplarz mojego kryminału – kontynuowała pisarka. – Pomyślałam, że może dokonamy tam jeszcze jakiegoś odkrycia. Ale nic podejrzanego nie wpadło nam w oko. Kiedy stamtąd wyszliśmy, Kuba postanowił mi pokazać miejsce, gdzie ukryto tajemne wyjście z terenu posiadłości, jedyne, jakie można znaleźć w murze. Jest szczelnie przykryte bluszczem i w ogóle go nie widać. Nie używa się go od lat, bo od czasu gdy wybudowano dworek, bagno trochę się poszerzyło i nie ma już dróżki, którą kiedyś szło się stąd suchą stopą do lasu. Teraz prawie od razu wchodzi się w mokradło. To prawie tutaj, blisko miejsca, w którym teraz stoimy...

– To dlaczego tam nie przejdziemy? – spytała zdziwiona Betty.

– Zaraz wam odpowiem, ale najpierw zrobię to, co powinnam już kilka minut temu. – Róża nie mogła odmówić sobie uczynienia tej sceny jak najbardziej teatralną. Wyciągnęła z kieszeni telefon i wystukała numer na klawiaturze. – Komisariat? Poproszę o połączenie z komisarzem Darskim.

Przez chwilę czekała, rozkoszując się zdumionymi spojrzeniami swojego PR-owca i nowej znajomej. Nie da się ukryć, że Róża, jak prawie każdy artysta, lubiła od czasu do czasu znaleźć się w centrum zainteresowania. Choć na co dzień daleko jej było do Kiki Luny, to w tym momencie prawie osiągnęła jej poziom. I wywołała w swoich widzach podobną irytację jak jej koleżanka po piórze.

– Róża, przestań się wygłupiać i powiedz nam, co jest grane! – zirytował się wreszcie po kilkunastu sekundach Pepe, ale w tym momencie pisarka została połączona z Darskim.

– Pan komisarz? – powiedziała poważnym tonem. – Myślę, że powinien pan tu jak najszybciej przyjechać. I chyba zabrać ze sobą ekipę i pogotowie. Jakiś kwadrans temu znaleźliśmy na terenie posiadłości, a właściwie tuż za nią, Kikę Lunę. Naszym zdaniem nie żyje. Została uduszona.

ROZDZIAŁ VIII

Problem z głowy

W jednym z pałacowych pomieszczeń dwie osoby patrzyły sobie prosto w oczy. Na twarzy jednej z nich gościł nieco złowrogi uśmiech, druga zachowywała kamienny spokój.

– Poszło lepiej, niż się spodziewaliśmy – powiedziała pierwsza postać. – Dwie trzecie roboty za nami.

– Potrzebujemy jeszcze tej trzeciej? – zapytała druga z powątpiewaniem. – Może lepiej teraz się przyczaić i poczekać na rozwój wypadków.

– Właściwie moglibyśmy tak zrobić. Aczkolwiek lepiej chyba trzymać się pierwotnego planu.

– Dziwię się, że policja nie rozstawiła tutaj wszędzie swoich ludzi. Nikt cię nie śledził?

– Mają braki kadrowe. – Pierwsza postać prychnęła lekceważąco. – Poza tym pewnie liczyli na to, że wszyscy się będą pilnowali po wczorajszym incydencie. I bynajmniej się nie przeliczyli. Trudno było ją wyciągnąć na zewnątrz...

– Jak ci się to udało?

– Och, mam swoje sposoby... – Pierwsza osoba machnęła lekceważąco ręką. – Monitoring na pewno nie działa?

– Na sto procent! – Druga osoba popatrzyła z wyrzutem. – Udało mi się nawet wyczekać na moment, kiedy ktoś wychodził z rozdzielni. W razie czego nie ma alibi i łatwo będzie zrzucić na niego podejrzenia.

– Kto?

– Niestety, nikt z gości... – odpowiedziała wymijająco druga. – Ale w razie

czego możemy to wykorzystać, uwierz mi.

– Czyli wszystko układa się idealnie. – Twarz pierwszej osoby rozjaśnił jeszcze szerszy i trochę już mniej diaboliczny uśmiech. – Za kilka tygodni wreszcie będziemy razem, daleko stąd, od tego syfu.

– Oby! I nie zapeszaj! – poprosiła druga postać. – A teraz musimy się czym prędzej rozdzielić. Niedobrze by było, gdyby nas ktoś tu zobaczył razem...

– Masz rację, oczywiście – zgodziła się pierwsza osoba. – Ale zanim się rozejdziemy, mam jeszcze na coś ochotę...

Zrobiła krok do przodu, położyła rękę z tyłu szyi drugiej postaci, przyciągnęła ją do siebie i namiętnie pocałowała w usta.

– Adrenalina, rozumiesz – powiedziała ze śmiechem. – Zawsze musi znaleźć jakieś ujście...

– Jasne. – Druga postać pokiwała głową. – A teraz już leć do siebie. I popracuj nad zaskoczoną miną, kiedy powiedzą ci, co się stało...

ROZDZIAŁ IX

Kika opuszcza scenę

Na dźwięk słów Róży skierowanych do słuchawki i Paweł, i Betty w pierwszej chwili pomyśleli zgodnie, że się przesłyszeli. W drugiej zaś – rzucili się na Kubę, bo pisarka wciąż rozmawiała z Darskim przez telefon.

– Tak, to prawda. – Kuba trochę przestraszył się krwiożerczością kierowanych do niego okrzyków i starał się odpowiedzieć za jednym zamachem na wszystkie zadawane mu pytania. – Leży tuż za furtką. Zbadaliśmy jej puls. Jedwabną chustką. Chyba chciał ją utopić. Spłoszyliśmy go. Możecie sami zobaczyć...

Zrobił kilka kroków w stronę murku, obie ręce włożył w gęsto porastający kamienie bluszcz, a następnie z pewnym trudem rozsunął gałęzie, pod którymi ukazały się drzwi niewielkiej furtki. Pepe podbiegł i pomógł mu trzymać bluszcz, a Betty nacisnęła mocno zardzewiałą klamkę. Ta nie stawiała żadnego oporu i po chwili wszyscy troje znaleźli się po drugiej stronie muru. Nie musieli specjalnie wysilać wzroku, żeby kilka metrów dalej zobaczyć zwalistą postać w zielono-żółtym poncho i kwiecistej sukni. Kika leżała na boku z zamkniętymi oczami, jej zwróconą w stronę muru twarz wykrzywiał nieludzki grymas. Tuż obok jej szyi dostrzegli sporych rozmiarów pomarańczową chustkę, a kilkadziesiąt centymetrów dalej ogromny, czerwony, trochę zabłocony kapelusz. Na samym środku jego główki ktoś zostawił długą czarną różę.

– Miała otwarte oczy, ale kiedy stwierdziliśmy, że nie oddycha i nie da się wyczuć pulsu, to pani Róża jej zamknęła – wyjaśnił Kuba. – Poza tym nic nie ruszaliśmy. Gdy okazało się, że żadne z nas nie ma przy sobie telefonu, pani Róża

kazała mi tu wszystkiego pilnować, a sama pobiegła zawiadomić policję.

– Niepotrzebnie jej dotykała – powiedziała Betty. – Nie powinna. A i ty nie czekałeś na nas przy zwłokach, tylko po drugiej stronie muru. Dlaczego?

– Bałem się – z lekkim zażenowaniem wyznał Kuba. – Co innego czytać o zwłokach w kryminałach, a co innego zobaczyć je w życiu. Głupio się czułem i miałem wrażenie, że ten morderca ciągle tu jest...

– Tym bardziej należało tu czatować, żeby nie zatarł śladów – pouczyła go Betty z karcącą miną – albo nie zabrał jakiegoś dowodu. Mógł w końcu o czymś zapomnieć w czasie mordowania...

– Kiedy miałem stracha, że wróci i zabije też mnie! – powiedział Kuba, czerwieniąc się. – Teraz się wstydzę, ale jak zostałem tu sam, to naprawdę miałem pietra...

Zza murku dobiegł ich jakiś dziwaczny dźwięk.

– Kogut? – zdziwiła się Betty. – O tej porze dnia?

– Chyba raczej jakiś inny ptak – podsunął Kuba. – Albo ranne zwierzę...

– Róża! – odgadł Pepe. Otworzył furtkę i przebił się przez bluszcz, żeby zobaczyć stojącą przed nim z zagniewaną miną pisarkę, której twarz zrobiła się wręcz czerwona.

– Masz jakiś atak? – zapytał z ciekawością. – Jeśli to wylew, to mrugnij!

– Wołam i wołam, a wy głusi jak te pnie, więc pomyślałam, że wydam z siebie indiański okrzyk, żebyście mnie wpuścili albo żeby ktoś tu przyszedł, wtedy nie byłabym sama – wyjaśniła Róża. – Strasznie męczące takie okrzyki. Nie pamiętałam, gdzie jest ta cholerna furtka. Policja jest już w drodze, pogotowie też. A teraz przyjmij do wiadomości, że zamierzam dostać ataku paniki.

– Bo...? – spytał cierpliwie Pepe.

– W ciągu kilkunastu godzin dokonano tu dwóch morderstw – wyjaśniła Róża z rozpaczą w głosie. – W podobny sposób, w jaki zabiłam swoich bohaterów w *Krwawych zaręczynach*. Mówiłam ci o tym! I zabójca zostawił przy zwłokach czarne róże! To nie może być przypadek. Pamiętasz dokładnie moją książkę? Pierwsza ofiara ginęła w czasie ogłaszania swoich zaręczyn, bo ktoś ją otruił. Drugą uduszono jedwabnym szalem. Tak jak tutaj! Tyle że ten morderca jest mądrzejszy ode mnie, bo wybrał prawdziwą truciznę, a nie tak jak ja barachło, od którego nie zdechłby nawet chomik. A w drugim przypadku posłużył się nie jedwabiem, a aksamitem. Gdybym w czasie pisania moich książek włączała funkcję myślenia, to pewnie też bym go użyła, bo jedwab strasznie szybko się drze i jako narzędzie mordu jest do kitu.

– Róża... – powiedział Paweł, patrząc na pisarkę z namysłem. – W *Krwawych zaręczynach*, o ile dobrze pamiętam, zginęły trzy osoby. Jak zabiłaś trzecią?

Pisarka spojrzała na niego, a w jej oczach pojawił się strach.

– Jeśli on naprawdę kopiuje akcję mojej książki, to czeka nas coś strasznego... – wyjęczała.

– Róża?! – Oczy Pawła zamieniły się w dwa znaki zapytania.

– Trzecia ofiara – powiedziała wolno pisarka – została zastrzelona. Dostała kulkę prosto w głowę.

Pepe przez chwilę trawił tę wiadomość.

– W sumie i tak uprzejme z jego strony, że zdecydował się wcielić w życie *Krwawe zaręczyny*, a nie *Wybuchowy romans* – zauważył filozoficznie. – Tam, jeśli dobrze pamiętam, ginęła za jednym zamachem połowa bohaterów. Jak w *Grze o tron!*

– Bo natworzyłam ich za dużo i nie miałam potem pomysłu, co z nimi zrobić. – Róża westchnęła. – Słuchaj, ja chyba muszę o tym powiedzieć policji, prawda?

– Jeszcze tego nie zrobiłaś?! – zdziwił się Pepe. – Prosiłem cię o to, jak rozmawialiśmy!

– Tu jest słaby zasięg i co moment sygnał się rwie i zanika... Więc nie dałam rady.

– Zanika to liczba pisarzy pozostających tu przy życiu. – Pepe pokręcił głową z dezaprobatą. – Może jakbyś wcześniej podzieliła się z policją swoimi spostrzeżeniami, to nie byłoby drugiej ofiary...

– No jasne – zdenerwowała się Róża. – Jeszcze mi teraz rób wyrzuty, bo jakiś psychopata udusił Kikę. Swoją drogą ciekawe, dlaczego nie utonęła w tym bagnisku. Inne krowy przed nią tonęły.

– Róża! – krzyknął nieco zgorzony Paweł. – Opanuj się!

– No tak, zapomniałam, że to teraz świętej pamięci nieboszczka. – Westchnęła. – Teraz trzeba będzie o niej mówić tylko dobrze i z szacunkiem. W końcu się doczekała.

– Ty sobie żartujesz, a mnie wcale nie jest do śmiechu – oświadczył Paweł. – Dwa morderstwa, nic zabawnego.

– A ja myślę, że teraz to już policji pójdzie z górki – powiedziała Róża. – To tylko w powieściach kryminalnych wszystko jest takie pokomplikowane. W rzeczywistości wcale nie jest tak łatwo popełnić dwa morderstwa i nie wpaść. Sprawdzą monitoringi, alibi i zobaczysz, że za kilka godzin ktoś będzie siedział w areszcie, a my będziemy pili sobie drinka w „Buddzie” na krakowskim rynku...

Podobne jak ona nadzieje miał zmierzający na miejsce zbrodni Darski. Wystarczyło jednak kilkadziesiąt minut, aby zorientował się, że choć grono podejrzanych nieco mu się zmniejszyło, to bynajmniej nie oznacza to, że śledztwo zakończy się w mgnieniu oka.

– Na upartego alibi nie ma prawie nikt – powiedział do Betty, zawezwawszy ją teoretycznie w celu złożenia zeznań do jednego z apartamentów, zamienionego

naprędce w pokój przesłuchań. – Okazuje się, że ktoś popsuł monitoring i nie ma żadnego nagrania z ostatnich dwóch godzin. Dopiero teraz go uruchomiliśmy, szybko w czas. Musimy więc polegać na tym, co słyszymy. Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie fakt, że po wysłuchaniu dotychczasowych zeznań nie można wykluczyć prawie nikogo...

– Jak to możliwe?! – zdumiała się Betty.

– Mamy coś, co na własny użytek nazywam zawsze alibi wymiennym – wyjaśnił Krzysztof, a widząc pytającą minę ukochanej, szybko dodał: – Podam ci klasyczny przykład czegoś takiego. Wężowska i Nosicka. Zgodnie zeznały, że od rana siedziały razem w pokoju i oglądały telewizję. Ochoczo opisały nawet kolejne programy i filmy, które nadawano. I niby nie mam powodu, żeby im nie wierzyć, ale też nie istnieje nic, co by potwierdzało ich słowa. A jeśli założymy, że dokonują morderstw we dwie, ich alibi nie ma żadnej wartości.

– Rozumiem zasadę – Betty pokiwała głową – aczkolwiek dziwna wydaje mi się już sama teoria, że dwie do tej pory szanowane literatki nagle zamieniają się w krwawe damy.

– Krwi jeszcze nie było – zwrócił jej uwagę Darski. – Na razie mamy otrucie i uduszenie. Słuchaj dalej. Skrzypińskiej alibi zapewnia Miszałek...

– O właśnie, miałam zapytać – przypomniało się Betty. – Czyniła ci znowu jakieś awanse?

Darski bez słowa przesunął po stoliku, będącym od kilkadziesiąt minut namiastką jego biurka, mały prostokątny kawałek papieru. Betty wzięła go do ręki i parsknęła śmiechem. Na sprawiającej wrażenie zachlapanej wiśniówką albo sokiem malinowym wizytówce znajdowało się imię i nazwisko pisarki, jej adres mailowy oraz numer telefonu. Ręcznie dopisano tam też: „Czekam o każdej porze dnia i nocy”.

– Te czerwone plamy to odcisk jej ust, który zostawiła mi, aby, jak to powiedziała, znaczył ślad w moim sercu – wyjaśnił uprzejmie Darski. – A kiedy moje serce poczuje się wypełnione uczuciem, mam do niej zadzwonić...

– Zawsze to jakaś okazja na romans. Nawet ognisty, oceniając po jej dziełach. – Betty zaśmiała się, ale po chwili przypomniało jej się coś, co usłyszała nieco wcześniej. – Szkoda, że nie pokazujesz mi innych wizytówek...

Darski spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Że co? – zapytał zdumionym tonem.

– Wizytówek od młodych, seksownych blogerek, które twierdzą, że jesteś piękny jak hollywoodzki aktor – wyjaśniła Betty, mrużąc oczy – i dyszą żądzą, żeby u ciebie zeznawać...

Darski przez chwilę przyglądał się jej, jakby zniecała zamieniła się w kosmitkę.

– Przecież one mogłyby być moimi córkami! – krzyknął z oburzeniem. –

Czy ty jesteś normalna?! Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby patrzeć na nie inaczej niż na świadków zbrodni. Choć... Z drugiej strony... To w sumie dość pochlebne, że ciągle działałam na młode kobiety...

Betty z niesmakiem obserwowała jego zadowoloną minę.

– Tylko nie wskocz na stół i nie zacznij udawać chippendalesa – powiedziała z politowaniem. – A w ogóle odłóżmy ten temat na później i wróćmy do śledztwa, bo jeszcze ktoś zacznie coś podejrzewać. Innych nie przesłuchiwałeś tak długo. Rozumiem, że nadal mam tu robić za twoją wtyczkę?

– Owszem – potwierdził Darski, mimo że w jego głosie pojawiło się wahanie. – Choć w sumie to sam nie wiem. Teraz, po drugim morderstwie, to się robi mocno niebezpieczne.

– Będę mieć oczy dookoła głowy i jedno w zapasie w torebce – obiecała Betty. – Poza tym nic nie robię, tylko rozmawiam ze znajomymi i ewentualnymi przyszłymi pracodawcami. Nie ma w tym niczego złego. Dokończ mi opowiadać o alibi...

– Na pewno można wykluczyć Kąciszewskiego oraz twoje ulubienice, blogerki – powiedział Darski, robiąc złośliwą minę. – Wszystkie trzy spędziły ostatnie godziny w Krakowie w komisariacie, a on je tam przywiózł i czekał, aż skończą zeznawać. Czy też, jak zapewne sobie wyobrażasz, bałamucić mnie w czasie orgii we czwórkę w pokoju przesłuchań.

– Rozpasanej orgii! – zaznaczyła Betty. – Wiesz, że mam bujną wyobraźnię!

– Właśnie się o tym przekonuję – mruknął Darski. – Czyste są też sprzątaczkі, bo oczywiście ich też nie mogliśmy wykluczyć. Ale po pierwsze wczoraj była inna, a dziś inna, a po drugie ta dzisiejsza jest pierwszy dzień nie tylko w pracy, ale i w Polsce. Wczoraj przyjechała z Ukrainy. Nie wierzę, żeby brała udział w jakimś zabójczym spisku, gdy całe życie mieszkała w jakiejś zabitej dechami wsi pod Lwowem. Lećmy dalej... Kulickiej alibi daje Komarzewska i na odwrót. Córka Kiki ponoć brała kąpiel. Jej narzeczony twierdzi, że ona uwielbia siedzieć w wannie godzinami i czytać. Dzisiaj chciała się zrelaksować przy muzyce, więc dodatkowo jeszcze zabrała tam telefon i słuchawki. Zapowiedziała, że nie chce, żeby jej przeszkadzał przynajmniej przez godzinę. Łazienka ma swoje okno. Duże, można przez nie spokojnie wyjść na zewnątrz. Dla każdego człowieka, nawet średnio sprawnego fizycznie, nie byłby to wielki kłopot. A córka Kiki wygląda na wysportowaną...

– Podejrzewasz ją o zabicie matki?! – Betty zrobiła wielkie oczy.

– Na tym etapie podejrzewam wszystkich o wszystko – wyjaśnił Darski. – Tym bardziej że Lena bardzo dziwnie zareagowała na wieść o zabójstwie.

– To znaczy? – zapytała Betty.

– Najpierw krzyknęła: „Och nie! Za wcześnie!”, a potem zaczęła płakać – powiedział Darski. – Nie mogliśmy jej uspokoić. Dostała zastrzyk uspokajający.

Nie składała jeszcze zeznań i nie wiadomo, czy da radę je złożyć.

– A jej narzeczony? – zapytała Betty. – Dziwny typ...

– Mówisz tak, bo nie lubisz tatuaży – wytknął jej komisarz. – Jego alibi jest powiązane z tym, które ma jego partnerka. Nie wychodził z apartamentu, czekał, aż ona skończy się kąpać, czytał książkę, przeglądał w komórce Internet. Niby w porządku, ale jedna rzecz jest zastanawiająca. On jest maniakiem Facebooka. Przesiaduje na nim non stop, wrzuca dziennie po kilkanaście nowych postów. Sprawdziliśmy to już wcześniej, bo gdy kogoś podejrzewamy, jest to jedna z pierwszych rzeczy, którą w tych czasach robimy.

– Chyba muszę skasować swój profil – mruknęła Betty.

– Powiem ci więcej, poprosiłem jedną z naszych funkcjonariuszek, żeby zaprosiła go do grona swoich znajomych – kontynuował z zadowoloną miną Darski. – Ma lipny profil ze zdjęciem jakiejś gwiazdy porno, założony specjalnie na tego typu okazje. Pół męskiej części komisariatu z ogromnym poświęceniem zaangażowało się w poszukiwanie najbardziej odpowiedniej fotki. Krawczyk zaakceptował zaproszenie minutę po tym, jak je wysłała. Gdy dostałem wiadomość o drugim morderstwie, poprosiłem, żeby zajrzała do Messengera. Okazało się, że Krystian logował się tam po raz ostatni dwie godziny wcześniej. Nie mówię, że to jakiś wielki dowód, ale osłabia trochę jego alibi. Lećmy dalej... Róża Krull odkryła zwłoki z niejakim Kubą Płoszykiem, który robi tutaj za chłopca do wszystkiego. To naprawdę zadziwiający zbieg okoliczności, że uparł się pokazać jej tajne wyjście z posiadłości akurat wtedy, kiedy ktoś właśnie tam mordował Lunę. Z drugiej strony trudno mi jakoś uwierzyć, że Róża z pomocą nastolatka, którego widzi pierwszy raz na oczy, zdecydowała się pomniejszyć grono gwiazd polskiej literatury...

– Może chce się radykalnie pozbyć konkurencji – podsunęła Betty. – Wiesz, to trudny rynek i każdy sposób, żeby przyciągnąć czytelnika, jest dobry. A tu, sam widzisz, kosisz konkurencję i jednocześnie masz otoczkę pisarki kryminałów, która sama mogła kogoś zamordować. Genialny pomysł na darmową reklamę! A tak na poważnie, jakie alibi ma podejrzany numer jeden?

– Masz na myśli męża Kiki? – upewnił się Darski. – No właśnie, żadnego.

– Serio? – zdumiała się Róża. – A czym tłumaczy fakt, że Kika, zamiast być z nim, poszła na randkę z mordercą?

– To jest właśnie zastanawiające... – powiedział komisarz. – Według Dumowskiego jego żona w ogóle nie miała w planach wychodzenia z pokoju aż do wieczora, kiedy to planowała spotkanie z umówioną wcześniej prasą. Dumowski twierdzi, że mieli zjeść śniadanie, potem pograć chwilę w karty, a później ona miała zająć się przeglądaniem ostatnich poprawek do swojej nowej książki, a on odpowiadaniem na oferty od zainteresowanych jego usługami. Pracuje jako trener personalny, ma nawet swoją stronę internetową, gdzie jest formularz kontaktowy.

Ma sporo ofert, choć większość zawiera mniej lub bardziej zawoalowane propozycje natury erotycznej...

– Wcale się nie dziwię... – wyrwało się Betty, zanim ugryzła się w język. Darski spojrzał na nią karcąco.

– Odpowiedź na twoje wcześniejsze pytanie brzmi, tak – powiedział dobitnie. – Blogerki zostawiły mi swoje wizytówki...

Betty pokazała mu język.

– Jednak ich plan dnia nagle się zmienił – komisarz wrócił do zeznań Dumowskiego. – Podobno w czasie śniadania Kika wydawała się jakaś nieswoja, a potem nagle oświadczyła, że musi się przewietrzyć, bo jest jej duszno. I że nie chce, żeby mąż z nią wychodził, bo musi w spokoju i samotności pomyśleć nad poprawkami do swojej książki, a on ją będzie tylko rozpraszał.

– Dziwne... – powiedziała Betty.

– Jeszcze dziwniejsze jest to, że zdaniem Dumowskiego z tacy z ich śniadaniem zniknęło menu. A właściwie jego część...

– Jak to? – nie rozumiała Betty. – Jaka część?

– Kiedy Dawid i Kika zamawiali śniadanie, poprosili od razu o przyniesienie im menu obiadowego – wyjaśnił Darski. – Tutejszy kucharz codziennie przygotowuje inne potrawy i w związku z tym nie ma stałej karty dań, jest tylko niezmienny spis trunków. Menu drukuje się każdego ranka i jeśli ktoś chce je znać, to dostarcza mu się z kartą napojów. Kelner, Łukasz Maj, przyniósł więc śniadanie, kartę i to wydrukowane menu. Ale kiedy Kika wyszła, a Dawid chciał rzucić okiem na to, co jest dzisiaj do wyboru na obiad, okazało się, że kartka zniknęła.

– Kika wzięła ją za sobą? – spytała Betty zamyślona.

– Nie znaleźliśmy jej przy zwłokach. – Komisarz pokręcił głową. – Przeszukaliśmy też cały pokój, choć Dumowski mówił, że wcześniej zrobił to dokładnie, i też jej nie znaleźliśmy.

– Myślisz, że na kartce była jakaś wiadomość dla Kiki? I że w związku z nią wyszła z pokoju?

– To dość oczywiste. Dlatego kolejne pytanie brzmi, kto mógłby być jej autorem. Właściwie podejrzane są tylko cztery osoby. Menu drukuje kucharz, a do pokoi roznosi je dwóch kelnerów, a jak czasami są zajęci, to Płoszyk. Dzisiaj w kuchni było lekkie zamieszanie, bo poza zwykłymi daniami należało przygotować też coś dla dziennikarzy. Ja co prawda bałbym się zjeść coś w miejscu, gdzie poprzedniego dnia ktoś został otruty, ale jak twierdzi Wężowska, dziennikarze mają strusie żołądki, bo na konferencjach prasowych zawsze jedzą nieswieży catering i jakoś żyją.

– Rozumiem, że sprawdzacie kelnerów i ich powiązania z osobami obecnymi tutaj? – upewniła się Betty. – Jakież rezultaty?

– Na razie jeszcze żadnych – powiedział Darski, po czym sięgnął po swoją komórkę, przez chwilę czegoś w niej szukał, a potem dokończył: – Jeden nazywa się Marcin Kraśnik, drugi Łukasz Maj. Obaj nienotowani. Kraśnik jest kawalerem, mieszkał w Gdańsku, gdzie po liceum zaczął studia na wydziale marketingu, ale ich nie skończył. Cztery lata temu wyprowadził się od rodziców i wynajął kawalerkę. Pracował dorywczo w restauracjach, klubach, sklepach z odzieżą. Dzielnicy nic o nim nie wie, nigdy nie było żadnych skarg sąsiadów, zupełnie nic. Profil na Facebooku ma zamknięty, ostatnie zdjęcia są sprzed trzech lat. Jakieś banały, wypadki z kolegami do klubów, mecze siatkówki, fotki z urlopu w Turcji... Dwa lata temu przeprowadził się do Krakowa i zatrudnił jako kelner w restauracji „Rynkowa”, której menedżerem był wtedy Dariusz Kapica...

– Czyli jeden z zarządzających tym dworkiem? – upewniła się Betty.

– Tak. – Darski pokiwał głową. – Kiedy Kapica przestał być menedżerem, Kraśnik tam został, ale od czasu do czasu przyjmował też oferty pracy od swojego byłego szefa, tak jak teraz.

– A drugi? – zapytała Betty.

– Drugi kelner to Łukasz Maj. – Darski znów zerknął w swoją komórkę. – O nim też wiemy tyle, co kot napłakał. Urodził się w Krakowie, skończył technikum gastronomiczne. Pracował w kilku miejscach, ale nigdzie nie zagrzał miejsca dłużej, co akurat w fachu kelnerskim jest na porządku dziennym. Mieszka tylko z mamą, jest półsierotą.

– Swoją drogą, to zbyt proste. – Betty się zamyśliła. – Ktoś zostaje otruty i wiadomo, że pierwszym podejrzanym będzie kelner, który mu przynosił napój. W tym wypadku jej, bo ofiarą jest kobieta. A teraz znowu ginie kartka, którą kolejnej nieboszczce dostarczył kelner. Przy okazji ten sam, który ją obsługiwał w czasie feralnej kolacji?

– Nie. Przy kolacji Winnik obsługiwał Maj, on też przyniósł śniadanie do pokoju Kice i jej mężowi.

– Hmm... Chyba masz podejrzanego numer jeden – powiedziała Betty. – Kto nam jeszcze został?

– Kucharz. – Darski się skrzywił. – Moim zdaniem to taki sam wariat jak Miszalek.

– Też cię podrywał? – Betty zrobiła wielkie oczy. – Serio?!

– E tam, podrywał... – Darski popukał się w czoło. – Może gdybym był soczystym kawałkiem wołowiny albo cynaderkami, to wzbudziłbym w nim jakieś uczucie, ale jako coś, czego nie da się przyrządzić w sosie śmietanowym albo grzybowym, nie zdołałem go nijak podniecić. A wariat dlatego, że nie umie o niczym innym mówić jak o jedzeniu. Myślę, że z tego jego potoku słów układa się nawet alibi. Opowiedział mi o wszystkim, co od rana przygotowywał do jedzenia. A potem poszliśmy do kuchni i wszystko to mi pokazał. Jakieś kulki

lodów o aromacie dorsza, bita śmietana o smaku wołowiny i inne obrzydlistwa. Przykro się na to patrzyło. Szczerze mówiąc, kazałem mu tę kuchnię pokazać nie tylko po to, żeby sprawdzić, czy faktycznie tyle tam tego dobra naszykował, ale przy okazji coś tam sobie skubnąć, bo nie jadłem od rana...

– Przecież zostawiłam ci kanapki! – Betty jęknęła.

– Niby gdzie?! – zdumiał się Darski. – Zajrzałem do lodówki i nic tam nie było!

– Na blacie obok kuchenki – wytłumaczyła Betty. – Na samym wierzchu, na talerzu, przykryte białą ściereczką.

– A, jak na wierzchu, to nic dziwnego, że nie rzuciły mi się w oczy – powiedział przepaszającym tonem Darski. – Z reguły je przede mną chowasz, dlatego mi do głowy nie wpadło szukać ich na wierzchu. W każdym razie pomyślałem, że coś mu podkradnę, ale nic tam nie nadawało się do jedzenia. Czy to już naprawdę nie można zrobić czegoś prostego? Rozumiem, że on lubi kuchnię międzynarodową, więc już mu daruję mielonego, ale choćby pizzę czy kebab...

– Już ty nie mędrkuj! – zgałła go Betty. – Kebab w takim miejscu! Chyba zwariowałeś. Podsumujmy, kto ma alibi, a kto nie.

– Z grona przestępców wykluczyłem blogerki i od razu kazałem im jechać do domu – powiedział Darski. – Właśnie się pakują, pewnie ku twojej uldze. Kąciszewski też na razie może robić, co chce. Reszta zostanie tutaj, ale tylko do jutra, kiedy to po kolejnym przesłuchaniu dostanie polecenie udania się do domu. Trochę to niezgodne z naszą rutyną, ale i sytuacja jest niecodzienna, bo wiemy, że w tym gronie jest morderca. Odwołaliśmy spotkanie z prasą, a wieczorem rozstawię tu kilku chłopaków, żeby mieli oko na wszystkich. Nie sądzę, aby morderca uderzył jeszcze raz, ale drugiej zbrodni też się nie spodziewałem, a jednak się wydarzyła.

Betty porządkowała sobie w głowie wszystkie informacje.

– Poczekaj, została nam jeszcze jedna osoba – zauważyła. – Mąż Grażyny...

– Jest w podobnej sytuacji jak mąż Luni – odpowiedział Darski. – Nie ma alibi. Choć akurat w jego przypadku...

W tej chwili zadzwonił telefon. Komisarz odebrał i przez chwilę słuchał. W pewnym momencie Betty zauważyła, jak jej ukochanemu zmienia się wyraz twarzy. Znała go na tyle, żeby wiedzieć, co akurat ten oznacza. Darski usłyszał coś, co go zdziwiło.

– I...? – zapytała, jak tylko się rozłączył.

– Nie uwierzysz – powiedział wyraźnie rozemocjonowany Krzysztof. – Moi ludzie zaczęli sprawdzać historię tego zaginionego, o którym powiedziały mi blogerki. Pamiętasz, facet miał żonę i nastoletniego syna. Po dwóch latach od momentu, w którym zaginął, jego żona wróciła we wszystkich dokumentach do swojego pierwszego nazwiska, które przyjął też jej syn. Wiesz, jak ono brzmi?

– Powinam? – zdziwiła się Betty, po czym spojrzawszy na zagadkową minę swojego ukochanego, zrozumiała, czego od niej oczekuje. – Mam zgadnąć? Rozumiem, że nosi je ktoś, kto tu przebywa. Poczekaj... Znamy wszystkie kobiety, które tu przyjechały, i żadna z nich nie może być żoną zaginionego. No, chyba że pani menedżer, ale raczej jest za młoda. Ta żona miała wtedy około czterdziestki, teraz miałyby czterdzieści pięć, więc menedżerka zdecydowanie odpada, o ile nie jest po znakomitej operacji plastycznej. Ale syn był nastolatkiem, pamiętam, że uczył się w klasie maturalnej, czyli teraz miałby dwadzieścia dwa, trzy lata... Ile ma kucharz, bo nie widziałam go na oczy ani razu...

– Około czterdziestki – wyjaśnił z uśmiechem Darski. – Zdecydowanie za stary.

– Menedżer też jest za stary – powiedziała Betty. – W takim razie zostaje tylko Krystian Krawczyk i kelnerzy...

– Strzelaj!

– No dobrze, stawiam na Krawczyka – powiedziała Betty.

– Eeee. – Darski pokręcił głową. – Łukasz Maj. Żona zaginionego wróciła do swojego nazwiska panińskiego, a syn zawsze je nosił. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie ma co się za wcześnie cieszyć. Mamy też informację o drugim kelnerze. Kiedy jechał do Krakowa, wziął ze sobą z Gdańska kilka listów polecających. I wyobraź sobie, że jeden z nich napisała mu właścicielka małej knajpki znajdującej się na starówce. Niejaka Klaudia Szkrab. Tak się miło składa, że niedawno, jakiś rok temu, rozstała się ona ze swoim wieloletnim partnerem, który rzucił ją dla znanej warszawskiej autorki powieści erotycznych. Poznali się w czasie, gdy ta przebywała na wakacjach nad Bałtykiem.

– Żartujesz?! – krzyknęła Betty. – Dla Grażyny?!

– Owszem – potwierdził Darski. – Partnerem Klaudii był Mateusz Mączyński. A ona sama od roku nie mówi swoim przyjaciółom o niczym innym, jak tylko o tym, co by zrobiła z kobietą, która rozbiła jej szczęśliwy związek. Cóż... Myślę, że muszę pogadać z obydwoma panami jeszcze raz. Tym razem nieco bardziej szczerze. Ale zaczniemy od Łukasza...

ROZDZIAŁ X

Trzeci kwiat

– Ty wiesz, jakby to zwiększyło sprzedaż moich książek? – Róża patrzyła na Pawła z irytacją spowodowaną tym, że jej zdaniem z zupełnie niezrozumiałych powodów sprzeciwiał się temu, co wymyśliła. – Bonda osiwiłaby z zawiści, Puzyńska zmieniła fach i została dżokejką, a Kulicka... Co właściwie dobrze robi Kulicka?!

– Miejmy nadzieję, że nie morduje – powiedział Pepe przerażony. – Czyś ty już do reszty zgłupiała? Będziesz teraz robiła za Sherlocka Holmesa w spódnicy?! Miłka, powiedz jej coś!

Zajadająca się właśnie wraz z Kubą i Betty zrobioną i przywiezioną przez Pawła tartą z buraczkami i greckim serem Wężowska chciała wydobyć z siebie głos, ale niestety nie zdołała zrealizować tego zamierzenia.

– Dziękuję, bardzo mi pomogłaś – mruknął Pepe, próbując strzepnąć ze swojego swetra kawałki ciasta i fety do kosza na śmieci. – Popij wodą, bo jeszcze się udusisz i będzie trzeci trup. A ty puknij się w głowę. Jest tu policja, prowadzi śledztwo, to zawodowcy, tylko im będziesz przeszkadzała!

– Niech sobie prowadzą, czy ja im chcę wchodzić w paradę? – oburzyła się Róża. – Po prostu mówię ci, że zamierzam trochę popytać, pomyszkować. Skoro mordercą jest ktoś, kto tu przebywa, to zauważ, że znamy ich lepiej niż policjanci. I ja, i Miłka, i nawet ty. Możemy kogoś złapać na jakimś kłamstwie, nieścisłości albo usłyszeć od nich coś, czego nie powiedzieliby policji. Coś, co naprowadziłoby nas na jakiś ślad.

– Już ja to widzę... – Paweł nie wyglądał na przekonanego. – Nic nie

odkryjesz, a narazisz się na niebezpieczeństwo. W ogóle dziwię się, że od razu nie kazano nam się stąd wynosić. Jakaś dziwaczna polityka.

– Pblytnbm... – zaczęła Miłka, nadal bogato rozsiewając wokół siebie okruchy twórczości Pepe. Ten ze złością wstał z krzesła, nalał do kubka trochę wody mineralnej z butelki i gestem wykluczającym wszelką odmowę podał pisarce. Wężowska grzecznie popiła trzymany w ustach kęs tarty. – Dziękuję. Znakomita tarta, musisz mi dać przepis! Chciałam powiedzieć, że pewnie robimy za przynętę. A poza tym nie oczekuj, że poprę cię w tej dyskusji. Zawsze chciałam wziąć udział w czymś tak szalonym, jak tropienie mordercy. I też uważam, że zanim policja się połapie co i jak, to my już dawno podamy im zabójcę na talerzu...

– Kiedy ten komisarz wygląda na całkiem łebskiego faceta – zaprotestował Pepe, ale już z mniejszym ogniem w głosie.

– Ale nie wie nic o światku pisarskim – zwróciła mu uwagę Róża. – Ani o jego tajemnicach. A my wiemy!

– A są tu jakieś tajemnice? – zdumiał się Pepe. – Myślałem, że każdy siedzi w swoim domu i stuka w klawiaturę...

– Zdziwiłbyś się... – parsknęła Miłka. – Toż to jedno wielkie stado zmij i mało kto tu komu dobrze życzy. Pamiętasz przypadek Anastazji?

– Poczekaj, poczekaj... – Róża na chwilę przymknęła oczy. – Jak przez mgłę... Od czego to się zaczęło?

– Od NPC – przypomniała Miłka, a widząc zdziwione spojrzenie Pepe, wyjaśniła: – Największego Portalu Czytelniczego. Chociaż tak na dobrą sprawę to nie wiem, czy czegoś nie było wcześniej. W każdym razie przy okazji NPC zrobiła się afera na miarę Watergate. Pamiętam to jak dziś, bo poniekąd sama ją rozpętałam. Tam jest miejsce na komentowanie książek i ich ocenianie. I pewnego dnia pojawiło się tam parę negatywnych wpisów, sygnowanych imieniem Anastazja. Kolejnego dnia kilka następnych i tak każdego dnia wieczorem. A potem powstały kolejne pod różnymi imionami kobiecymi, takimi nieco oryginalnymi i rzadko dziś nadawanymi. Brunhilda, Mścisława, Ryczeza... Wpisy były złośliwe i często zahaczały o sprawy prywatne. Nie mówiąc już o tym, że wszystkim towarzyszyły marne noty, które psuły średnią ocen znakomitym książkom...

– Czyli twoim – zauważyła złośliwie Róża.

– A popatrz, moim akurat nie – zaprotestowała Miłka. – Tak czy siak konta były tajne. To znaczy nijak nie dało się sprawdzić, kim są autorzy tych wpisów. Pojawiła się plotka, że robi to jedna osoba i to ktoś z naszego środowiska, bo przecież nikt postronny, zwykły czytelnik, nie wie nic na przykład o tym, kto z kim się przyjaźni, kto się pokłócił, albo kto komu podrywał żonę na jakimś zamkniętym spotkaniu. Kilku autorów chciało wyjaśnić z szefową tego portalu, kto stoi za tymi publikacjami, ale ona dba o reputację tego miejsca i nigdy nie łamie ustawy

o ochronie danych osobowych, co akurat bardzo jej się chwali. Nie udało im się więc dostać żadnego IP ani nawet adresu mailowego, jakiego użył ten tajemniczy ktoś przy rejestracji w serwisie. Zrodził się nawet pomysł, żeby iść na policję, ale z drugiej strony nie były to takie rzeczy, które nadawałaby się na zgłoszenie. Ot, zwykłe złośliwości. Żadnych wulgaryzmów, pogroźek, nic w tym stylu. Anastazja i jej koleżanki bardzo się pilnowały, żeby nie przekroczyć granicy prawa. Policja by wyśmiała takie zgłoszenie. Wiele osób bawiło się w śledztwo, aż wreszcie ktoś ponoć wpadł na to, kim jest ta internetowa cholera albo cholery. Ale chyba nie umiał tego przekonująco udowodnić. Już nie pamiętam, jak to się skończyło, bo nagle Anastazja z koleżankami zaprzestała swojej działalności. Tak jakby się czegoś wystraszyła. Wszystkie konta w portalu zostały skasowane, wpisy usunięte. Bardzo dziwna historia...

– A propos miłości między pisarzami, słynna jest też opowieść, jak dwie pisarki szczyły na siebie swoich fanów – podchwyciła temat Róża. – Obie pisały romanse i wzajemnie się nie znosiły. Kiedyś jedna dała temu wyraz publicznie i jej wielbicielki rzuciły się na NPC, żeby tej drugiej jak najbardziej zaniżyć oceny i pisać hejterskie komentarze...

– Pisarze naprawdę zwracają uwagę na takie pierdoły?! – spytał nieco zgorszony Paweł.

– Oficjalnie nie – powiedziała Róża. – Jakbyś poczytał wywiady z nimi, to nikt się nie przyzna, że czyta recenzje swoich książek albo przegląda opinie czytelników. Są nieliczne szlachetne wyjątki...

– Ja tam nie czytam – oznajmiła stanowczo Miłka, sięgając po kolejny kawałek tarty. – O tym, że ktoś mi wystawił złe oceny na NPC, dowiedziałam się od jednej z czytelniczek. Bardzo rzadko tam zaglądam!

– Rzadko, czyli codziennie co dwie godziny – wyjaśniła z politowaniem Róża. – Już ty się tak nie kryguj, nie udzielasz wywiadu dla „Życia Literackiego”. Wiadomo, że każdy tam od czasu do czasu zagląda... W każdym razie jak ta druga autorka zobaczyła, że oceny jej książek spadają, napuściła swoje fanki, żeby z kolei hejtowały tę pierwszą i wystawiły jej złe noty. W ciągu kilku dni zrobiło się prawdziwe piekło, podsycane przez blogerki, których jest chyba z milion. Czasem mam wrażenie, że blogów o literaturze jest więcej niż wydawanych książek. Wojna trwała przez kilka tygodni. Ania mówiła, że serwery NPC grzały się wtedy tak, że o mało co nie spłonęły. I że obie pisarki dzwoniły do niej co godzinę, niczym osoby wciskające ubezpieczenia przez telefon, z żądaniem usunięcia złych opinii i ocen. Co ciekawe, gorąco protestowały przeciw jednoczesnemu kasowaniu dobrych not, bo Ania proponowała, że wymaże z systemu wszystko hurtem. Ale, jak jej wyjaśniła jedna z tych pieniaczek, „jak mi przyznają jedną gwiazdkę, to wiem, że to kanciarstwo, ale jak dostają dziesięć, to przecież całkiem zasłużenie!”. Te ich fanki utworzyły dwie drużyny i cud pański, że nie zrobiły sobie w końcu

ustawki na jakiejś leśnej polanie i nie zaczęły się okładać kijami bejsbolowymi. Ale były tego bliskie. A szanowne panie literatki przestały z sobą rozmawiać na kilka lat i do dziś dyszą wzajemną nienawiścią. Jedna z nich jest zresztą tutaj. To Mariella. Jakby ktoś ją zabił, to w ciemno można obstawiać jej konkurentkę.

– Niby kulturalni ludzie, a zachowują się jak małe dzieci – podsumował Paweł z dezaprobatą. – No dobrze, rozumiem, że znacie różne tajemnice branży. Ale jak niby konkretnie ma wyglądać to śledztwo?

– Po prostu porozmawiamy z ludźmi – powiedziała Róża. – Przed policją każdy pilnuje języka, ale w rozmowach prywatnych już nie. Może komuś coś się wymknie, co naprowadzi nas na ślad...

– Zrobiłyśmy tak kiedyś z Joanną – wtrąciła Betty. – Byłyśmy wtedy na wakacjach na Korfu. Ktoś zabił właściciela hotelu, w którym się zatrzymałyśmy.

– I co? – zapytał Kuba, słuchający tych wszystkich opowieści z wypiekami na twarzy i najwyraźniej rozkoszujący się przeżywaniem chwil, które prawdopodobnie uważał za najpiękniejsze w swoim życiu. – Wytropiłyście mordercę?

– Tak, Joanna wpadła na to, kto nim jest – potwierdziła Betty – ale zanim coś udowodniłyśmy, zginęła jedna niewinna osoba i najadłyśmy się sporo strachu...

– No właśnie – rzekł Paweł, patrząc na pozostałych z potępieniem. – Robicie sobie śmichy-chichy, a prawda jest taka, że każdy może tu być potencjalnym mordercą. Każdy! Zrobicie, co będziecie chciały, bo przecież siłą was nie powstrzymam. Choć szczerze mówiąc, mam ochotę iść do tego waszego Biebera...

– Bomera! – zaprotestowała z urazą Róża. – Bieber to ten młody piosenkarz, co wiecznie przez przypadek pokazuje wacka...

– Okej, Bomera – zgodził się Paweł. – I poprosić go, żeby was na wszelki wypadek zamknął w ciupie na dwie doby, zanim zrobicie coś głupiego. Ale tego nie zrobię. Tylko proszę, nie narażajcie się za bardzo. Dwa pogrzeby w ciągu tygodnia to i tak za dużo. Nie ufajcie nikomu!

– Ale chyba sobie wzajemnie możemy – zauważyła Róża. – Kuba był ze mną, kiedy ktoś dusił Kikę, co automatycznie daje mu alibi na drugie morderstwo. Wydaje mi się też, że nie miał możliwości otrucia Grażyny, bo przecież musiałby być jasnowidzem, żeby przewidzieć, kto dostanie jaki kieliszek. To mnie zresztą najbardziej irytuje, bo moim zdaniem jednoznacznie wskazuje na któregoś z kelnerów. I chyba byłabym zadowolona, gdyby okazało się, że któryś z nich jest mordercą. Ale lećmy dalej. Świąćcie wierzę, że ty bez problemu i mrugnięcia okiem mógłbyś kogoś zabić...

– Zwłaszcza Hutniak... – mruknął Paweł.

– Na przykład – zgodziła się Róża. – Ale i ciebie, i Betty nie było w czasie, gdy dworek zamienił się w dom zbrodni. Zostaje Miłka...

– Błbybły – zaprotestowała Wężowska, znów z ustami pełnymi tarty. Paweł

demonstracyjnie odsunął się od niej na kilka kroków, z wyrzutem patrząc na swoją koszulę, na której został czerwony ślad buraków po poprzedniej wypowiedzi pisarki.

– Nie wierzę, żeby zamordowała kogoś w innych okolicznościach niż walka o ostatni kęs pożywienia na bezludnej wyspie – zawyrokowała stanowczo Róża. – A skoro nie Miłka, to i nie Olka, bo przecież przez cały czas byliście razem...

Miłka pomachała ręką, dając znać, że chce coś powiedzieć. Na tyle, na ile było to możliwe, szybko przełknęła przeżuwaną tartę.

– Nie byliśmy – powiedziała, sięgając po wodę do popicia. – Zeznałam tak tylko temu policjantowi.

– Jak to? – zdziwiła się Róża. – Popełniłaś krzywoprzysięstwo?

– Oj tam, oj tam... – rzuciła Miłka lekceważąco. – Przecież nie zeznawałam przed sądem, więc żadne krzywoprzysięstwo. Byłam zaaferowana i zapomniałam, że Olka wyszła na chwilę odebrać jedzenie, które przywieźli nam z Krakowa. Przy bramie stał ten nieużyty gliniarz i nie chciał nikogo wpuścić, więc dostawca zadzwonił, żeby któraś z nas wyszła. Ale Olki nie było tylko przez kilka minut. No, może kilkanaście...

– Wasz pokój znajduje się najbliżej sekretnego przejścia w murze – powiedział Paweł. – Trzeba byłoby obliczyć, czy Olka zdążyłaby zabić Kikę...

– Ale po cóż ona miałaby zabijać tego koczkodana?! – zdumiała się Miłka. – Ups, przepraszam, naszą świętej pamięci koleżankę... Zwariowaliście?!

– No właśnie – powiedziała Róża. – Może zanim zaczniemy rozmawiać z ludźmi, najpierw zastanówmy się nad motywami tej zbrodni. Znamy jeden, zaginięcie pięć lat temu krakowskiego bibliotekarza. Wskazuje na niego czarna róża, którą też ktoś zostawiał na jego grobie. Mamy coś jeszcze?

– Wydaje mi się, że musimy też wziąć pod uwagę, kto na tych zgonach odniósł jakąś korzyść – powiedziała Betty. – Kto zyskał na morderstwie Grażyny?

– Nie miała dzieci ani męża – zastanawiała się Róża na głos. – Wydaje mi się, że chyba wszystko dziedziczy po niej mama, bo o ile pamiętam, jej tata nie żyje.

– A komu opłacało się mordować Kikę? – zapytała Betty. – Jej mężowi?

– Ponoć mieli podpisaną intercyzę – tym razem pośpieszyła z odpowiedzią Miłka. – Mówiła wiele razy, że jeśli umrze albo się rozwiodą, to Dawid nie zobaczy ani grosza z jej majątku. Wszystko pewnie odziedziczy Lena...

– Nie wierzę, żeby córka zabiła matkę, zwłaszcza dla kasy – oświadczyła Róża. – Już prędzej ten jej chłopak, bo mu wyjątkowo źle z oczy patrzyło. A poza tym blogerki powiedziały mi, że w czasie obia...

Nie zdążyła dokończyć, bo nagle gdzieś z daleka dobiegł ich huk i odgłos tłuczonego szkła.

– Co do licha cięż... – zaczęła osłupiała Róża i w tym samym momencie

usłyszeli rozpaczliwy kobiecy krzyk. Przez moment wszyscy wymieniali zdumione spojrzenia, a potem czworo z nich rzuciło się w stronę drzwi. Jedyne Miłka obrała odwrotny kierunek, do leżącej na stoliku blachy z tartą. Róża odwróciła się i popatrzyła na nią z wyrzutem.

– No ale że niby co? – powiedziała Miłka, wzruszając ramionami. – Jak mają nas tu teraz powystrzelać, to niech przynajmniej mam trochę przyjemności przed śmiercią! Żaden srajdek z pistoletem nie jest ważniejszy od tej tarty! Idź, dogonię was za chwilę...

Róża wzniosła oczy ku sufitowi, a następnie popukała się w głowę i dołączyła do pozostałej trójki. Biegiem godnym maratończyków dobiegających do mety przemierzali jeden z korytarzy. Drugiego nie musieli. Tuż za rogiem ich wzrok padł na Julię Kulicką, która zasłaniała sobie twarz, wydając nieco już cichsze okrzyki, oraz kelnera Marcina, który klęczał przy kimś leżącym na posadzce w dziwnej, skulonej pozycji. Chwilę trwało, zanim Róża uświadomiła sobie, kim jest ów ktoś. Dotarło to do niej dokładnie w tej samej chwili, kiedy krzyki Julii zamieniły się w głośny szloch. Marcin podniósł wzrok i grobowym tonem oznajmił:

– Ktoś strzelił do Łukasza...

Do Krull treść tej wiadomości nie dotarła. Nie musiała. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jedno miejsce, czując, jak cały świat zaczyna dokoła niej wirować w jakimś szalonym, niemożliwym do zatrzymania pędzie. Na płycie posadzki, tuż nad głową zabitego kelnera, leżała czarna róża.

ROZDZIAŁ XI

Zemsta

– Teraz dopiero jestem wściekły – oznajmił Krzysztof, przechadzając się nerwowo po apartamencie. – Ten morderca jest równie bezczelny, jak przebiegły. Znowu wywiódł nas w pole. Sprzątnął kogoś tuż przed naszym nosem i zrobił to tak, że nie ma żadnych śladów. Podobnie z Kiką. Nic, zero śladów. Przynajmniej na razie. Laboratorium twierdzi, że śladów jest wiele, ale sama rozumiesz, że trudno na podstawie włosa jej męża, znalezionej na sukience, postawić mu jakikolwiek zarzut. To normalne, że jak z kimś przebywasz, to możesz mieć na sobie jego włos...

– Zwłaszcza jak zaczyna łysieć – podchwyciła Betty, rzucając znaczące spojrzenie na głowę ukochanego.

– To ja łysieję? Naprawdę?! – zdziwił się Darski, odruchowo przejeżdżając palcami po włosach, tak jakby chciał sprawdzić, czy aby jakimś cudem wszystkie mu właśnie nie wypadły. – Niby dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?!

– Bo lubię delikatne zakola u mężczyzn – wyjaśniła Betty. – Nie znoszę, jak facet ma czoło jak szympan! Poza tym się nie rozprasza! Moim zdaniem nie możemy po tym wszystkim tu zostać. Nawet z większą ochroną.

– Tak, tak, oczywiście, że nie – powiedział z roztargnieniem Krzysztof, patrząc na swoje odbicie w lustrze i uważnie oceniając stan swojego uwłosienia. Po chwili jednak ocknął się i popatrzył na Betty ze współczuciem. – Dobrze się czujesz?

– Zważywszy na okoliczności, całkiem nieźle. Co zamierzasz?

– Na razie poprosiłem, żeby wszyscy zebrali się w sali konferencyjnej. –

Krzysztof znów zaczął swój marsz od ściany do ściany. – W tym czasie moi ludzie zapakują im najpotrzebniejsze rzeczy, a przy okazji rozejrzą się, czy nie ma wśród ich kłopotów czegoś podejrzanego. A potem przewieziemy wszystkich do hotelu do Krakowa. Tam spędzą najbliższą dobę, chyba że prokurator postanowi, że ten czas się przedłuży. Pluję sobie w brodę, że od razu tak nie zrobiliśmy...

– Zdążyłeś przesłuchać tego Maja? – zapytała Betty. – Co powiedział?

– Nie zdążyłem – przyznał Krzysztof – bo ledwo co wyszłaś, zapukała do mnie Julia Kulicka. Powiedziała, że chciała mi coś wyznać, ale koniecznie w obecności swojej przyjaciółki. Tyle że nie może jej znaleźć. Jakies pół godziny wcześniej przyjaciółka poszła do kuchni po herbatę, bo im się skończyła. Wyszła i nie wróciła. Julia chciała jej poszukać, ale trochę bała się po morderstwie Kiki chodzić sama po terenie posiadłości. Chciałem ruszyć wraz z nią na poszukiwania, ale w tym samym czasie zadzwonił prokurator. Powiedziałem, że postaram się jak najszybciej skończyć rozmowę. Julia szepnęła, że skoro będę szedł za nią, to ona pójdzie popytać w kuchni, czy Kornelia w ogóle tam była. Bo pytała już przez telefon, ale nikt nie umiał zrozumieć, o co jej chodzi, i w ogóle ten, kto odebrał połączenie, był dla niej bardzo niesympatyczny. Kiwnąłem głową i zacząłem rozmawiać z Mareckim. Wiesz, że on nie potrafi się streszczać. Zaczął mnie wypytywać o jakieś informacje, które miałem w papierach przy sobie, i nie mogłem wyjść z pokoju. A potem... usłyszałem to samo co i wy...

– Cholera by to. – Betty się skrzywiła. – Już myślałam, że mordercą jest jeden z kelnerów, a tu takie rozczarowanie. Kolejni podejrzeni z głowy. I Kulicka chyba też...

– Wiele wskazuje na to, że Kulicka miała być ofiarą – powiedział Krzysztof.

– Jak to?! Nie żartuj! – Betty mimowolnie podniosła głos. – Czy ktoś chce tu wybić wszystkie autorki?!

– Najwyraźniej... – mruknął Krzysztof. – Według tego, co zeznał drugi kelner, Kulicka zobaczyła ich z daleka i zaczęła krzyczeć, że ma do nich pilną sprawę, więc przystanęli. Dobiegła do nich i zaczęła wypytywać o Kornelię. Czy była w kuchni, a jeśli nie, to czy może mignęła im gdzieś we dworku. Sporo przy tym gestykulowała i w pewnym momencie machnęła ręką tak, że zleciał jej pierścionek, który nosiła na palcu serdecznym. Pochyliła się, żeby go podnieść, i wtedy padł strzał. Gdyby miała głowę odrobinę wyżej, leżałaby teraz na posadzce zamiast Maja.

– Jakie niewiarygodne miała szczęście. – Betty pokręciła głową z niedowierzaniem. – A ten drugi kelner nic nie zauważył.

– Pamiętasz, że ten korytarz ma po jednej stronie ścianę, a po drugiej przeszklone drzwi – przypomniał Darski. – Kiedy padł strzał, Kraśnik stał tyłem do tych drugich. Słyszając huk, odwrócił się i, jak mówi, zobaczył postać, która odwróciła się i zaczęła uciekać.

– Zauważył chociaż, czy to był mężczyzna, czy kobieta? – zapytała Betty. – Wzrost? Postura?

– Widział ją w ruchu przez ułamek sekundy, więc trudno mu ją dokładnie opisać. Postać była ubrana na czarno, miała kurtkę z kapturem. To był ktoś średniego wzrostu. Odniósł wrażenie, że raczej kobieta, ale równie dobrze mógł to być szczupły mężczyzna.

– Jeśli wierzyć w ten opis, to znowu odpadnie kilku podejrzanych – doszła do wniosku Betty. – Mąż Grażyny jest wysoki jak dąb, a mąż Kiki był siatkarzem i jest jeszcze wyższy. Obu można byłoby wykluczyć. I wtedy z facetów zostaje już chyba tylko narzeczony córki Kiki, bo przecież ten młodziak, boy hotelowy, przez cały czas siedział z nami w pokoju Róży.

– I menedżer dworku – przypomniał Krzysztof. – Też nie jest wielkoludem. No i kucharz. Nie zapominajmy o nim.

– A z kobiet?

– Żadna nie jest wysoka, więc definitywnie nie można wykluczyć ani jednej – powiedział Krzysztof, zatrzymując się na środku pokoju ze zdziwioną miną. – Czy ja cały czas chodzę?

– Owszem, niczym Felicjan Dulski. – Betty pokiwała głową. – Moim zdaniem wszedłeś już nie tylko na kopiec Kościuszki, ale i na Burdż Chalifa w Dubaju. A co z tą Kornelią? Znalazła się?

– Muszę walczyć z moimi nawykami, zanim zamienią się w nerwicę natręctw – rzekł Krzysztof, wzdychając i na wszelki wypadek siadając na krześle vis-à-vis Betty. – Nie, Kornelia się nie znalazła. Wręcz przeciwnie. Zapadła się pod ziemię. Szukamy jej...

– Oby tylko nie odnalazła się w postaci zwłok w piwnicy – powiedziała złowieszczo Betty, tknięta nagle niepokojem. – Tu są w ogóle jakieś piwnice?

– Owszem. Moi ludzie też tam są. W ogóle trzy morderstwa sprawiły, że nagle bez trudu dostaliśmy do dyspozycji chyba wszystkich policjantów z Małopolski. Ale nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, co wyprawiają portale internetowe. Czytałaś?

Betty popatrzyła na niego z politowaniem, po czym sięgnęła po swojego laptopa. W wyszukiwarce internetowej miała otwartych kilkanaście okienek z witrynami stron publikujących artykuły o dwóch mordach w Kopielnikach. Ponieważ ofiarami zabójcy padły dwie znane i popularne pisarki, Internet aż kipiał od plotek i sensacji, a każda z redakcji chciała udowodnić, że ma lepsze przecieki ze śledztwa od konkurencji. Już same nagłówki mówiły wiele o treści tych wybitnych dzieł dziennikarskich. „Czarny morderca ścina róże polskiej literatury”, „Psychopata w Kopielnikach. Kto jeszcze zginie?!”, „Zazdrość czy zemsta? Czy musiały zginąć?”, „Horror pod Krakowem? Komu uda się ująć z życiem?” oraz trzy ulubione Betty – „Róża grozy: kogo jeszcze pozbawi życia?”, „Zabójczy

proszek! Mordercza chusta! Co dalej?!” oraz „Policja na tropie szalonego kwiaciarnika”.

– Nawet nie wiem, czy istnieje słowo „kwiaciarnik” – mruknęła Betty, patrząc z niesmakiem na ostatni tytuł. – Kojarzy się trochę z kapelusznikiem, ale rozumiem, że florysta nie brzmiał dostatecznie groźnie. Czy wy w ogóle czytacie takie rzeczy? Bo pod każdym z tych artykułów są miliony komentarzy i może jest wśród nich jakiś dobry trop...

– Mamy komórkę, która zajmuje się filtrowaniem takiej radosnej twórczości – przyznał Darski. – Zobaczymy, może na coś wpadną. Ale wiesz, gros z tych komentarzy ma taką wartość, jak choćby ten...

Popukał palcem w ekran, na którym jakaś internautka podpisana jako „Pobożna Eugenia” twierdziła, że ofiarą mordercy padły dwie ladacznice, słynące z rozwiązłości, i w związku z tym primo – nie ma kogo żałować, secundo – same sobie na taki koniec zasłużyły, tertio – trafią do piekła, i wreszcie quarto – ona zna zabójcę, wie, że jest to osoba o ogromnej moralności i sile ducha, i jedyne, co ma ochotę zrobić, to wysłać mu kwiaty i zmówić paciorek za jego nieskalaną duszę.

– Takich idiotek jest od cholery i ciut-ciut – westchnął Darski, nieświadomie kładąc ukochanej rękę na kolanie i zaczynając ją po nim gładzić – a to dopiero początek wariatkowa. Nie minie dzień, dwa i zaczną się do nas zgłaszać osoby przyznające się do tych morderstw i proszące, żeby je od razu zakuć w dyby, rozstrzelać na placu przed Sukiennicami albo skazać na galery.

– Żartujesz?! – Betty odruchowo położyła na jego dłoni swoją i też zaczęła go delikatnie gładzić.

– Nie. – Darski się uśmiechnął. – Zawsze tak jest. Będziemy mogli przebierać w winnych. A nasz psychiatria znów weźmie za nadgodziny. No dobrze, a teraz powiedz mi, czego...

Pukanie do drzwi sprawiło, że zerwali się na równe nogi. Betty zrobiła kilka kroków i stanęła przy oknie, Krzysztof otworzył drzwi. Za drzwiami stał wyraźnie czymś podekscytowany policjant.

– Szefie – powiedział, rzucając niepewne spojrzenie na Betty – musi pan coś zobaczyć. Koniecznie!

Darski odwrócił się do swojej ukochanej.

– To wszystko, pani Jankowska – powiedział swoim surowym służbowym tonem, puszczając do niej oko. – Proszę przejść do sali konferencyjnej. Być może później będę chciał jeszcze zadać pani kilka pytań.

– Oczywiście, pani komisarzu – odparła Betty z równą powagą. – Służę chętnie całą swoją wiedzą...

Kiedy przechodził obok niego, skorzystała z faktu, że policjant przy drzwiach odczytuje SMS-a, i dodała szeptem:

– ...oraz seksownym ciałem.

Darski powstrzymał się, żeby nie parsknąć. Betty wyszła i udała się w stronę sali. Krzysztof popatrzył pytająco na policjanta, który szybko schował komórkę do kieszeni i poprowadził go w stronę lewego skrzydła dworku.

– Zaczęliśmy przeszukiwać pokoje – wyjaśnił funkcjonariusz. – Zgodnie z tym, co pan nakazał, potem do każdego z nich wzywaliśmy osobę, która go zajmowała, żeby zapakowała swoje rzeczy przed wyjazdem do hotelu do Krakowa. Doszliśmy takim sposobem do trzeciego i... Niech pan sam spojrzy...

Stali przy otwartych drzwiach. W środku znajdowało się dwóch innych policjantów. Darski przekroczył próg, potoczył wzrokiem po apartamencie i poczuł się zaskoczony.

– Naprawdę? – zapytał. – Przecież to wygląda jak jakiś kiepski żart.

Na środku pokoju, na wolnym kawałku posadzki, ktoś ułożył kilkanaście czarnych róż w taki sposób, aby powstał z nich napis: ZEMSTA. Obok ostatniej litery leżał... pistolet.

– Nasi specjaliści już jadą – poinformował Darskiego policjant, który go sprowadził do pokoju. – Na wszelki wypadek nic nie ruszaliśmy.

– Czyj to apartament? – zapytał Darski. – Jeszcze nie nauczyłem się dokładnie rozkładu pokoiów.

– Według tego, co nam podano – policjant zerknął do notesu – mieszkają tu dwie kobiety. Julia Kulicka i Kornelia Komarzewska.

ROZDZIAŁ XII

Lena wyznaje prawdę

Kilkadziesiąt metrów dalej w ogromnej sali, w zamierzeniu twórców tego miejsca mającej służyć za konferencyjno-seminaryjną, siedziało kilkanaście osób. Łączyło je jedno – pełne niedowierzania i niepewności miny na twarzy. Podzieleni na małe, dwu-, trzyosobowe grupki, z wolna dopiero zaczynali dochodzić do siebie po niedawnym incydencie. Jedna tylko osoba sprawiała takie wrażenie, jakby w ciągu ostatnich kilkunastu godzin nie brała udział w mrożących krew w żyłach wydarzeniach. Kubie świeciły się oczy i nie schodził uśmiech z ust.

– A pani już powiedziała policji o tej książce? – zapytał Różę, która z zadumą patrzyła przez okno. – Bo ja byłem tak podekscytowany tym, że pierwszy raz w życiu zeznaję, że zapomniałem.

Pisarka oderwała spojrzenie od szaroburego i niezbyt atrakcyjnego krajobrazu, który potęgował w niej uczucie zagrożenia i przygnębienia towarzyszące jej od pewno czasu.

– Nie – przyznała. – Też mi to umknęło. A teraz jest już i tak po fakcie. Morderca jest szybki. Niecała doba i trzy trupy.

– Jak w pani książce! – niemal krzyknął uradowany Kuba. Róża zganiła go spojrzeniem.

– Czuję się tak, jakbym była winna ich śmierci – powiedziała poważnie. – A najgorsza jest myśl, że morderca jest wśród nas...

Potoczyła wzrokiem po sali. Olka i Miłka zajęte były rozmową z Dawidem. Popłakująca Lena siedziała na fotelu samotnie w kącie pokoju przy wyjściu na taras. Narzeczony, o dziwo, nie próbował jej pocieszać. Zajął miejsce przy stole

nieczo dalej. Twarz ukrył w dłoniach, łokcie oparł o blat i monotonicznie kiwał się na krześle, tak jakby cierpiał na chorobę sierocą. Po sekundzie Róża odniosła wrażenie, że medytuje, co jej akurat idealnie do niego pasowało. Dziwne tylko, że wybrał na to tak niestosowny czas i miejsce. Mariella rozmawiała z Betty, która pojawiła się chwilę wcześniej. Julia siedziała obok Mateusza, ale żadne z nich od dłuższego czasu nie wypowiedziało ani słowa. Na sali brakowało jedynie Katarzyny, która została poproszona przez policję o asystowanie przy przeszukiwaniu jej pokoju. Czy to możliwe, aby któraś z tych osób z zimną krwią dokonała w ciągu kilku godzin trzech morderstw?! Róża nagle poczuła, że wszystko to brzmi jakoś znajomo. Morderstwa były w książce. Jej książce. Nie, zaraz, to na pewno nie o to chodzi. Raczej o liczbę. Trzy. Na pewno pojawiła się tu już wcześniej... Tylko w jakich okolicznościach? Róża przez chwilę szukała w zakamarkach pamięci odpowiedniej sceny. Po chwili trafiła. Owszem, trzy. Nie morderstwa, ale kobiety. Słyszała o nich przecież poprzedniego wieczoru! Zaskoczona odkryciem i nieco zniesmaczona swoją galopującą sklerozą jeszcze przez chwilę myślała, a potem zdecydowała, że nie będzie siedzieć i biernie czekać na rozwój wypadków.

– Pogadajcie przez chwilę sami – poprosiła Kubę i Pawła – a ja spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Rzut oka na PR-owca wystarczył, aby zrozumiała, że za moment będzie starał się ją odwieść od tego pomysłu. Nie czekała więc, tylko od razu wstała i zdecydowanym krokiem podeszła do Leny.

– Bardzo mi przykro – rzekła, przystawiając sobie krzesło i siadając obok niej. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co w tej chwili przeżywasz. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Lena pociągnęła nosem, po czym otworzyła leżącą jej na kolanach torebkę, wyciągnęła z niej opakowanie chusteczek, wyjęła jedną i zaczęła wycierać nią ślady po łzach.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio płakałam – powiedziała przeproszającym tonem. – Nie sądziłam, że jeszcze potrafię...

– No co ty mówisz! – Róża delikatnie pogłaskała ją po plecach. – Myślę, że w takiej sytuacji nikt nie umiałby powstrzymać łez. W końcu jaka była, taka była, ale to twoja matka...

„Czy ja naprawdę powiedziałam: jaka była, taka była, do córki nieboszczki? Czy mi już do reszty padło na mózg?! Dobrze, że od razu nie zapytałam: «I czego ryczysz po tej zolzie?»». Kretynka!”, pomyślała pełna niesmaku dla swojej okazywanej właśnie w całej krasie wybrakowanej empatii. Lena najwyraźniej jednak nie wyłapała w jej wypowiedzi nic nietaktownego. Skończyła ocierać oczy i skierowała wzrok na Różę. Ku swojemu zaskoczeniu pisarka wyczytała w jej spojrzeniu różne uczucia. Brakowało tylko jednego – smutku.

– To miłe z pani strony – powiedziała Lena. – Ale myli się pani, sądząc, że płacę po mamie...

– Jak to?! – Róża nawet nie próbowała ukryć zdziwienia.

– Kika nie była moją biologiczną matką. – Lena wyrzuciła chusteczkę do stojącego obok jej fotela kosza na śmieci. – Nie wiedziała pani?

– Skąd? Nie byliśmy na tyle zaprzyjaźnione, żeby się sobie zwierzać z prywatnych spraw – wyjaśniła Róża niepewnie, powstrzymując się przed dodaniem: „a poza tym za każdym razem, kiedy Kika otwierała usta, z miejsca przestawałam jej słuchać”.

– Zostałam adoptowana – wyjaśniła Lena. – Głupio, że zapytałam, czy pani wiedziała, bo prawie nikt nie miał o tym pojęcia. Nawet ja nie wiedziałam do zeszłego miesiąca. Ale przypuszczałam, że może trzymała to w tajemnicy tylko przede mną.

– Nie, myślę, że nikt o tym nie wiedział – zapewniła ją Róża. – A jak się dowiedziałas? O ile oczywiście chcesz o tym rozmawiać...

– Wolę rozmawiać, niż płakać. Nie znoszę roztkliwiania się u innych, więc i u samej siebie mnie irytuje – zapewniła ją Lena. – Trzy tygodnie temu przyjechał do kraju mój tata. Nie widziałam go na oczy, odkąd wyjechałyśmy z mamą z Irlandii. Nie wiem, co go sprowadziło, ale wizyta nie była przyjemna. Trafiłam co prawda na sam koniec awantury, ale musiała być potężna, bo mama rzadko kiedy czymś się przejmowała, a tym razem była wyraźnie wzburzona. Następnego dnia tata czekał na mnie pod domem i powiedział, że musi ze mną porozmawiać. Poszliśmy na kawę. Wypytywał mnie o to, jak mi się żyje w Polsce i czy nie chciałabym wyjechać do Irlandii, bo w razie czego mógłby mi pomóc tam się jakoś urządzić. Zapytałam go, czy nie sądzi, że jest nieco zbyt późno na okazywanie mi uczuć rodzicielskich i gdzie właściwie był przez ostatnie lata. A on uśmiechnął się pod nosem i mruknął coś w rodzaju: „Czyli ona naprawdę ci nie powiedziała?”. Chciałam go przycisnąć, żeby wyjaśnił, co ma na myśli, ale nie powiedział. Najgorsze było jednak to, że zawsze czułam, że coś jest nie tak. Nie przypominałam fizycznie ani mamy, ani jego. Kiedy ktoś patrzył na nasze rodzinne zdjęcia i zastanawiał się, do kogo jestem bardziej podobna, zawsze w duchu powtarzałam sobie: „Do nikogo”. Nie wiem, jak to pani wytłumaczyć, żeby nie pomyślała pani, że jestem wariatką. Po prostu zawsze byłam pewna, że nie jestem ich dzieckiem. I kiedy wieczorem wróciłam do domu, zagrałam va banque. Powiedział mamie, że spotkałam się z rana z tatą i powiedział mi, że jestem adoptowana. Wściekła się! Zaczęła na niego kląć, ale co najważniejsze nie zaprzeczyła. Kiedy się uspokoiła, wszystko mi wytłumaczyła. Że nie mogła mieć dzieci, a zawsze chciała je mieć, że jestem dla niej największym skarbem i że robi wszystko, aby mi to udowodnić. A następnego dnia powiedziała, że zadzwoniła do prawnika, żeby dokonał zmian w jej polisie na wypadek śmierci, a także

w testamencie i że chce mi też zaproponować udziały w biznesach, które prowadzi...

– Prowadziła jakieś biznesy? – zdumiała się Róża. – Myślałam, że jest rentierką i zarabia na pisaniu książek?

– Tantiemy to był tylko bonus. Nazywała je „drobnymi na waciki” i wydawała z reguły na wakacje albo ciuchy. – Lena machnęła lekceważąco ręką. – Tak naprawdę skupowała akcje firm, miała do tego wyjątkowego nosa, była współdziałowcem co najmniej dwóch marek kosmetycznych, a poza tym prowadziła sieć luksusowych salonów masażu. Jeśli wie pani, co chcę powiedzieć...

Mrugnęła znacząco.

– Masz na myśli... domy publiczne?! – Róża zrobiła wielkie oczy. Nigdy nie miała o Kice dobrego zdania, ale nie mogła jej sobie wyobrazić jako burdelmamy. Choć z drugiej strony, widziała raz Lunę w sesji zdjęciowej dla magazynu „Wiwat!”, wbitą w dziwaczny czarny gorset ozdobiony kryształkami Svarowskiego i wtłoczoną, bo inaczej tego się nie dało określić, w skórzaną spódnicę, na oko o dobre dwa rozmiary za małą. Mimo rozpaczliwych starań grafika, który przy obróbce tych zdjęć prawdopodobnie wycisnął z Photoshopa więcej, niż przewidywali twórcy tego programu, Kika prezentowała się wypisz wymaluj jak mocno zużyta weteranka najstarszej branży świata. Najwyraźniej miała z kogo czerpać inspirację...

– Salony masażu – zaakcentowała dobitnie Lena – w których oferowano, że też zacytuję ogłoszenia, „całą paletę doznań zmysłowych”. Tak, w skrócie burdele.

– Chwilę potem, jak się dowiedziałas, że nie jesteś jej biologiczną córką, zaproponowała ci udziały w prowadzeniu domów publicznych?! – Róża nie pierwszy już raz w ciągu ostatnich dni pomyślała, że gdyby opisała to w książce, pastwiono by się nad nią, że wymyśla nieprawdopodobne sytuacje. – Zgodziłaś się?

– Nie chcę, żeby mnie pani źle oceniała – powiedziała niepewnie Lena – ale to była szansa na usamodzielnienie się, wyprowadzkę z domu. Po prostu start. Potem zrezygnowałabym z tych pieniędzy. Przez chwilę rozważałam jej propozycję...

– Lena! – Róża się oburzyła, choć chwilę wcześniej obiecała sobie, że oszczędzi dziewczynie jakichkolwiek moralizatorskich komentarzy. – Jak mogłaś!

– Ale w sumie i tak jej nie przyjąłam – oznajmiła szybko Lena, przestraszona gniewną miną pisarki. – Bo mama postawiła jeden warunek.

– Jaki? – zapytała z rezygnacją Róża, przygotowując się z góry w duchu na kolejny szok i gratulując sobie intuicji. Od pierwszego spotkania nie zносиła Kiki i, jak się teraz okazywało, miała rację.

– Kazała mi zerwać z moim chłopakiem – wyznała Lena. – Od kiedy tylko przyprowadziłam go do domu i poznałam z nią, poczuła do niego niechęć, wręcz

patologiczną.

– A miała jakiś powód? – zapytała Róża, w duchu przypominając sobie wrażenie, jakie odniosła wczoraj, obserwując rodzinę Luny. Jeśli nawet Kika nienawidziła Krystiana, to z pewnością ten odpłacał jej pięknym za nadobne. Być może nawet z nawiązką.

– Myślę, że początkowo nie – odparła z wahaniem Lena. – Ale potem nagle z naszego domu zaczęły co jakiś czas znikać rzeczy. Czasem jakieś bezwartościowe drobiazgi, a niekiedy cenne bibeloty, jakich mama nagromadziła całą masę. Z każdej podróży przywoziła pół walizki pamiątek. Niektóre były typowym turystycznym kiczem, wie pani, jakieś plastikowe miniaturki zabytków, śnieżne kule z widoczkami albo jądra górala...

– Że co? – zdziwiła się Róża, myśląc, że źle usłyszała.

– Jądra górala. Z drewna. Przybite do małej deseczki – wyjaśniła uprzejmie Lena. – Można sobie nimi pomajtać...

– Ale po co?!

– Nie wiem, chyba na szczęście – doszła do wniosku Lena. – Mamie bardzo się spodobały. Niestety, akurat ich nikt nie był uprzejmy gwizdnąć. Ale w tym kiczowisku zdarzały się też perełki, które mama kupowała w jakichś galeriach artystycznych albo na targach. Te tajemnicze zniknięcia mama powiązała z wizytami Krystiana. Wszyscy mówili jej, że nie ma racji i że pewnie kradną sprzątające w naszym domu Ukrainki, które bezustannie wymieniała. Bo przecież nie można jej było nigdy dogodzić i sprzątaczkę zmieniały się u nas częściej niż kartki w kalendarzu. Więc mama zastawiła kiedyś pułapkę. Zamontowała w salonie kamerę i nagrała wizytę Krystiana. Okazało się, że faktycznie to on kradł. Zrobiła wtedy piekło! Wezwała go, straszyla policję. Krystian tłumaczył, że cierpi na kleptomanię. Przysięgał, że nie zabiera przedmiotów naumyślnie. Mówił, że stara się walczyć ze swoją chorobą, chodzi na terapię poznawczo-behawioralną, przyjmuje antydepresanty. Dał jej nawet adres swojego lekarza i namiary na osoby, którym podarował zabrane od nas przedmioty, bo nie zatrzymywał ich dla siebie. Zresztą kleptomani prawie nigdy tego nie robią. Mama mu w końcu uwierzyła, ale zapowiedziała stanowczo, że Krystian nie ma prawa więcej przekroczyć progu jej domu. Potem wiele razy pytała, czy już z nim zerwałam, i była wściekła, że nie może tego na mnie wymóc. Wykorzystała więc argument finansowy. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo chcę rozpocząć samodzielne życie, i kiedy zaczęłyśmy rozmawiać o pieniądzach, oczywiście znów do tego wróciła. I znów przegrała. Przynajmniej wtedy...

– Co masz na myśli? – zapytała ostrożnie Róża.

– Tuż przed przyjazdem tutaj odkryłam, że Krystian kłamał – powiedziała Lena, patrząc z niechęcią w stronę swojego ukochanego, który nadal zdawał się przebywać w swoim świecie, oddalonym o lata świetlne od Kopielnik. – Nie

chodził na żadną terapię. Jako swojego lekarza podawał ojca kolegi z liceum, który prowadzi prywatną praktykę terapeutyczną. Nie brał żadnych leków. A wszystkie cenne rzeczy, które kradł, sprzedawał na Allegro. Dowiedziałam się o tym przypadku. Początkowo nie chciałam uwierzyć, ale zaczęłam sprawdzać. Ostateczne potwierdzenie dostałam wczoraj rano. Nie chciałam już robić żadnych dramatycznych scen, żeby nie psuć mamie jej wielkiego dnia, na który czekała od wielu tygodni. Tym bardziej że kilka dni wcześniej jakimś cudem uprosiłam ją o zgodę na to, żeby Krystian mógł przyjechać tutaj z nami. Chciałam mu powiedzieć o tym po powrocie z Kopielnik, ale w czasie kolacji zobaczyłam, jak przywłaszcza sobie kolejną rzecz. Jakąś zabytkową popielniczkę. Pomyślałam, że to straszny wstyd, i poprosiłam po cichu kelnera, żeby sprzątnął to z naszego stołu przy okazji wymiany kieliszków.

„Aaaaa, no proszę... – pomyślała z satysfakcją Róża – wreszcie coś się zaczyna wyjaśniać!”

– Potem wydarzyło się... – Widać było, że Lena ma problem z wypowiedzeniem słowa „morderstwo”. – Wydarzył się ten wypadek. Nie mogłam się uspokoić. Byłam cała roztrzęsiona. Policja, pogotowie, zeznania...

– Nie powiedziałaś mu, że wiesz...? – zdziwiła się łagodnie Róża.

– Tego wieczoru nie – odparła Lena. – Zwierzyłam się tylko mamie, że z Krystianem to koniec. Ale dopiero gdy tu się trochę uspokoiło. Ucieszyła się i powiedziała, że w takim razie niebawem wrócimy do naszych rozmów o pieniądzach. Ale i wtedy zaznaczyłam, że nie chcę mieć nic wspólnego z żadnym nielegalnym biznesem. Zdążyłam to sobie przemyśleć. Nie warto zaczynać samodzielnego życia od pakowania się w bagno. Uśmiechnęła się i powiedziała, że może mam rację, a może nie, ale szanuje moją decyzję i nadal będzie miała dla mnie wiele propozycji. Opłacałnyh.

– I Krystian nic nie wiedział o waszej rozmowie? – zapytała Róża, próbując od razu rozstrzygnąć, na ile są ważne wszystkie te informacje, i czując, że za moment dostanie od tego migreny. „Jeśli naukowcy mają rację i mózg jest komputerem, to mój zaraz się zawiesi od nadmiaru danych”, przemknęło jej przez głowę.

– Wiedział – zaprzeczyła Lena. – Powiedziałam mu o tym rano. Wpadł w przerażenie...

– Czemu?!

– Powiedział, że to on miał ze mną zerwać, a nie ja z nim – wyjaśniła Lena, a widząc, że oczy Róży robią się okrągłe ze zdziwienia, szybko kontynuowała: – Kilka dni temu moja mama umówiła się z nim na kawę na mieście. Okazało się, że Krystian miał spore długi, do których mi się nigdy nie przyznał, a które ona jakimś cudem odkryła. Wierzycciele zaczęli tracić cierpliwość. Mama zaproponowała mu więc transakcję wymienną. Ona wyda swojemu prawnikowi dyspozycje

dotyczące spłacenia jego pożyczek, a w zamian on zerwie naszą znajomość.

– I...? – Róża nie mogła się doczekać finału opowieści, czując, że musi wszystkie te informacje przegadać z Pawłem i Kubą, zanim połowa wyleci jej z głowy. – Zgodził się?

– Tak – przyznała z żalem Lena. – Sprzedał mnie za kilkadziesiąt tysięcy, które miał otrzymać tuż po powrocie z Kopielnik. I niestety, chyba dostanie. Poszłam do mamy, najpierw nakrzyczałam na nią, że zrobiła coś takiego za moimi plecami, a potem zapytałam, czy w związku z tym, że sama chcę zerwać z Krystianem, nadal zamierza mu zapłacić. Powiedziała, że w poniedziałek zmieni wszystkie decyzje dotyczące finansów, i uprzedziła już prawnika i księgową. Ale jak widać, nie zdążyła...

„Zadziwiający zbieg okoliczności”, pomyślała Róża. Przez chwilę zastanowiła się, czy nie zadać kilku pytań o alibi Krystiana, ale postanowiła na razie nie podsuwać i tak zrozpaczonej Lenie myśli, że jej były ukochany mógł kilka godzin wcześniej udusić jej przybraną, bo przybraną, ale zawsze matkę.

– Przy kolacji twoja mama mówiła coś o nowej książce, którą właśnie pisze – powiedziała za to. – Ponoć kryminał o trzech kobietach, które popełniły jakąś zbrodnię...

– A, owszem – Lena westchnęła. – Jej słynny kryminał, o którym opowiadała już od kilku lat...

– Czy wiesz, na jakim była etapie pisania? – zapytała Róża, starając się, aby ta część konwersacji, która była dla niej kluczowa, brzmiała jak najbardziej niedbale. – Zaczynała dopiero czy była już zaawansowana w pracy...

– A co? Chce pani dokończyć jej książkę? – Lena uśmiechnęła się słabo. – To byłby dopiero bestseller. Książka, która powstała po zamordowaniu autorki. Po prostu hit!

– Nawet mi to nie przyszło do głowy! – zaprzeczyła stanowczo Róża, wstrząśnięta, że ktokolwiek mógłby ją wziąć za hienę cmentarną. – Po prostu jestem ciekawa, bo Kika nigdy nie pisała kryminałów...

– Z tego, co wiem... – Lena zastanowiła się chwilę. – A nawet mam pewność, bo mama niedawno o tym mówiła, wysłała ją już do wydawnictwa. Ktoś tam miał ją przeczytać, jakaś pani redaktor, i powiedzieć, co myśli. Pamiętam, że mamę to strasznie rozsierdziło. Powiedziała, że liczy się tylko ze zdaniem Dawida, a skoro jemu się podobało, to ona ma w dupie opinie innych i nie będzie jej jakaś pipa z wydawnictwa mówiła, co ma zmienić. I że to całkiem tak, jakby ktoś chciał poprawiać Michała Anioła i domalowywać mu aniołki w Kaplicy Sykstyńskiej...

„Nie ma to jak trzeźwa ocena swojej twórczości – zastanowiła się Róża – choć i tak dobrze, że nie porównała się z autorem dziesięciorga przykazań”.

– A myślisz, że dałoby się jakoś szybko zdobyć tę książkę? – zapytała. – Z pewnych przyczyn jest to dla mnie bardzo ważne...

– I, oczywiście, nie może mi ich pani zdradzić? – Lena popatrzyła na nią uważnie. Róża pokręciła głową.

– Musisz mi zaufać... – poprosiła.

Lena przez chwilę bacznie ją obserwowała.

– Komputer mojej mamy ma hasło, którego nikt nie zna – powiedziała wreszcie. – Ale jeśli tak bardzo pani na tym zależy, mogę zadzwonić do wydawcy i poprosić, żeby mi przysłał kopię. Zna mnie i lubi, bo często bywał na obiadkach u mamy i za każdym razem go kryłam z tym, że po cichu pakuje sobie jedzenie pod stołem do torby.

– Nie przypuszczałam, że wydawcy są aż takimi biedakami – zdziwiła się Róża.

– Nie robił zapasów na później. – Lena uśmiechnęła się słabo. – Po prostu to, co mama gotowała, nie nadawało się do jedzenia. Nawet nasz pies uciekał z obłędem w oczach i skowytem, gdy tylko widział ją w kuchni.

– Kika gotowała? – zdumiała się Róża. – Sama?!

– No jasne, przecież jej zdaniem nikt nie zrobiłby tego lepiej od niej – wyjaśniła Lena, uśmiechając się nieco szerzej. – Zawsze powtarzała, że Nigella Lawson mogłaby u niej brać korepetycje. I że jej obiadem bezgranicznie zachwycił się nawet premier Irlandii, choć od rodziny wiem, że jak go ugościła „typowym polskim bigosem”, to biedak przez pół godziny nie wychodził potem z ubikacji, a przez resztę wieczoru wyglądał, jakby chorował na malarię. Ech... Mimo wszystko będzie mi jej brakować...

Róża, widząc, że jej rozmówczyni znów jest bliska łez, przytuliła ją i pogładziła po włosach. Jej wzrok powędrował ponad głowę dziewczyny w stronę porzuconych towarzyszy. Pisarka ze zdumieniem zauważyła, że PR-owiec jest wyraźnie wściekły i robi dziwne gesty, jakby walczył z natrętną muchą albo komarem. Siedzący obok niego Kuba niespokojnie kręcił się na krześle, z dziwną miną wypatrując czegoś za oknem. Róża delikatnie odsunęła od siebie Lenę.

– Coś dziwnego dzieje się z moimi kompanami. Muszę zobaczyć, o co chodzi – poinformowała ją. – Dasz sobie radę? Pamiętaj, że jestem tutaj i w każdej chwili możesz się wypląkać na moim ramieniu...

– Bardzo pani dziękuję – powiedziała Lena. – Na razie napiszę mail do wydawcy z prośbą o przysłanie książki. Jak tylko mi odpowie, dam pani znać.

Róża podziękowała jej skinieniem głowy, po czym wróciła do Pawła i Kuby.

– Chyba oślepląś! – nie krył zdenerwowania jej PR-owiec. – Macham do ciebie od godziny!

– Po pierwsze, nie machałeś, tylko robiłeś takie gesty, jakbyś ćwiczył choreografię do *Tańca z Gwiazdami* – zaprotestowała Róża. – Nijak to nie wyglądało, jakbyś mnie wzywał. A po drugie byłam zajęta zdobywaniem informacji. I to ważnych!

– Nie ma na to teraz czasu – powiedział Paweł. – Kuba zauważył za oknem jakąś postać...

– Jaką postać?! – spytała zdziwiona Róża.

– Tajemniczą! – wyjaśnił Kuba entuzjastycznie. – Powinniśmy ją śledzić!

Róża przez chwilę przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

– Czy pod moją nieobecność coś piliście? – zapytała z ciekawością. – Bo mam wrażenie, że bredzicie...

– Nie bredzimy! – bez mała krzyknął Paweł. – Parę minut temu Kuba wypatrzył jakąś postać idącą wzdłuż muru. Gdy zobaczyła w oddali policjantów, umknęła w drugą stronę. Moim zdaniem musimy o niej powiadomić komisarza...

– Albo sami ją złapać! – podsunął radośnie Kuba. – Tym bardziej że ja znam tę posiadłość lepiej niż policja!

Myśl, że ma ganiać jakiegoś bandziora, w dodatku prawdopodobnie uzbrojonego, wydała się Róży mało kusząca. Coś jednak trzeba było zrobić.

– Jeśli teraz wyjdziemy stąd we troje, to wzbudzimy niezdrową sensację – powiedziała po chwili zastanowienia. – Zróbmy tak. Wy zostańcie i zadzwońcie do mnie, gdyby ta postać znowu się pojawiła. A ja idę zawiadomić o niej przystojnego...

Wstała i przeszła do wyjścia, po drodze napotykając zdziwione spojrzenie Betty, zajętej rozmową z gestykulującą niczym mim chory na ADHD Mariellą. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Róża złapała się na tym, że nie wie, w którą stronę ma iść. Orientacja w terenie nie była jej mocną stroną, i to zarówno na małą, jak i dużą skalę, co powodowało, że Pepe prawie nigdy nie pozwalał jej jeździć samodzielnie na spotkania autorskie. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na fakt, że kiedyś Róża tak perfekcyjnie pokonała trasę z Warszawy do Wrocławia, że wylądowała we Wrocławicach, w dodatku nad stawem o miłej nazwie „Murzyn”. Siedzący w kinie i próbujący uspokoić zawroty głowy spowodowane oglądaniem wirującej w kosmosie Sandry Bullock w filmie *Grawitacja* Pepe odebrał wtedy SMS-a o zagadkowej treści: „Stoję koło Murzyna i nie umiem go przejechać. Co mam zrobić?”, na który w pierwszym odruchu odpowiedział: „Znajdź Białego i go przejeźdź, może dostaniesz mniejszy wyrok”. Róża potrafiła się też zagubić nie tylko w galerii handlowej, co akurat zdarza się wielu osobom, ale nawet w zwykłym supermarkecie. Nic więc dziwnego, że i teraz bezradnie rozejrzała się po korytarzach dworku. Wydawało jej się, że do apartamentu, w którym urzęduje Darski, powinna iść w lewą stronę, jednak po zrobieniu kilkunastu kroków zorientowała się, że podąża do tylnej części budynku zamiast do przedniej. Pamiętała, że okna tam wychodziły na wjazd do posiadłości. „Do bani, trzeba było wybrać prawy korytarz”. Wiedziona jakimś dla siebie samej niezrozumiałym szaleństwem, zamiast wrócić tak, jak przyszła, zdecydowała się przy pierwszej sposobności skrócić w pożądanym kierunku. Okazja ku temu przytrafiła się od

razu. Jak na zawołanie rozwidlił się korytarz, którym szła. Róża wybrała tę odnogę, która jej zdaniem powinna prowadzić do frontowej części dworku. Po kilkunastu kolejnych krokach i następnym rozwidleniu korytarza dotarło do niej, że nie tylko znów idzie źle, ale na dodatek nijak nie pamięta nawet, jak wrócić do sali konferencyjnej. W tej części dworku, do której doszła, panowała grobowa cisza, słychać było jedynie stukot jej szpilek o posadzkę. Ponieważ za oknami z wolna zapadał zmierzch, a korytarz w ogóle nie był oświetlony, panował tu półmrok. Róża już miała wyciągnąć telefon i zadzwonić do Pawła z prośbą, żeby ją odnalazł, kiedy nagle do jej uszu dobiegły znajome dźwięki. Ludzkie głosy! Róża już zaczynała wydawać z siebie radosny okrzyk, ale nagle zdusiła go w zarodku i zastanowiła się, skąd właściwie wzięli się tu ludzie. Prawie wszyscy goście dworku znajdowali się w sali konferencyjnej. Policjanci na pewno nie siedzieliby w takich egipskich ciemnościach. A menedżerowie dworku i kucharz dostali polecenie nieopuszczania pomieszczeń służbowych, do których szło się dość charakterystycznym, węższym korytarzem, czyli z pewnością nie tym pokonywanym teraz przez Różę. „Ki więc czort tu gada?” Nagle Róża poczuła, jak po plecach przechodzi jej dreszcz. Nie wiadomo, dlaczego nagle wydało jej się, że koniecznie powinna odkryć, kim są te rozmawiające osoby, bo z pewnością mają złe intencje, oraz podsłuchać, o czym mówią. Mało tego, musi to jeszcze zrobić w taki sposób, żeby złoczyńcy nie zorientowali się, że są szpiegowani. Wiedzioną tą ostatnią myślą, pisarka ostrożnie zdjęła z nóg złote szpilki, które co prawda były cholernie niewygodne, ale za to jako jedyne pasowały jej do czarnej sukienki, wybranej na ten żałobny dzień. Trzymając je w rękach, zrobiła kilka kolejnych kroków, tym razem nie czyniąc przy tym najmniejszego hałasu. Głosy stały się wyraźniejsze, ale jeszcze nie potrafiła zrozumieć wypowiedzianych słów. Czując, jak coraz mocniej bije jej z emocji serce, Róża podeszła jeszcze bliżej. Stała teraz kilkadziesiąt centymetrów od minimalnie uchylonych drzwi.

– ...nie uwierzy – dobiegł do jej uszu męski głos, który z pewnością słyszała w Kopalniach już wcześniej. – Sam też bym nie uwierzył!

– To co? – Tym razem mówiła kobieta, z pewnością zdenerwowana, na co wskazywał jej podniesiony, bez mała histeryczny ton. Ale po chwili kontynuowała przyciszonym głosem i Róża słyszała tylko co któreś słowo: – Mamy... w zaparte... oni to... wcześniej... tylko... czasu.

– Zamknijcie się i dajcie mi chwilę pomyśleć. – Ku swojemu zaskoczeniu pisarka odkryła, że doskonale rozpoznaje kolejny głos i wie, kto jest trzecim uczestnikiem rozmowy. Tylko co robi tu Katarzyna Skrzypińska?! I z kim rozmawia?

Przez chwilę panowała cisza i Róża słyszała tylko bicie swojego spanikowanego serca. Jej zdaniem było ono tak głośne, że słyszalne nie tylko w całym dworku, ale i Krakowie, a może i całym kraju, Europie, galaktyce!

Zdziwiło ją tylko, dlaczego ów tętniący na cały kosmos łomot nie zwraca uwagi osób po drugiej stronie drzwi.

– Po pierwsze, wydaje mi się, że nikt nie będzie łączył sprawy zaginięcia sprzed pięciu lat z tymi morderstwami – powiedziała w końcu Katarzyna. – A po drugie...

– A ta cholerna róża? – sprzeciwił się ostro mężczyzna. Pisarka wzdrygnęła się na dźwięk swojego imienia. Szybko jednak zrozumiała, że wypowiedź dotyczy nie jej, lecz pozostawianego na miejscu zbrodni kwiatu. – Ktoś wyraźnie stara się naprowadzić policję na ślad. I w końcu dopnie swego!

– Pytanie, czy ktokolwiek tutaj poza mordercą wie, co ta róża oznacza – powiedziała z wahaniem Katarzyna. – Z drugiej strony, skoro zostawia ją na miejscu zbrodni, to pewnie wcześniej czy później postara się podrzucić policji odpowiedni trop.

– Nie powinniśmy... w ogóle... – wtrącił znów drugi damski głos, tak cicho, że Róża ponownie usłyszała tylko kilka słów z całej wypowiedzi – trzeba... tę książkę... policję!

Słowo „książka” zabrzmiało w głowie Róży niczym gong na ringu bokserskim. Zrobiła jeszcze dwa kroki i w tym momencie trzymała już ucho przy samej szparze w drzwiach. Teraz nie mogła już uronić ani słowa.

– O nie! – dobiegł ją zdecydowany głos Katarzyny. – Nawet nie wiecie, co ja przez tę kurwę przeżyłam. Mówiłam wam przecież! Kiedy dowiedziałam się, że to ona wypisywała na mnie te wszystkie plugastwa w Internecie i że to ona zabiła Bogdana, postanowiłam, że zrobię wszystko, aby za to odpokutowała. Te dwie pozostałe szmaty były mi obojętne, ale ona musiała poczuć moją zemstę.

„Czy ona mówi o Kice?!”, zastanowiła się Róża, której użyty przez Skrzypińską epitet rozpoczynający się na literkę „k” nijak nie pasował do żadnej innej osoby.

– I co ci przyszło z tej zemsty?! – zapytał rozpaczliwie drugi żeński głos. Z tej odległości Róża słyszała go tak samo dobrze, jak te należące do pozostałych osób i wreszcie go rozpoznała. Należał do Joanny Stępień, menedżerki dworku. Logicznie więc trzecią osobą musiał być Dariusz Kapica. – Nic! Ani zemsty, ani pieniędzy. A teraz jeszcze padną na nas podejrzenia, że zamordowaliśmy trzy osoby!

– Nic na nas nie padnie – rzuciła zdenerwowana Katarzyna. – A przynajmniej na was. Nie jest tak prosto wysledzić, kto z kim jest spokrewniony bądź zaprzyjaźniony. A żeby wszystko zamotać jeszcze bardziej, zamierzam się przyznać do tego, że czytałam książkę tej rury i wiem, że była morderczynią. I niech spróbują mi coś udowodnić. Na wszystkie trzy morderstwa mam alibi. A poza tym wykonykowałam, na kogo skierować podejrzenia.

– A my...? – zapytał mężczyzna. – Co mamy zrobić?

– Siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i udawać głuchych, ślepych i niedorozwiniętych – poradziła Katarzyna. – I zapewniać sobie nawzajem alibi. To im zamąci w głowie. A, i jeszcze jedno...

Skrzypnięcie podłogi w pobliżu miejsca, w którym stała Róża, sprawiło, że pisarka podskoczyła tak, jakby nagle ktoś obok niej strzelił z kapiszona. Uznawszy, że nasłuchiwała się już dostatecznie dużo i machnąwszy ręką na resztę, zaczęła się ostrożnie cofać. Wybrała chyba odpowiedni moment, bo kiedy zrobiła kilkanaście kroków, usłyszała, jak drzwi, pod którymi jeszcze niedawno stała, najpierw zostają gwałtownie zatrzaśnięte, a sekundę potem zaczynają się otwierać, co pokazywał idący od nich i z każdą sekundą coraz szerszy pas światła na posadzce. Czując, że nie ma już chwili do stracenia, Róża odwróciła się i na palcach zaczęła biec do końca korytarza. Oglądając się wciąż za siebie, osiągnęła swój cel, zanim któraś z trzech podsłuchanych osób wyszła z pokoju. Za zakrętem zwolniła nieco bieg, wreszcie wzięła głębszy oddech i w tym momencie kątem oka dostrzegła stojącą przed sobą postać. Nie mogąc już się zatrzymać, z całej siły wpadła prosto w jej objęcia...

ROZDZIAŁ XIII

Kto jest Anastazją?

Darski na zmianę patrzył na trzymany przed sobą telefon i Katarzynę Skrzypińską, która kilka minut wcześniej mu go wręczyła.

– Skoro zna pan historię Kowalskiego i jego tajemniczego zniknięcia – mówiła jego rozmówczyni – to tutaj znajdzie pan jej wyjaśnienie. Wszystko zostało opisane w tej książce. Wystarczy przeczytać pierwszych pięć rozdziałów. Dalej zaczyna się już fikcja literacka. W dodatku marnie napisana.

– A skąd pani to ma? – zaciekał się Darski, hamując pokusę, żeby od razu zabrać się do lektury.

– Ukradłam to mojemu wydawcy – wyjaśniła Katarzyna bez cienia wstydu. – Kika przysłała mu to kilkanaście dni temu. Siedziałam akurat w jego biurze, kiedy to dostał. Musiał gdzieś wyjść, nudziłam się, usłyszałam sygnał nadchodzącego maila, więc zerknęłam. Kika napisała mu, że nie jest pewna, czy wydawać to już teraz, czy poczekać jeszcze kilka lat, więc zaciekałam się, co to takiego. Ponieważ wydawca mógł wrócić w każdej chwili, więc przesłałam tego maila na swoją skrzynkę, a potem wykasowałam ślad po tym z jego komputera. Ot, takie tam drobne babskie wścibstwo.

„Uroczą starszą pani...”, pomyślał z przekąsem Darski, patrząc z niesmakiem na niewinną minę Katarzyny.

– ...a potem, kiedy zaczęłam to czytać, szybko skojarzyłam, jakie wydarzenia opisała Kika – kontynuowała Skrzypińska. – Oczywiście można przyjąć, że wykorzystwała tę straszną historię jako pretekst do stworzenia sensacyjnej, fikcyjnej fabuły, ale po lekturze uważam, że tak nie jest. Sam pan się

przekona. Zbyt wiele jest tutaj szczegółów, które nie wypłynęły nigdy w czasie śledztwa. Łącznie z wyjaśnieniem, kim była tajemnicza Anastazja. Nie wiem, czy pan o niej słyszał...

Komisarz pokręcił głową. Skrzypińska w kilku zdaniach streściła mu historię internetowej hejterki.

– I powiem panu, dlaczego ten wątek wydaje mi się istotny – powiedziała na koniec. – Z książki Luny wynika, że to Kowalskiemu udało się rozgryźć, kto ukrywał się pod tym pseudonimem.

– I kto to był? – zaciekał się Darski.

– Sama Luna! – oznajmiła Katarzyna z niezrozumiałą dla komisarza satysfakcją. – A w książce główna bohaterka. Chciała takim sposobem utrzcę nosa rywalkom i pokazać ich hipokryzję. Udowodnić, że zwłaszcza te, które najbardziej krzyczą o tym, jak to mają w nosie, co się o nich pisze, są największymi pieniactkami. Bodaj w trzecim rozdziale jest cały akapit o tym, jaki miała ubaw, gdy czytała oburzone opinie o działalności Anastazji i jej koleżanek, i cieszyła się z faktu, że jej koleżankom wreszcie spadły maski z twarzy. Czowała ogromną satysfakcję, opisując, jak jedna z pisarek romansów w prywatnych rozmowach nazywa swoje czytelniczki „ idiotkami”, a potem spotyka się z nimi na kawce i z uśmiechem pozuje do zdjęć. A druga twierdzi, że musi pilnować, aby w jej powieściach nie było żadnych trudnych słów, bo jeszcze się jej fanki zniechęcą i przestaną je kupować. Wie pan, najgorsze, że niektóre pisarki naprawdę coś takiego mówią. Tym większe było oburzenie, że Anastazja ośmieliła się to ujawnić, i to pod konkretnymi nazwiskami, bo przecież prawda boli najbardziej. Potem jednak bohaterka powieści zaczyna się bać, że jej wpisy poszły za daleko. W powieści ktoś, kto wyszedł, że to ona za nimi stoi, napisał jej, że potrafi to udowodnić, i dał jej trzydniowe ultimatum na to, żeby się sama ujawniła. Kika wpadła w panikę. Z obawy przed kompromitacją w środowisku i wśród czytelników po prostu go zabiła. A potem razem ze swoimi dwiema przyjaciółkami zakopała jego zwłoki w lesie.

– Kika czy bohaterka jej powieści? – usiłował sprecyzować Darski.

– A to jakaś różnica? – zdziwiła się Skrzypińska. – Moim zdaniem w tym wypadku na jedno wychodzi...

– I teraz pani Luna opisała te wszystkie wydarzenia w książce?! – zdziwił się Darski. – W jakim celu?!

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała Katarzyna. – Moim zdaniem ona jest... przepraszam... była na tyle bezczelna i arogancka, że chciała się tym pochwalić. Pięć lat temu wpadła w panikę, popełniła błąd, ale niech pan zauważy, że nie została złapana. Nikt nie powiązał tych dwóch spraw. Przypuszczalnie mało kto wiedział o tym, że Bogdan chciał ją zdemaskować i dał jej ultimatum. Zabiła go, ukryła zwłoki, śledztwo umorzono. Ulżyło jej. A potem zaczęła kombinować.

Czytałam gdzieś wyniki badań, z których wynika, że większość niezłapanych przestępców czuje potrzebę wyznania swoich win. A pisarze robią to publicznie, w swoich książkach. Poza tym niewiele ryzykowała. Minęło pięć lat, mało kto pamięta tamtą historię. Gdyby nie czarne róże, nikt by ich ze sobą nigdy nie połączył. A po wydaniu książki, nawet gdyby ktoś sobie coś skojarzył, to i tak niewiele mógłby udowodnić. Treść SMS-ów przechowywana jest przez dwa lata, do wpisów Anastazji też już pewnie nie dałoby się dotrzeć, wysledzić IP. Czas zaciera ślady. I choć mówi się, że w Internecie nigdy nic nie ginie, to doskonale wiadomo, że to bzdura. Nikt by jej nic nie udowodnił...

– Może tak, może nie – powiedział Darski, po czym spojrzał Katarzynie prosto w oczy. – Bardziej interesuje mnie teraz coś innego. Mianowicie, dlaczego przyszła pani do mnie i skąd tyle pani wie o tamtej aferze...

– Tak się składa... – Katarzyna nawet nie próbowała uciec w bok wzrokiem – że jestem matką chrzestną Bogdana Kowalskiego.

Kilkanaście minut wcześniej Róża zrozumiała, co w praktyce oznacza zwrot „skamienie ze strachu”. Zanim rozpoznała postać, w której objęcia wpadła, zdążyła przeżyć kilka interesujących zjawisk natury fizjologicznej na czele z przesunięciem się serca, które nagle zaczęło jej bić w przetyku, niemożnością otwarcia oczu, zamkniętych uprzednio na widok nieznanego, oraz ogólnym paraliżem wszystkich kończyn. Na szczęście prerażenie nie odebrało jej słuchu.

– Ale mi pani przywaliła w brzuch! – Usłyszała znajomy, wesoły głos. – Aż mi się gwiazdy pokazały!

Róża spróbowała zwalczyć uczucie, że zmieniła się właśnie w żonę Lota, i ostrożnie otworzyła oczy. Na widok rozradowanej twarzy Kuby od razu zaczęła dochodzić do siebie. Jej umysł na szczęście pracował ciągle na pełnych obrotach. Położyła swojemu towarzyszowi palec na ustach, wzrokiem nakazując mu, żeby nic już nie mówił. Kuba popatrzył na nią pytająco, ale posłusznie umilkł. Róża wzięła go za rękę i korzystając z faktu, że stoją akurat przed drzwiami balkonowymi, przez które można było wyjść do ogrodu, wyprowadziła na zewnątrz posiadłości. Uważając na to, aby nie zrobić żadnego hałasu, starannie zamknęła za sobą drzwi, włożyła trzymane w rękę szpilki i nadal ciągnąc za sobą Kubę, zrobiła kilka kroków w bok, po czym przykucnęła przy drugim oknie balkonowym, przeszklonym jedynie w górnej połowie.

– Musimy chwilę poczekać – szepnęła. – Być może zaraz przejdą tutaj trzy osoby. Chciałabym, żebyś je zobaczył i ewentualnie zaświadczył potem, kim są...

– Nie mamy na to czasu! – odszepnął Kuba. – Ta postać znowu się pojawiła. I chyba wiem, gdzie chce się dostać. Jeśli mamy ją złapać, to nie możemy czekać. Ani chwili!

– A nie mogliście dać znać o niej komisarzowi? – zapytała z wyrzutem Róża.

– Wiem, że chciałam trzymać go z dala i sama rozwiązać tę sprawę, ale bez przesady. Może Pepe ma rację, że to zbyt niebezpieczne...

– Pan Paweł wysłał mnie właśnie do komisarza, bo powiedział, że pani na pewno nie trafi, ale go nie posłuchałem... – przyznał z wahaniem Kuba.

„Dlaczego ja nigdy nie umiem tak zrobić?”, pomyślała z podziwem Róża, która, mimo że z reguły nie miała problemów z asertywnością, prawie zawsze robiła to, czego chciał jej PR-owiec. Inna sprawa, że gdy kilka razy na początku ich znajomości próbowała zlekceważyć jego rady albo zrobić mu na złość, zawsze wychodziła na tym jak Zabłocki na mydle. Jej szczytowym osiągnięciem było podpisanie za plecami Pawła umowy na serię spotkań z czytelnikami, odbywającą się w ramach większej imprezy pod hasłem „Lato z dożynkami”. Na miejscu okazało się, że spotkania z Różą upchnięto w programie dokładnie w tym samym czasie co świniobicie i grill oraz występy kapel folklorystycznych. Ogłuszona przyśpiewkami ludowymi treści „Ni ma to, łoj, ni ma, jak jurnemu we wsi – utnie świni ogon, babe se popieści”, starając się nie patrzeć na obracające się w jej sąsiedztwie rożny z nabitymi na nie niewinnymi zwierzątkami, Róża zgłupiała tam do tego stopnia, że w dedykacji dla jednej z czytelniczek zamiast „Dla Sylwii”, napisała „Dla Świni”, drugiej zamiast „Świebodzice” – „Świniobicie”, a trzeciej w miejsce „Dla kochanego Krzysztofa” – „Dla jurnego chłopca”. Kolejne kontrakty negocjował dla niej już tylko Pepe.

– Uważam, że jak tego gostka złapiemy sami, to będzie bardziej ekscytujące – perorował dalej niezachwiany w swoim entuzjazmie Kuba. – Policję w razie czego zawsze zdąży się jeszcze zawiadomić. To co? Idziemy czy nie? Akurat jest zamieszanie, bo przyjechał autokar, żeby zabrać wszystkich do Krakowa. Za chwilę zaczną wsiadać i nikt nie zwróci na nas uwagi. Może nam się udać...

Róża zdawała sobie sprawę, że najrozsądniej byłoby iść do komisarza, opowiedzieć mu o tym, co udało jej się podsłuchać, oraz o tajemniczej, kręcącej się po posiadłości osobie. Wiedziała jednak, że tak nie uczyni. Rozsądek nigdy nie był jej wielkim przyjacielem, wręcz przeciwnie. Klóciła się z nim na okrągło, odkąd w wieku dziewiętnastu lat rzuciła po miesiącu studia prawnicze i pojechała wraz ze swoim ówczesnym chłopakiem do Paryża, żeby wieść cygański żywot i utrzymywać się ze śpiewania na schodach pod bazyliką Sacré Cœur. Według ich marzeń, mieli wcześniej czy później zostać odkryci przez łowców talentów, podpisać lukratywny kontrakt płytowy i kupić sobie willę na Lazurowym Wybrzeżu. Niestety, nikt nie raczył przez kilkanaście dni dostrzec w nich następców Sonny'ego i Cher, a jedyną propozycją, jaką złożył im jakiś obleśny, łysawy pan z sumiastym wąsem, było zatrudnienie do pokazów seksu na żywo w obskurnym peep-show, znajdującym się na pobliskim placu Pigalle. Ku rozpaczy Róży jej chłopak uznał to za wymarzoną ofertę pracy i po krótkich negocjacjach z sumiastym porzucił ją na schodach, w dodatku w deszczu. Na pamiątkę została

po nim tylko nieco sfatygowana gitara, na której wcześniej jej akompaniował. W pierwszym odruchu Róża chciała popędzić za nim i rozbić mu ją na głowie, ale szybko uświadomiła sobie, że nie ma za co wracać do kraju. Sprzedała więc owo ponure memento mori swojej pierwszej miłości, a za uzyskane pieniądze kupiła bilet powrotny do ojczyzny. Potem popełniła jeszcze dziesiątki podobnych głupot, które sprawiły, że gdzieś tak od trzydziestego roku życia wołała, żeby w co ważniejszych sprawach decyzje podejmował za nią ktoś inny. W tym wypadku był to Kuba.

– Gdzie jest ta postać? – zapytała Róża z rezygnacją w głosie.

– Kiedy zobaczyliśmy ją po raz pierwszy, biegła w kierunku miejsca, w którym odkryliśmy zwłoki tej grubej pani – wyjaśnił Kuba, ruszając w stronę narożnika dworku, na wszelki wypadek ciągle pochylony, żeby nie zauważono go ze środka. – Ale wygląda na to, że potem zawróciła...

– Jak to? – zdziwiła się Róża, idąc w jego ślady. W tych cholernych szpilkach wychodziło jej to nieco pokracznie.

– Myślę, że szukała wyjścia z posiadłości – wyjaśnił Kuba. – Może jest tam ciągle policja albo może zamknęli to wyjście, licho wie. W każdym razie wróciła i przebiegła znowu, tak że ją z panem Pawłem dostrzegliśmy...

– I gdzie niby jest teraz? – wysapała Róża, postanawiając w duchu, że już nigdy więcej nie kupi żadnych szpilek. Trudno, będzie nosiła trampki do eleganckich sukienek i niech ją Joanna Horodyńska umieszcza na liście najgorzej ubranych kobiet, ma to w nosie. – Mówiłeś, że wiesz...

– Nie wiem, tylko podejrzewam – sprostował Kuba. – Skoro nie wyszła za teren posiadłości i nie wróciła do dworku, to może być tylko w folwarku. Policja przeszukała go na samym początku, każąc nam się spakować. Może być tylko tam, bo w ogrodzie to sama pani widzi, że nie za bardzo jest się gdzie schować. Niby jest ciemno, ale wystarczy, że policja poświeci trochę bardziej i wszystko będzie widoczne jak na dłoni...

– To prowadź do folwarku – zgodziła się Róża, która co prawda już raz tam była, ale po ciemku i ze swoją orientacją w terenie i tak nie znalazłaby drogi. – Tylko ostrożnie...

Dotarli do narożnika dworku. Tutaj wreszcie mogli się wyprostować. Lekko tylko się pochylając, Kuba ruszył pędem alejką ogrodową ciągnącą się równoległe do tyłu dworku, ale zasłoniętą rosnącym z obu jej stron żywopłotem. Róża też odruchowo się pochyliła, choć nie musiała. Była sporo niższa od Kuby i ściana zieleni zasłaniałaby ją całkowicie, nawet gdyby pisarka biegła wyprostowana. Po chwili chłopak skręcił i zmienił trasę. Teraz oddalali się od dworku. Mimo panującego mroku Róża po chwili dostrzegła na horyzoncie zarys domku, do którego prawdopodobnie zmierzali. Dzieliło ich od niego kilkaset metrów i trochę ją przeraziło, że Kuba zamierza ten dystans pokonać jak maratończyk.

– Zwolnij! – wydyszała rozpaczliwie.

Kuba obejrzał się i przystanął. Róża dopadła go, czując, że ma początki ataku serca.

– Miałam kiedyś w planach ćwiczenia na bieżni – wyjaśniła, złapawszy kilka rozpaczliwych oddechów – ale po tym, jak weszłam do siłowni i zobaczyłam tam kilku mocno umięśnionych panów z czułością spoglądających na swoje bicepsy i stękających, jakby na ich widok przeżywali orgazm, dostałam ataku śmiechu i zrezygnowałam. Teraz zaczynam żałować...

– Przepraszam, że tak pędzę – powiedział Kuba, patrząc na nią ze współczuciem. – Ale boję się, że policja szybko zorientuje się, że nas nie ma. Albo pan Paweł odkryje, że nie poszliśmy do komisarza i to pokrzyżuje nam plany.

– Nadal nie wiem, czy samodzielne łapanie mordercy to najlepszy pomysł pod słońcem – wysapała Róża – ale jeśli już mam to robić, to chociaż bez mroczków przed oczami!

Kuba kiwnął głową i ruszył w dalszą drogę już nie biegiem, tylko po prostu szybszym krokiem. Pisarka podążyła jego śladem, czując się jak stara gropa i obiecując sobie w duchu, że jeśli wyjdzie z tej przygody cało, to po powrocie do Warszawy natychmiast kupi sobie dres i dołączy do Pawła, który od kilku miesięcy co wieczór uprawiał jogging między drzewkami i ekshibicjonistami w Ogrodzie Saskim. W milczeniu przemierzali odległość dzielącą ją od dawnego folwarku. Budynek tonął w ciemnościach, w żadnym oknie nie paliło się światło. Kuba stanął przed drzwiami i nacisnął klamkę. Bez żadnego efektu.

– Dziwne – powiedział z zaskoczeniem. – Drzwi wejściowe są przeważnie otwarte, bo istnieją do nich tylko trzy klucze, a nas mieszka tu z reguły nieco więcej. Umówiliśmy się, że każdy będzie tylko zamykał swój pokój, a te drzwi pozostaną otwarte. Chyba że to robota policji. Zaraz poszukam swojego kluczyka, nigdy nie pamiętam, gdzie go wtryniłem.

Przez chwilę obszukiwał najpierw kurtkę, a potem spodnie, aby wreszcie z triumfem wyciągnąć z tylnej kieszeni tych ostatnich chusteczkę, w którą obwinięty był mały kluczyk. Przekręcił go w zamku i jeszcze raz nacisnął klamkę. Tym razem drzwi ustąpiły bez problemu.

– Najgorsze jest to, że włącznik światła znajduje się dopiero w połowie korytarza – powiedział. – Bez sensu, bo trzeba błędzić po omacku i wszyscy zawsze się tu o coś potykają. Umówiliśmy się, że w ogóle nie będziemy tu gasili, ale wyraźnie ktoś o tym zapomniał. Najlepiej, żeby pani poczekała chwilę. Jak mamy się tu wywalić, to lepiej w pojedynkę niż hurtem. I niech pani zerka, czy nikt nie idzie.

– Morderca? – wyszeptała Róża.

– Prędzej policja – odparł Kuba. – Lepiej byłoby też przed nią nawiać, żebyśmy się potem nie musieli tłumaczyć. W razie czego wrócimy inną drogą. Stąd

prowadzi ich do wyjścia kilka.

Róża kiwnęła głową i posłusznie stanęła na czatach. Kuba wszedł do budynku. Minęła jedna sekunda, druga, trzecia... Każda z nich w głowie pisarki rozciągnęła się do całej godziny. Kuba nie wracał ani nie włączył światła. Róża już chciała do niego krzyknąć, gdy nagle usłyszała stłumiony jęk i dziwny hałas. Czując, jak kolejny raz tego wieczoru zaczyna z wolna zamieniać się w kamień, zdołała zrobić jednak kilka kroków. Ostrożnie przekroczyła próg domu. Faktycznie, panowała tu ciemność wręcz grobowa.

– Kubaaaa... – powiedziała, starając się zbytnio nie podnosić głosu. W panującej ciszy jej towarzysz powinien usłyszeć nawet szept. Odpowiedziało jej jednak tylko echo. Róża przez moment zastanawiała się, co robić, i nagle spłynęło na nią natchnienie. Dziwiąc się zaćmieniu umysłu, które musiało ich opanować chwile temu, sięgnęła do kieszeni po iPhone'a, który wyposażony był też w latarkę. Marną, bo marną, ale na pewno choć odrobinę rozpraszającą ciemności panujące w domu. Róża, będąca na bakier z każdym sprzętem elektronicznym, w panice usiłowała sobie przypomnieć, gdzie włącza się odpowiednią funkcję. Pamiętała tylko, że robiło się to jakoś beznadziejnie prosto. Trzeba było chyba przejechać palcem po ekranie i jakoś to się samo pokazywało. Oczywiście, jak to zawsze w takich chwilach, telefon odmówił posłuszeństwa. Klnąc w duchu na czym świat stoi, przesunęła kilka razy palcem w każdą stronę po wyświetlaczu, nie uzyskując żadnego efektu. W końcu, doprowadzona do ostateczności, wbiła kod dostępu, postanawiając wyszukać funkcję latarki w menu. Odpowiedni ekranik pojawił jej się przed oczami i w tym momencie usłyszała ciche odgłosy. Oderwała wzrok od telefonu, podniosła głowę, ale było już za późno. Kątem oka odnotowała, że do jej głowy zbliża się duży, dziwny przedmiot, a chwilę potem poczuła, jak jej czaszkę przeszywa ostry ból. I wtedy straciła przytomność.

ROZDZIAŁ XIV

Betty się gniewa

– Jestem zaniepokojony – powtórzył chyba już piąty raz w ciągu kilku minut Paweł, zerkając nerwowo na zegarek. – Już dawno powinni tu być...

– Chyba zgłupiałeś już do reszty, że wysłałeś do komisarza właśnie ich, zamiast iść sam – szepnęła Betty, uśmiechając się jednocześnie do Marielli. Ta perorowała w najlepsze od kilkunastu minut, nie zwracając w ogóle uwagi na to, czy jej rozmówczynię to obchodzi i czy jej w ogóle słucha.

– ...i powiedziałam mu wtedy, że me serce przepełnione jest przyjaźnią – mówiła – ale aby zakwitło niczym róża na wiosnę miłością, trzeba podlać je nektarem namiętności. A ja go nie czuję. Moja dusza nie czuła ognia rozpalającego łądzwie, pożądania w spojrzeniu, zespolenia kosmicznych energii...

– Co ona bredzi? – wyszeptał Paweł, pochylając się do ucha Betty i starając się, aby jego słowa nie dotarły do Marielli. Jednak autorka romansów wydawała się tak oderwana od rzeczywistości, że mógłby pewnie nawet i krzyknąć, że za chwilę w pokoju wybuchnie bomba, a ona dalej ciągnęłaby niewzruszenie swoją opowieść.

– Nie mam zielonego pojęcia – odszepnęła Betty. – Zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak ciężko musi być teraz partnerom Grażyny i Kiki, a ona nagle ni w pięć, ni w dziewięć przeszła na jakieś swoje przygody miłosne.

– ...bo on był jak obietnica zakazanego pocałunku, którego pragniesz, choć czujesz, że nigdy nie rozpali twych ust, jak wieczna zima, gdy wiesz, że twojego ciała nie rozgrzeje już nigdy promień wiosennego słońca, nie rozkwitną przebiśniegi, nie usłyszysz śpiewu skowronka – ciągnęła natchnionym głosem Mariella, sprawiając, że i Pepe, i Betty zaczęli się zastanawiać, czy aby nie

powinno się do niej wezwać pogotowia psychiatrycznego. Jedyne, co ich hamowało, to niepewność, czy takowe w ogóle istnieje. – Był jak piękny statek, który osiadł na mieliźnie zagubienia i obojętności. Musiałam go odtrącić, choć moje jestestwo krwawiło i przeżywałam torturę, że zmacę swoją odmową ten bezkresny błękit w jego oczach. Ale moja dusza przemówiła do mnie we śnie i zobaczyłam, że będę przy nim jak usychający kwiat, któremu zabrano miłosny tlen...

– To trwa za długo – wyszeptał Pepe. – Idę do komisarza!

– Poczekaj jeszcze chwilę – poradziła Betty. – Jeśli oni tropią mordercę, a doskonale wiemy, że tak jest, to tylko ich wkopiesz...

– To idź ty! – zirytował się Pepe. – Masz bliżej do tego policjanta. W każdym tego słowa znaczeniu...

Betty spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– To ty wiesz?! – zapytała.

– Oczywiście. – Pepe spojrzał na nią z politowaniem. – Ja wiem wszystko. Zawsze. Dziwię się, że masz jeszcze co do tego wątpliwości!

– ...i kiedy moje serce płakało krwawymi łzami, a każdy dzień był czarny jak dusza potępieńca – snuła swoją opowieść niez mordowana Mariella – on znalazł sobie nową pokusę, diabolicę wcieloną, której dusza teraz na wieczne potępienie w czeluściach piekielnych skazana została...

Jej słowa do zajętych rozmową Pawła i Betty docierały tylko teoretycznie. Praktycznie nie zwracali na nie najmniejszej uwagi.

– Dobrze, mogę iść do Krzysztofa – mruknęła Betty – ale wtedy będę musiała mu opowiedzieć o wszystkim. Na razie trzymałam wasze detektywistyczne zapędy w tajemnicy...

– Wasze?! – zirytował się Pepe. – Niby kiedy to poparłem te szaleństwa?!

– No dobrze, ich – zgodziła się Betty. – Mam mu wyznaczyć wszystko?

Pepe skinął głową.

– W takim razie weź na siebie ciężar konwersacji z Mariellą. O ile to można nazwać konwersacją. Po prostu musisz co jakiś czas kiwać głową. Ja w ciągu ostatnich minut jej gadania wymyśliłam na przykład, gdzie pojedziemy z Krzysiem na zimowe wakacje...

Nie próbując nawet przerwać potoku słów wyrzucanych przez Miszalek, Betty po prostu wstała i ruszyła do wyjścia. Paweł zajął jej miejsce, co na Marielli nie zrobiło żadnego wrażenia. Betty gotowa była się założyć, że nawet nie zauważyła zmiany rozmówcy. Nieco rozbawiona udała się do pokoju ukochanego, po drodze odnotowując wzmożony ruch przy drzwiach wejściowych do dworku, a tuż przed drzwiami apartamentu, w którym rezydował Darski, natknęła się na wyraźnie zdenerwowaną Katarzynę Skrzypińską. Kiedy weszła, komisarz kończył właśnie z kimś rozmawiać.

– Rozumiem i bardzo panu dziękuję za informacje – mówił. Na widok Betty zrobił gest, którym zapraszał ją, żeby usiadła na kanapie. Choć skończył rozmowę, nie odkładał komórki.

– Za chwilę poprosimy wszystkich, aby przeszli do autokaru, i zawieziemy ich do Krakowa – poinformował ją, wpatrując się jednocześnie w skupieniu w ekranik. – Mieliśmy trochę problemu ze znalezieniem w ostatniej chwili tylu wolnych miejsc, bo są jakieś targi i w ogóle wszystko jak zawsze w tym mieście zapchane po ostatnie łóżka, ale na szczęście w Andelsie skasowano dużą rezerwację w związku z odwołaniem zjazdu miłośników Smoka Wawelskiego.

– A co, przestali go lubić? – zaciekała się mimowolnie Betty.

– Nie – odparł Darski, odrywając wreszcie wzrok od smartfona. – Restaurują go teraz i stoi za rusztowaniami. Podobno zepsuł się system odpowiedzialny za to, żeby zionął ogniem w zamian za SMS-a.

– Że jak? – zdziwiła się Betty. – Za SMS-a?!

– To nie słyszałaś? – zdumiał się z kolei Darski. – Od paru lat już tak jest. Kiedyś smok zionął co godzinę za darmo, ale teraz jak chcesz zobaczyć ogień w jego paszczęce, to musisz wysłać wiadomość i za to zabulić. Podobno warszawiacy są o ten pomysł straszliwie zazdrośni i kombinują, czy nie zamontować swojej Syrence ruchomego ogona.

– Mogłaby mieć jeszcze ruchomy miecz i walić nim po głowie pomysłodawców takich kretynizmów – podsunęła Betty. – Poczekaj, bo my jak zwykle o głupotach, a ja mam dla ciebie dość ważne wiadomości. Obiecay tylko najpierw, że nie będziesz na mnie wrzeszczał, jak ci o nich opowiem...

W kilkunastu krótkich, acz treściwych zdaniach streściła Darskiemu wszystko, czego była świadkiem w ciągu paru godzin. Zgodnie z tym, czego się spodziewała, jej ukochany od razu się zezłościł.

– Mieliśmy umowę, że dajesz mi znać o wszystkim, czego się dowiesz – powiedział, z trudem hamując furię. – A tymczasem ty zatajasz przede mną fakt, że kilka osób pod moim nosem będzie się zabawiało w jakichś pieprzonych Sherlocków Holmesów. Skończeni idioci!!!

– Zamierzałam ci o tym wspomnieć w odpowiednim momencie... – zaczęła się bronić Betty.

– Czyli kiedy, do jasnej cholery?! Jak wszyscy traficie do kostnicy?! – przerwał jej Darski. – I niby w jaki sposób? Nawiedzając mnie nocą w roli świetlistej zjawy z zaświatów?!

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz się na mnie drzeć, to obiecuję, że przestanę cię nawiedzać nawet na jawie – zapowiedziała gniewnie Betty. – I to pod każdą postacią! Poza tym ustaliliśmy, że nie będziemy robili nic groźnego, a tylko porozmawiamy trochę z ludźmi, których znamy. Nie widziałam w tym nic niebezpiecznego!

– Rozumiem, że uganianie się za mordercą po ciemnej okolicy też jest błahostką, niewartą nawet wspomnienia – wyłóśliwił się komisarz, ale już nieco łagodniejszym tonem. – I tak dobrze, że ten bandzior nie ma już pistoletu. Co nie zmienia faktu, że natychmiast musimy zacząć poszukiwania...

Sięgnął po krótkofalówkę i wydał kilka niezrozumiałych dla Betty poleceń.

– Zwracam ci tylko łaskawie uwagę – powiedziała Betty gniewnie, kiedy jej ukochany skończył już przemowę do aparatu – że informowałam cię prawie o wszystkim. Zataiłam tylko to, że chcemy sobie pogadać z ludźmi, do czego ostatecznie i tak nie doszło. Zdaje się, że tylko Róży udało się zamienić kilka zdań z Leną, a mnie wysłuchać psychopatycznego bełkotu twojej ulubienicy...

– Marielli? – upewnił się Darski.

– Owszem. Nic z tego gadania nie wynikało. A to, że Róża i Kuba ganiają teraz mordercę, jest tylko moim i Pawła przypuszczeniem, wynikającym z faktu, że mieli przyjść do ciebie, ale najwyraźniej gdzieś się po drodze zagubili. Jak widać, od razu przyszedłam z tym prosto do ciebie. Nie rozumiem więc twoich wrzasków, czuję się obrażona i czekam na przeprosiny.

Krzysztof podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

– Może być? – zapytał.

Betty wyglądała na zaskoczoną. Krzysztof uśmiechnął się i pocałował ją w drugi policzek, a następnie w czoło. Jego ukochana uśmiechnęła się kwaśno.

– Rozumiem, że wróciliśmy właśnie do szkoły średniej – powiedziała. – Nie omieszkam wykorzystać tego faktu, gdy znajdziemy się już domu.

– Będiesz mi prała skarpetki i przygotowywała z rana kanapki z mortadela jak moja mama?! – ucieszył się Darski. – Super!

– Nie. – Betty wzdrygnęła się, mając przed oczami wizję Darskiego wyprawianego przez nią co rano do pracy z tornisterkiem na plecach. – Po prostu tak jak w liceum będę miała codziennie ból głowy. Zwłaszcza wieczorem...

– Zawsze zostanie mi fotel przed komputerem – powiedział Darski, po czym zręcznie uchylił się przed ciosem poduszką, którą chwyciła jego ukochana. – Dobra, koniec żartów. Musisz mi w czymś pomóc. Dostałem coś od tej starszej autorki i chcę, żebyś razem ze mną to przejrzała. Mamy mało czasu, ale ponoć ważne są tylko pierwsze rozdziały. A w tym czasie moi chłopcy, mam nadzieję, znajdą tę dwójkę domorosłych detektywów. Przebiegnij to trochę wzrokiem, bo początek już przeczytałem.

Podał Róży swój telefon. Ta wzięła go i szybko przeleciała wzrokiem pierwsze linijki tekstu.

– Czy to jest... opis morderstwa Bogdana Kowalskiego?! – zapytała, nie próbując nawet ukryć szoku. Darski pokiwał głową. – Ale... – Betty przez chwilę próbowała zebrać myśli. – Kto to napisał?!

Róża zapadała się w niekończącą się ciemność, czując, że znalazła się

w wagoniku na samym szczycie olbrzymiego diabelskiego młyna. Co jednak ciekawe, nie umiała oprzeć się wrażeniu, że ów stoi w miejscu, a cały świat wokół niego wiruje w jakimś opętanym, niemożliwym do zatrzymania pędzie, wciągany przez tajemniczy kosmiczny wir. Chciała krzyżeć, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Próbowwała się poruszyć, ale przestała panować nad swoim ciałem. Była tylko częścią świadomości, beznadziejnie próbującej znaleźć wyjście z pułapki, w którą wpadła. Wir z wolna już dosięgał jej wagonika. Karuzela, w której została uwięziona, zaczynała się rozpadać niczym tekturowe domki zmiotane przez potężny huragan. Kolejne żelazne elementy odrywały się od młyna i wpadały w środek wiru. Róża z przerażeniem patrzyła, jak zaczynają pękać szyby jej wagonika. Jeszcze chwila i wir pochłonie też ją! Wzięła głęboki oddech i... w tym momencie poczuła bolesne uderzenie w policzek. Krzyknęła z bólu i otworzyła oczy. Wagonik i wir zniknęły. Dokoła panowała ciemność. Coś jednak z tego wszystkiego nie było snem. Róża poczuła, że policzek ją piecze, i zrozumiała, że choć wszystko, co przeżyła chwilę temu, było wytworem jej umysłu i nie działo się naprawdę, to jednak cios otrzymała na jawie. Uświadomiła sobie też, że siedzi na krześle, ma spętane ręce i nogi, ale na szczęście nie jest zakneblowana. Z wolna zebrała się, żeby coś krzyknąć, ale zastopowała ją niepewność, jak właściwie ma brzmieć treść komunikatu, który powinna wyartykułować. „Ratunku” wydawało jej się banałem. Podobnie jak „pomocy”. Tym bardziej że skoro przed chwilą ktoś ją spoliczkował, to znaczy, że okrzyk pewnie usłyszy przede wszystkim on. A przecież nie oczekuje ratunku i pomocy od jakiegoś bandziora. Wreszcie zdecydowała.

– Tu chuju! – wrzasnęła z całych sił. – Nie w hialuron! Czy wiesz, ile on kosztuje?!

„Z drugiej strony, nieźle się wygłupiłam – pomyślała jednocześnie. – Jak to, nie daj Panie, Pepe mnie znalazł i dał mi po twarzy, to teraz już nigdy ze mnie nie zejdzie z tymi swoimi docinkami...”

– To znaczy, mógłbyś uszkodzić, gdybym go miała – dodała natychmiast.

– Przepraszam. – Ku swojemu osłupieniu, bo była przekonana, że złoczyńcą jest mężczyzna, Róża usłyszała cichy damski głos, a sekundę później w blasku iPhone’owej latarki zobaczyła twarz. – Nie było innego sposobu, żeby cię ocucić. Staralam się nie uderzyć zbyt mocno...

Pisarka poczuła się mocno zaskoczona. Oczywiście natychmiast rozpoznała, kto do niej mówi, ale prędzej gotowa była uwierzyć, że nadal śni, niż przyjąć do wiadomości, kto przed nią stoi.

– Kornelia? – wyszeptała niepewnie. – To naprawdę pani?

– Oczywiście, że nie – odrzekła stojąca przed nią kobieta. – Kornelia jest w tej chwili we dworku i mam nadzieję, że ciągle mnie udaje.

– W takim razie... – Róża poczuła, że nie do końca wysiadła z diabelskiego

młyna, bo ciągle mocno kręciło jej się głowie i zaczynało ją nieco mdlić. – Jesteś Julią...

– Tak.

– Ale dlaczego...? – Róża poczuła, że znów ma problemy ze sformułowaniem myśli, i przeraziła się, że zostanie jej tak na zawsze, w związku z czym zamiast pisać kolejne kryminały, będzie musiała zacząć tworzyć psychologiczne erotyki, które i tak z reguły nie mają większego sensu. – Z jakiego powodu...?

– Nie ma czasu, żebym wyjaśniła wszystko od początku – powiedziała Julia.

– Ale chcę, żebyś uwierzyła, że to, co za chwilę usłyszysz, jest prawdą, i postarała się mnie zrozumieć. Obiecuj mi!

Róża popatrzyła na nią uważnie, czując, że ze zdenerwowania zaczyna brakować jej oddechu. Jeszcze tego brakuje, żeby wykitowała tu na udar albo wylew!

– Chcesz powiedzieć – zapytała, z trudem łapiąc powietrze – że to ty zabiłaś Grażynę, Kikę i tego kelnera?

– Nie. – Głos Julii zabrzmiał nagle ostro i nieprzyjemnie. – Chcę powiedzieć coś zupełnie innego...

ROZDZIAŁ XV

Róża ucieka

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała Betty, odrywając wzrok od komórki ukochanego. – Po co ona to wszystko opisała?! Co to ma być? Wyznanie winy?

– Według osoby, która mi to udostępniła, raczej dowód na to, że Kika miała paskudny charakter i lubiła się chwalić nawet czymś, co powinno się starannie przemilczeć – wyjaśnił Darski. Betty przez chwilę układała sobie w głowie to, co wiedziała o sprawie.

– Mam wrażenie – powiedziała ostrożnie – że nic tutaj nie trzyma się kupy. Do któregoś momentu wszystko rozumiem, a od któregoś całość zaczyna tracić sens. Rozumiem, że cała afera zaczęła się od tego, że Kika chciała poużywać sobie na swoich koleżankach i zaczęła rozsiewać o nich plotki w Internecie. Owszem, to nawet mi pasuje do jej charakteru. Kowalski to odkrył i postawił jej ultimatum: albo, żeby sama się przyznała, albo grożąc jej jednocześnie, że jeśli tego nie zrobi, to on ją wyręczy. Kika wpadła w panikę i go zabiła. A potem wraz z koleżankami, z którymi miała wtedy spotkanie autorskie w Krakowie, zakopała gdzieś jego zwłoki. Na razie się zgadza?

– Owszem – przytaknął Darski. – Tak wynika z jej książki.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego te dwie pozostałe zgodziły się jej pomóc – zastanawiała się na głos Betty. – Ale w porządku, uznajmy, że jakoś je przekonała. Potem przez pięć lat był spokój. Sprawę Kowalskiego umorzono, ciała nigdy nie znaleziono. Kika się uspokoiła i napisała książkę. A później zorganizowała imprezę, na którą zaprosiła osoby związane z tamtym morderstwem. Dwie, które pomogły jej w ukryciu zwłok, i syna zamordowanego. Po co?

– Nie tylko. Była tu co najmniej jeszcze jedna osoba mająca coś wspólnego z nieboszczykiem...

– Kto? – Betty spojrzała niespokojnie na komisarza. – Chyba jednak nie jego żona?

– Nie – zaprzeczył Darski. – Jego matka chrzestna. To od niej dostałem ten plik.

– Skrzypińska była jego matką chrzestną?! – zdumiała się Betty, po czym widząc zdziwione spojrzenie Krzysztofa, wyjaśniła: – Minęłam się z nią w drzwiach. Zakładałam, że to ona, bo nikt więcej cię nie odwiedził. Poza tym z dwóch osób, które mi tu wiekiem pasują do tej funkcji, Skrzypińska wydaje się bardziej prawdopodobna. Marielli pewnie nikt przy zdrowych zmysłach nie dałby do potrzymania niemowlaka. Jeszcze by go upuściła do chrzcielnicy. A więc Kika miała dokoła siebie cztery osoby, które w jakiś sposób zamieszane były w sprawę Kowalskiego. Do tego momentu wszystko układa się logicznie. Ale potem już nie. Załóżmy, że Kika chciała pozbyć się świadków morderstwa. Otruła Grażynę i co? Dostała napadu wyrzutów sumienia, poszła na trzęsawisko i sama się udusiła? Bez sensu. Druga logiczna teoria, że mordercą jest mszczący się kelner, syn Kowalskiego, który jakimś cudem dowiedział się, kto zabił jego tatę, też bierze w łeb, bo przecież ktoś go zastrzelił. Kto jeszcze może być mordercą? Mąż Kiki. Nie wiem, co miałby na tym ugrać. Ani po niej niczego nie dziedziczył, ani nie miał powodu mordować Grażyny i drugiego kelnera. Narzeczony Winnik? To samo. Nawet jeśli miałby nagle powód, aby otruć ukochaną, po co popełniałby dwa kolejne morderstwa?

– A co powiesz o Skrzypińskiej? – zainteresował się Darski, patrząc na Betty z ciekawością. – Albo o Marielli?

– Mariella to wariatka – stwierdziła z pełnym przekonaniem Betty – a z wariatami nigdy nic nie wiadomo, więc nic sobie nie dam za nią uciąć. A Skrzypińska...? Starsza pani jako anioł zemsty. Ciekawa teoria. Na jej niekorzyść przemawia to, że jako jedyna знаła treść książki Kiki.

– To niekoniecznie prawda – wtrącił Darski z zadowoloną miną.

– Co masz na myśli? – zadziwiła się Betty.

– Po wyjściu Skrzypińskiej skontaktowałem się z jej wydawcą, który, jak pewnie wiesz, współpracował też z Kiką. Dowiedziałem się, że powiadomił o książce jeszcze jedną osobę, którą miał zamiar poprosić o to, żeby zajęła się redakcją tekstu. Zgadniesz kogo?

– Rozumiem, że kogoś, kto jest tu z nami – domyśliła się bez trudu Betty. – Poczekaj, kto zajmuje się też redagowaniem książek? Olka chyba kiedyś robiła redakcję jednej z książek Joanny i... O, kurczę... Julia?!

– Tak, Julia. Ta sama, która miała stać się trzecią ofiarą mordercy...

– Chwila. – Betty zamknęła oczy i próbowała się skupić. – Czyli sugerujesz,

że ktoś chciał wykończyć wszystkie trzy autorki, które według opisu Kiki były zamieszane w zabójstwo Kowalskiego. Jedna z dwóch osób, która miała powód do zemsty, zginęła. A druga...

– A druga sama do mnie przyszła i przyznała się, że czytała książkę Luny, choć wcale nie musiała tego robić – dokończył Darski. – Zwróć jednak uwagę na inny aspekt sprawy...

– Jaki?

– Komuś bardzo zależało, żebyśmy połączyli te morderstwa z zaginięciem Kowalskiego. Przy zwłokach zostawiał czarne róże, potem ułożył z nich w pokoju Julii i Kornelii napis „zemsta”...

– Myślisz, że to zasłona dymna? – zdumiała się Betty. – A czy jest jakikolwiek inny motyw dla tych trzech morderstw...

– To właśnie teraz badam – powiedział komisarz i w tym momencie w jego komórce rozległ się dźwięk oznaczający odebranie nowej wiadomości. – I powiem ci, że mam kilka interesujących teorii...

Darski zerknął na komórkę i przez jego twarz przemknął zagadkowy uśmiech.

– ...i dwie dość ciekawe informacje – dodał tajemniczo.

– I tak właśnie było...

Róża patrzyła na Julię uważnie, starając się dostrzec na jej twarzy jakikolwiek znak, że to, co usłyszała przez ostatnie minuty, jest kłamstwem. Nic takiego nie wypatrzyła, ale nadal się jej wydawało, że opowieść Kulickiej jest nieprawdopodobna. Do tego stopnia, że... zaczęła w nią wierzyć. Nie sądziła bowiem, i na razie to była jedyna myśl, którą sprecyzowała w swojej obolałej głowie, że Kulicka potrafiłaby ją zmyślić.

– Wierzysz mi?

Róża kiwnęła głową.

– Wierzę – powiedziała. – Nie wiem tylko, dlaczego nie opowiesz tego wszystkiego policji.

– Nie żartuj! – prychnęła Julia. – Nie chcę spędzić reszty życia w więzieniu...

– Ale przecież... – zaprotestowała Róża. – Nie jesteś niczego winna...

– Ktoś postarał się, żebym nie miała na to ani jednego świadka – odrzekła Julia. – Sama wiesz, jak policja podejdzie do moich zeznań. A co udowodnię po tylu latach?

– Pytanie raczej, co tobie udowodnią – zwróciła jej uwagę Róża. – I co teraz chcesz zrobić?

– Uciec, przeczekać, a potem wyjechać – powiedziała Julia z determinacją. – Ale zanim to zrobię, chciałam, żeby choć jedna osoba знаła całą prawdę. Padło na

ciebie.

Róża popatrzyła na nią z niesmakiem.

– I dlatego musiałaś mnie walnąć w głowę? – spytała z wyrzutem. – Ostatnią osobą, która uważała, że to jedyny sposób dotarcia do mnie, była moja mama, a i to tylko wtedy, gdy byłam dzieckiem...

– Może jakbyś przyszła sama, nie musiałabym tego robić – wyjaśniła Julia przepraszająco. – Ale przywlokłaś tu jakiegoś wyrostka.

Róża poczuła ukłucie niepokoju w sercu.

– Kuba! – krzyknęła. – Co z nim zrobiłaś?

– Obawiam się, że dostał dechą nieco mocniej od ciebie. Ale spokojnie, żyje. Leży w drugim pokoju. A teraz pozwolisz, że się oddalę. I tak dziwię się, że nie ma tu jeszcze policji.

– Jak zamierzasz uciec? – zapytała Róża. – Przecież wszystko jest obstawione.

– Niekoniecznie... – zauważyła Julia tajemniczo. Jeszcze raz uważnie spojrzała na Różę i w jej wzroku pojawiło się wahanie. Wyraźnie chciała jeszcze coś dodać, ale z jakichś względów coś ją przed tym hamowało. W końcu jednak się przełamała.

– Była jedna osoba – powiedziała powoli – która kiedyś o mały włos, a przyłapałaby mnie na tym, co robiłam potem...

– Masz na myśli... – zaczęła Róża, ale Julia natychmiast jej przerwała.

– Tak! – rzuciła stanowczo. – Kiedyś przyjechała tam i odnoszę wrażenie, że mnie widziała. Ale w tej sytuacji chyba nie ma to żadnego znaczenia. Choć może... Nie umiem tego rozstrzygnąć.

– Zdradzisz mi, kto to był?

– Tak, choć w tej sytuacji ta informacja chyba się nie przyda – odrzekła Julia. – To była Kika Luna.

Róża wzięła szybki oddech. Nie dlatego, że usłyszała w oddali odgłosy oznaczające, że ktoś, najprawdopodobniej policja, zbliża się do folwarku, ale z powodu skojarzeń, które nagle eksplodowały w jej głowie. Czy to możliwe, żeby prawda była aż tak oczywista...? Chciała zadać Julii jeszcze jedno pytanie, ale ta też usłyszała hałas i widać było, że nie ma już ochoty na dalsze zwierzenia.

– Myślę, że widzimy się po raz ostatni – powiedziała Julia. – Bardzo miło było cię znać. Zawsze żałowałam, że się nie zaprzyjaźniłyśmy. Trzymaj się, Rózo, i nie wspominaj mnie źle.

– Może jeszcze zmienisz zdanie? – Pisarka spojrzała na nią badawczo, ale Julia stanowczo pokręciła głową, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju. Po chwili do uszu Róży dobiegł odgłos coraz szybszych kroków, a potem trzasku, po którym zapadła cisza. Spróbowała się uspokoić. Wzięła kilka głębokich oddechów, pocieszając się w myślach wizją wpadających do pokoju chłopców w niebieskich

mundurach, którzy szybko uwalniają ją z pęt. Byłoby to o tyle pożądane, że Różę zaczynały swędzieć rozmaite miejsca, na czele z nosem. „Jak to jest, że przez całą wieczność człowiek nic nie czuje, ale jak tylko wie, że nie może się podrapać, to zaraz ma wrażenie, że jest chory na ospę wietrzną?”, pomyślała z rozdrażnieniem. Mijały minuty, a policjanci nadal się nie zmateriłowali. Róża się poruszyła, przy okazji przesuwając o parę centymetrów krzesło. „Przynajmniej nie jest na stałe przytwierdzone do podłogi”, przemknęło jej przez głowę i nie wiadomo czemu odkrycie to dodało jej trochę otuchy. W dodatku przypomniało jej się kilka filmowych scen, w których osoby przywiązane do rozmaitych przedmiotów uwalniały się samodzielnie szybko i z dziecinną łatwością. Skoro jej ulubiony Tom Cruise mógł w *Mission: Impossible* łązić po elewacji drapacza chmur Burdż Chalifa albo wędrować po skrzydle lecącego samolotu, to ona, autorka kilkunastu kryminałów, których bohaterowie znajdowali wyjścia z najstraszniejszych tarapatów, powinna poradzić sobie bez problemu z czymś tak banalnym jak przywiązanie do krzesła. Próbując pozbyć się natrętnej myśli, że bliżej jej jednak do postaci z komedii *Głupi i głupszy* niż najsłynniejszego hollywoodzkiego scjentologa, Róża najpierw sprawdziła, czy więzy mają jakikolwiek luz. Z żalem odnotowała jednak, że na pozór chuderlawa i anemiczna Kulicka spętała ją z zaskakującą precyzją i siłą. Pomna tego, że na filmach wszystkim łatwiej było się uwolnić z krzesła, które najpierw przewrócili, Róża postarała się z całej siły przechylić w prawą stronę. Krzesło lekko drgnęło, ale się nie przewróciło. „Cholernie ciężkie i dobrze wyważone, ciekawe, kto je wyprodukował, będę musiała potem sprawdzić”, pomyślała pisarka, z niesmakiem wspominając z lekka rozpadające się meble ze szwedzkiej sklejk, które zdobiły jej mieszkanie. Uwolnienie się z nich nie zajęłoby wiele czasu, wzięwszy pod uwagę, że czasem przewracały się same z siebie. Skoro przechylenie się nie przyniosło spodziewanego efektu, Róża chwyciła się kolejnej metody. Zaczęła balansować ciałem z prawa na lewo, niczym publiczność festiwalu opolskiego w czasie występu Maryli Rodowicz. Krzesło z wolna zaczęło się gibać razem z nią. Czując, jak mimo panującego w pokoju chłodu zaczyna się pocić, włożyła całą swoją siłę w to, aby zamienić oporny mebel w wahadło. I wreszcie dopięła swego, acz z dość nieoczekiwanym efektem. Rozbujane krzesło w końcu runęło w prawą stronę, ale z takim impetem, że siłą rozpędu przesunęło się o kilkanaście kolejnych centymetrów po podłodze. Róża poczuła, jak wali głową w coś twardego. Nie potrafiła od razu ocenić, czy jest to inny mebel, czy ściana. Jednocześnie usłyszała, jak coś nad nią trzasnęło. Dźwięk zabrzmiał znajomo, ale tak od razu z niczym go nie skojarzyła. Minęło parę chwil i Róża poczuła, że coś kapie jej na włosy. Jedna kropla, druga, trzecia i kolejne, następujące po sobie coraz szybciej i szybciej. Nie mając pojęcia, skąd się wziął ten dziwny miniwodosпад, spróbowała ocenić sytuację. Nie było beznadziejnie. Lekko posapując z wysiłku, zdołała przesunąć

lewą nogę na tyle, że krępujące ją więzy znalazły się poza krzesłem. Podobnie udało jej się z prawą, tyle że łatwiej. W ten sposób miała już wolne obie. „I co teraz? Poza tym, że mogę sobie powierzać jak młoda klacz?”, pomyślała. Już miała spróbować kopnąć w krzesło, żeby zobaczyć, czy da radę nogami je rozwalić na części pierwsze, kiedy nagle usłyszała kroki i oślepił ją błysk. Chwilę potem tuż nad nią rozległ się paniczny krzyk. Róża otworzyła zmrużone sekundę wcześniej oczy i z irytacją popatrzyła na stojącą nad sobą znajomą postać, wydającą z siebie kwiki godne syreny strażackiej.

– Zamknij dziób! – wrzasnęła, pomna tego, że jak kiedyś przejechała obok niej karetka na sygnale, to potem piszczało jej w uszach jeszcze przez pięć godzin i już po drugiej miała ochotę wsadzić sobie nóż do ucha, żeby to przerwać. Kuba wcale nie był gorszy od karetki. – Zwariowałeś?!

Kubę zatchnęło, co miało ten dobry skutek, że przynajmniej przestał wydawać z siebie dźwięki godne piosenkarki Mariah Carey, znanej z perfekcyjnego wyciągania górnego C.

– Wiem, że może nie wyglądam teraz idealnie – powiedziała z irytacją Róża – ale to nie powód, żeby na mój widok tak histeryzować.

– Dobrze, że pani siebie nie widzi – powiedział Kuba, podchodząc i uwalniając z więzów jej ręce. – Mogłaby pani zagrać w filmie o zombie. Bez charakteryzacji!

Róża popatrzyła na niego z niesmakiem. Wstała i wykonała kilka ćwiczeń, sprawdzając, czy aby przy bojach z krzesłem niczego sobie nie uszkodziła. Na szczęście poza lekkim bólem prawego kolana nic jej nie było. Odetchnęła z ulgą i wtedy jej wzrok padł na zawieszone na ścianie z jej lewej strony lustro. Z trudem pohamowała się, żeby wzorem Kubę nie wydać z siebie okrzyku przerażenia. Włosy miała rozdzielone na środku głowy szerokim czerwonym pasmem, które powoli spływało jej na czoło, i prezentowała się wypisz wymaluj tak, jakby ktoś przed chwilą rozłupał jej głowę na pół siekierą. Gdyby nie fakt, że czuła się znakomicie, gotowa byłaby uwierzyć, że naprawdę ma uszkodzoną czaszkę, a w związku z tym właśnie umiera i porusza się jedynie siłą rozpędu. Zdziwiona tą dziwną charakteryzacją przejechała po włosach ręką, a następnie zbliżyła ją do nosa.

– Wiśniówka – stwierdziła ze zdziwieniem. – Dziwna, bo piekielnie gęsta.

Jeden rzut oka w miejsce, gdzie poprzednio leżała, sprawił, że szybko zrozumiała, co się wydarzyło. Przewracając się z krzesłem, uderzyła głową w szafkę, a której stały butelki z różnymi trunkami. Jedna z nich, niezakorkowana, przewróciła się, a jej zawartość ozdobiła głowę pisarki, czyniąc z niej na oko ofiarę brutalnego mordy.

Kuba podszedł do szafki, sięgnął po przewróconą butelkę i spróbował jej zawartości, po czym cmoknął z uznaniem dla trunku.

– A ty, mistrzu, masz już osiemnaście lat? – zapytała Róża, patrząc na niego podejrzliwie. – Bo jeśli nie, to może jednak przestań na moich oczach łamać prawo. Starczy już na dzisiaj tych przestępstw.

– Według metryki mam już nawet dziewiętnaście – wyjaśnił Kuba, mrugając do niej porozumiewawczo.

– Taaa... – powiedziała Róża. – Ja według swojej też. Muszę to czym prędzej zmyć, zanim ktoś wykorkuje na zawał na mój widok...

– Tu chyba wszyscy już uodpornieni – pocieszył ją Kuba. – A swoją drogą, co się tutaj wydarzyło? Bo ocknąłem się parę minut temu i usłyszałem, że ktoś rozmawia. To pani?

– Owszem. Szkoda, że nie przybiegłeś wcześniej...

– Trochę potrwało, zanim się uwolniłem – powiedział przeprasząco Kuba. – Ten drań wiedział, jak wiązać, i widać, że był silny. Na szczęście, kiedy byłem mały, lubiliśmy z kolegami z podwórka bawić się w policjantów i bandytów. Nauczyłem się wtedy oswobadzać z każdego więzów. A poza tym od zawsze noszę ze sobą to...

Z dumą pokazał jej mały składany scyzoryk z kilkoma ostrzami. Róża, widząc jego zadowoloną minę, oszczędziła mu na razie informacji, że nie napadł ich i nie związał żaden silny drań, lecz anemiczna kobieta.

– Chyba też się muszę w taki zaopatrzyć, bo za dużo tu bandytów i psychopatek, żeby łązić bez broni – mruknęła Róża, po czym się ocknęła. – Kuba, czy stąd jest jakieś trzecie wyjście?

– Nie – zaprzeczył Kuba, ale po chwili zrobił niezdecydowaną minę. – To znaczy... Nie ma takiego, z którego można by skorzystać. Ale tak naprawdę poza bramą główną i furtką w murze, tam gdzie znaleźliśmy tę grubą panią, można na uparte go wyjść poza teren należący do dworku kilkadziesiąt metrów stąd, na samym tyle posiadłości. Ale nie radziłbym...

– Dlaczego?

– Bo to nie jest żadne wyjście, tylko taka duża wyrwa w murze – wyjaśnił Kuba. – Nie wiem, jak powstała. Wygląda tak, jakby część muru po prostu się rozpadła. Nikt z tego nie korzysta, bo tam za murem są głównie trzęsawiska i trudno znaleźć bezpieczną drogę. Tu tak dokoła. Swoją drogą, nie jest pani pierwszą osobą, która mnie dzisiaj magluje o wyjścia z posiadłości...

– A kto maglował cię wcześniej? – zapytała Róża, czując narastający niepokój.

– Ta chuda pani pisarka, co wygląda jak żal.pl – powiedział Kuba, potwierdzając jej najgorsze przeczucia. – Ale nie zdążyłem jej powiedzieć, że nie należy korzystać z tego wyjścia.

Róża zmartwiała. Co prawda to, co usłyszała kilka minut wcześniej od Julii, nie rzucało na jej koleżankę zbyt dobrego światła, ale pisarka była jak najdalsza od

tego, żeby życzyć Kulickiej zakończenia żywota w bagnie.

– Musimy natychmiast zawiadomić komisarza! – oznajmiła podniesionym głosem. – Zanim wydarzy się kolejne nieszczęście!

ROZDZIAŁ XVI

Polowanie na mordercę

– Mam ochotę wszystkich was wsadzić do aresztu. – Darski patrzył na siedzące przed nim osoby z wściekłością wymieszaną z rozgoryczeniem. – Nie dość, że postępujecie jak dzieci i to w dodatku specjalnej troski, to jeszcze teraz namawiacie mnie, żebym złamał wszystkie możliwe przepisy. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, najbardziej ucieszy się prokurator Marecki. I zapewni mi fuchę w postaci dożywotniego przekładania papierów z lewej kupki na prawą w jakimś zapyziałym komisariacie we wsi Pyskowice...

– Pyskowice to miasto – zaprotestował z urazą Paweł, który urodził się w pobliskim Zabrze i poczuł się teraz w obowiązku wystąpić w obronie rodzinnych rejonów. – W dodatku ładne. Ma pięć kościołów, zabytkową fontannę, skansen kolejowy i krzyż Golgoty.

Wytrącony z rytmu Darski popatrzył na niego z wyrzutem.

– Golgota to jest to, co ja tu z wami przeżywam – powiedział rozpaczliwie. – Czy naprawdę myślicie, że to ma szansę się udać?

– Owszem – odparła stanowczo Betty. – Sam wiesz, że nie jesteś w stanie nic udowodnić. Wszystko, co wiemy, opiera się tylko na poszlakach oraz naszych przypuszczeniach i przeczuciach. Zero jakichkolwiek dowodów.

– A może jednak coś znajdziemy? – Darski próbował myśleć racjonalnie, choć ostatnie minuty, w czasie których był przekrzykiwany przez cztery rozgorączkowane i bojowo nastawione osoby, skutecznie zmałyły trzeźwość jego myślenia. – Nasza ekipa ciągle pracuje nad pistoletem, różami, kieliszkiem...

– Wydaje mi się, że na tym właśnie polega cały geniusz tej osoby – ciągnęła wolno Betty – że nawet jeśli znajdziecie tam jej ślady, nadal nie będzie w tym nic

dziwnego. No, może poza pistoletem. Ale szczerze mówiąc, nie sędzę, aby była na tyle nieostrożna, żeby coś na nim zostawić...

– I naprawdę uważacie, że wasza prowokacja zmusi ją do popełnienia błędu?
– zapytał Darski. – Bo moim zdaniem raczej jedno z was dołączy do grona ofiar...

– Co w sumie też będzie jakimś dowodem – zauważył Paweł po krótkim namyśle. – Cel uświęca środki.

– Ale jeśli środkiem mają być kolejne zwłoki oraz smutny koniec mojej kariery zawodowej, to cel nie jest tego warty – powiedział Darski. – I żadne z was mnie nie przekona, że jest inaczej!

– A jeśli – Betty popatrzyła na niego z nagłym natchnieniem malującym się na twarzy – będziemy mogli ci dać gwarancję, że żadnemu z nas nic się nie stanie? Czy wtedy pójdziesz nam na rękę, zarządzisz to, o co cię prosimy, i dasz nam kilkadziesiąt minut, podczas których zapomnisz o wszystkim, co tu usłyszałeś?

– Musiałaby to być bardzo przekonująca gwarancja – odparł Darski. – Nie wiem, czy taka istnieje, wzięwszy pod uwagę, że wciąż jeszcze nie jestem przekonany, czy macie rację co do tożsamości mordercy. Chcę wam zwrócić uwagę, że trzy osoby nie są tu tymi, za kogo się podawały, trzy działają w zмовie, jedna jest psychicznie chora, a jedna maksymalnie zdesperowana. A wam się wydaje, że wiecie już wszystko!

Betty popatrzyła na niego z uśmiechem.

– Ze swojego punktu widzenia masz rację – powiedziała. – Ale załóżmy, że jednak się nie mylimy. Czy dasz nam wykonać nasz plan, jeśli w czasie, kiedy będziemy działać, jedna wskazana przez nas osoba będzie cały czas przebywała z mordercą? Chyba umiesz upilnować jedną osobę, tym bardziej że...

Przerwała, patrząc na niego z rozbawieniem.

– Tak? – ponaglił ją Darski.

– Że tą osobą będziesz ty!

– To straszne, jak ta policja nas traktuje, jakbyśmy były niewolnicami na plantacji – pomstowała Mariella Miszalek, ciągnąc za sobą po pałacowym korytarzu przeraźliwie skrzypiącą walizkę. – Wsiądź do autokaru, wysiądź z autokaru. Idź do sali, wyjdź z sali. Pod żadnym pozorem nie wchodź do swojego pokoju, koniecznie idź do swojego pokoju. Czuję, że dostaję od tego palpacji. Moje biedne serce jest tak skołatane jak dusza anioła, gdy patrzy na ludzką krzywdę. I nie wiem, gdzie mam swoje krople uspokajające. O ile w ogóle je wzięłam. To miał być weekend anielskiej sielanki, a nie dramatów...

– A ja tam się cieszę – powiedziała Miłka. – Zwłaszcza z tego, że możemy iść do pokoi...

– Jasne – mruknęła Olka. – Bo zakociumowałaś tam pod poduszką kule armatnie „Mieszko”...

– Całych dwanaście – rzekła z triumfem, pomstując od kilkunastu minut na to, że jest głodzona na śmierć, Miłka. – Mam tylko nadzieję, że policjanci ich nie zezarli. Bo chyba podałam ich do sądu...

– A gdzie to podzieli się nasi panowie? – zapytała Katarzyna, lekko posapując z wysiłku pod ciężarem swojej torby. – Chętnie skorzystałabym z ich pomocy...

– Chyba zostali wezwani do komisarza – wyjaśnił Paweł, wyciągając rękę w stronę pisarki. – Pani pozwoli.

Katarzyna spojrzała na niego z wdzięcznością i oddała mu swoją torbę. Róża popatrzyła pytająco na Betty, ale ta pokręciła głową. W milczeniu doszli do pokoju Katarzyny i Marielli.

– Panie Pawełku, skoro mi pan pomógł, to może skorzysta pan z naszego zaproszenia i napije się z nami herbaty – zaproponowała Katarzyna.

– Och, tak. – Mariella obrzuciła Pawła zalotnym spojrzeniem. – Przyda nam się męskie towarzystwo. Wiem, że dokoła dworku kręci się tabun policji, ale i tak ciągle czujemy się tu zagrożone. A pan jest takim przystojnym, atletycznym i silnym mężczyzną...

Róża z trudem powstrzymała się przed parsknięciem śmiechem. Ponieważ zawsze podejrzewała, że jej filigranowo zbudowany PR-owiec kupuje swoje ubrania na dziecięcych stoiskach Zary i H&M, określenie go mianem „atletycznego” zakrawało na niezły żart. Paweł zdołał wyłapać jej rozbawione spojrzenie i wzrokiem dał jej znać, że policzy się z nią później.

– Niech się pan nie daje długo namawiać. – Mariella podeszła i zalotnie wzięła Pepe pod rękę, pociągając go w stronę wejścia do pokoju. – Sprawi nam pan ogromną przyjemność...

Pepe miał rozpaczliwą minę. Róża złośliwie posłała mu całusa i pomachała na do widzenia.

– Myślę, że kilkanaście minut z napaloną Mariellą to odpowiednia kara za wieczne naigrawanie się z mojego Gonzalesa – powiedziała ze śmiechem do Betty. – Jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Mam nadzieję, że Kuba też już robi swoje. To co? Możemy zaczynać?

Betty pokiwała głową. Obie w milczeniu doszły do końca korytarza, starając się to robić na palcach. Skręciły i szły dalej, aż dotarły do miejsca, które było celem ich wędrówki. Tu popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

– Raz kozie śmierć – szepnęła Betty. – Ty pierwsza...

– Chyba zablądziłyśmy w tych korytarzach! – powiedziała głośno Róża. Jej głos w panującej dokoła ciszy zabrzmiał o wiele bardziej tubalnie, niż się spodziewały. – A szkoda, bo koniecznie muszę szybko coś powiedzieć komisarzowi. Nie uwierzyłaby pani, ale już dokładnie wiem, o co chodziło z tymi różami. I wiem, że była to tylko mistyfikacja. Kamuflaż.

– No co też pani mówi, pani Rózo. – Betty starała się, aby jej głos brzmiał jak najbardziej naturalnie i niczym nie zdradził, że wygłasza ona starannie przygotowaną wcześniej kwestię. – Ale skąd taka pewność?

Ledwo co słyszalny szelest za drzwiami, przy których stały, świadczył o tym, że się nie myliły.

– Bo wiem, kto znał zagadkę związaną z tym kwiatem. – Swobodny ton Rózy kontrastował z jej zaniepokojonym obliczem. – I wiem, że miał powód, aby zabijać. I wiem też, że jego pierwotny plan był inny. Ten młody chłopak, boy hotelowy, znalazł i przywłaszczył sobie pewną książkę, która miała naprowadzić policję na mylny trop. Kwiaty zostały wymyślone, kiedy morderca zorientował się, że książka zaginęła. Teraz ten chłopak poszedł jej poszukać. Policja bez problemu ustali DNA osoby, która przeglądała tę książkę. A w dodatku to powieść mojego autorstwa, co jest już wyjątkowym świństwem, bo jak sądzę, podejrzenia w razie czego miały też paść na mnie!

– A co, jeśli ten chłopiec nie znajdzie książki? – Betty zadała ostatnie ustalone wcześniej pytanie.

– Bez dowodu nikt mi nie uwierzy, więc w ogóle nie będę się wychylała z żadnymi zeznaniami – powiedziała Róza stanowczo, dając Betty znać wzrokiem, że powinny zacząć się oddalać od wejścia do pokoju – bo wszystkiego dowiedziałam się od osoby, która nigdy się do tego nie przyzna. A poza tym uciekła stąd i chyba nieprędko uda się ją złapać.

Zaczęły z wolna iść w stronę korytarza, którym uprzednio nadeszły. Za rogiem stanęły w milczeniu. Ciche skrzypnięcie drzwi i jeszcze cichszy odgłos kroków na korytarzu dały im znać, że ich plan prawdopodobnie się powiódł.

– Chyba dał się nabrać – szepnęła Róza z nadzieją w głosie. – Mam nadzieję, że nie zacznie tego wszystkiego rozkładać na czynniki pierwsze, bo przecież szybko rozgryzie, że to bluff.

– W chwilach paniki ludzie z reguły nie myślą, a mordercy to też ludzie – odpowiedziała cicho Betty.

– Oby tylko Kubie nic się nie stało – rzuciła zaniepokojona Róza. – Wyjątkowo go polubiłam.

– Jest przygotowany, to po pierwsze – pocieszyła ją Betty. – Po drugie, jeśli wszystko dobrze zsynchronizowałyśmy, to za chwilę będzie miał anioła stróża. A po trzecie, co nam przeszkadza iść za tym bandziorem?

– Myślisz...? – zapytała z nadzieją Róza.

– Oczywiście. Tylko musimy zachować daleko posuniętą ostrożność...

Wychyliły się z za rogu i zlustrowały korytarz. Był pusty. Przebiegły go po cichu, docierając do drzwi prowadzących do ogrodu, tych samych, pod którymi nie tak dawno Róza czaiła się, aby zobaczyć, kim były tajemnicze szepczące osoby. Choć zdarzyło się to zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej, wydawało jej się, że

od tego czasu minęła cała wieczność.

– Biegnie! – powiedziała Betty, wskazując palcem przed siebie. Róża wytrzeszczyła oczy, ale nic nie zobaczyła. Uwierzyła jednak swojej towarzyszce na słowo, postanawiając w duchu, że po powrocie do domu przebada się, czy aby nie ma kurzej ślepoty. Do tej pory co prawda widziała całkiem nieźle, ale może po tym, jak oberwała po głowie od Julii Kulickiej, coś jej się popsło, skoro teraz nie może nic dostrzec.

– Lećmy za nim! – rozkazała.

Ruszyły kurcgalopkiem. Były w połowie drogi, kiedy poczuły, a raczej usłyszały, że nie poruszają się po ogrodowych alejkach same. Ktoś biegł za nimi. Obie w jednej chwili przystanęły i spojrzały za siebie. I obie w tym momencie poczuły, jak ich usta zaciskają w żelaznym uścisku dłonie odziane w duże skórzane rękawice...

Kuba siedział w swoim pokoju w folwarku, czując, jak narasta w nim niepokój. Teoretycznie wszystko było ustalone i szczegółowo rozplanowane w czasie. A co, jeśli cokolwiek pójdzie nie tak...? Co będzie, jeśli policja się spóźni albo morderca będzie miał jeszcze jeden pistolet. Po co zresztą pistolet? Wystarczy nóż. Kuba odruchowo pomacał się po kieszeni i wyjął z niej już raz dzisiaj użyty scyzoryk. Żeby jakoś zabić nieznośnie przedłużające się oczekiwanie na mordercę, zaczął się bawić przeglądaniem ostrzy scyzoryka. Większość niestety najlepiej nadawała się do przecinania papieru albo dokręcania śrubek. Jako narzędzie obrony była raczej do kitu. No, chyba że korkociąg. Nim ewentualnie dałoby się zrobić komuś krzywdę. Wyłupić oko na przykład. Żałując, że zamiast scyzoryka nie ma przy sobie zbójnickiego noża, i mimowolnie wyobrażając sobie, że jest współczesnym Janosikiem, Kuba na moment zapomniał o tym, gdzie przebywa i co mu grozi. W chwili kiedy w jego wyobrażeniach pojawiła się Maryna, zdumiewająco podobna nie wiedzieć czemu do Sylwii Grzeszczak, nagle zgasło światło. Wizja piosenkarki ubranej w ludowe zapaski i szepczącej do niego czule: „Mój ci ty, zbójnicku przystojny”, szybko wyparowała z jego głowy, zastąpiona narastającym strachem. Co innego omawiać plany łapania mordercy w pokoju pełnym ludzi, a co innego spotkać się z nim oko w oko w pojedynkę! Kuba poczuł, jak jego palce zaciskają się na scyzoryku. Żeby się uspokoić, w myślach zaczął odliczać do stu. Doszedł do dwudziestu, kiedy poczuł, że nie jest w pokoju sam. Oczy przyzwyczyły mu się do ciemności na tyle, że zobaczył majaczącą w drzwiach sylwetkę. Choć wiedział, czyja to, nagle wydała mu się należeć do olbrzyma, w dodatku rosnącego z każdą chwilą. Postać zbliżała się do niego szybko. Kuba uniósł rękę ze scyzorykiem i w tym momencie poczuł ból. Pierwszy cios wytrącił mu z ręki jedyną broń, jaką miał, a drugi, w brzuch, sprawił, że zabrakło mu tchu. Pchnięty, przewrócił się plecami na ziemię. Po chwili poczuł

na swojej szyi żelazny uścisk.

– Gdzie ją masz, gnoju? – usłyszał gniewny głos. – Gdzie masz tę jebaną książkę?!

Kuba chciał coś powiedzieć, żeby zyskać na czasie, ale przeciwnik nie dał mu szansy. Jego ręce zaciskały się na gardle chłopaka coraz mocniej. Ten, przerażony, zaczął się dusić. Prawie tracił przytomność, kiedy nagle uścisk zelżał.

– Mów! – nakazał głos.

– Nie mam jej! – wycharczał Kuba. – Przysi...

– Nie kłam! – Kuba poczuł, że dłonie znów się zaciskają na jego gardle i ponownie zaczyna mu brakować oddechu. Chwilę, dwie, trzy, rozciągnięte w jego umyśle do godzin, dni, lat. Zaczął rozpaczliwie się szarpać, walcząc o choć jeden haust powietrza. Bezskutecznie. Czując, że słabnie i traci przytomność, zaczął się ostatkiem przytomności umysłu żegnać z tym światem. I wtedy znów zrobiło się jasno, a jego uszu dobiegł krzyk:

– Ręce do góry! Jest pan aresztowany!

Kuba złapał powietrze i poderwał się z podłogi. Przez chwilę walczył z sobą, aby nie rzucić się na trzymanego przez dwóch policjantów napastnika. Z trudem się opanował, czując, jak w miejsce wściekłości pojawia się w jego głowie uczucie triumfu. A więc jednak się nie pomylili!

Darski uważnie patrzył na siedzącego przed nim mężczyznę, trzymając pod stołem rękę na komórce, którą uprzednio wyciszył i nastawił tylko na wibracje. Mężczyzna kilka razy zerknął na swój telefon. Był zaniepokojony, lecz – co komisarz musiał mu sprawiedliwie oddać – znakomicie panował nad nerwami. Gdyby nie to, że Darski miał maksymalnie wyostrzone wszystkie zmysły, zapewne nigdy by nie zauważył, że jego rozmówca czuje się zagrożony. Na twarzy miał bowiem ten sam uprzejmy uśmiech co zawsze, głos nie zadrżał mu ani razu, a jego postawa ciała zdradzała niezachwianą pewność siebie. I tylko czasem trudno mu było zapanować nad oczami. To właśnie one zdradzały, choć tylko przez ułamki sekund, że mężczyzna nie jest wcale taki spokojny, na jakiego pozuje.

– Nie znał pan treści książki? – zapytał Darski. – Jest pan tego pewny?

– Absolutnie – powiedział jego rozmówca. – W ogóle mnie ona nie obchodziła.

– Dlaczego? – zdziwił się komisarz. – To chyba naturalne, że powinien pan się nią interesować...

– Mam inne hobby niż książki... – odpowiedział mężczyzna. – W ogóle nie lubię czytać. Nie dotyczy to tylko tej powieści.

W tym momencie Darski poczuł, jak jego telefon wreszcie zaczyna wibrować. Rzucił okiem na ekran, gdzie pojawiła się krótka wiadomość od jednego z jego podwładnych. Nie minęła sekunda, kiedy tuż pod nią wyświetliła się kolejna,

tym razem od ukochanej. Komisarz zachował kamienny wyraz twarzy. Wiedział, że nie musi już nic robić, ale chciał mieć satysfakcję.

– Zadam panu trzy pytania – powiedział Darski. – Prosiłbym, żeby pan się dokładnie zastanowił nad odpowiedzią.

– Ależ proszę... – Mężczyzna patrzył na niego z uśmiechem, który Darski przestał już uważać za uprzejmy. Bliższe prawdy było raczej określenie „cyniczny”.

– Skąd wiedział pan, jak ma na imię obsługujący tutaj gości kelner? – zapytał komisarz. – Pierwszego dnia, zanim jeszcze go pan zobaczył, przywołał pan go do siebie, używając przy tym imienia...

– Naprawdę? – zdziwił się mężczyzna. – Może ktoś mi go przedstawił wcześniej...

– Pytanie drugie. – Głos Darskiego brzmiał teraz ostro. – Skoro twierdzi pan, że nie czytał książki swojej żony, to jak wyjaśni pan to, że jej córka podpatrzyła pana w czasie lektury. Ponoć, zacytuje, bardzo wnikliwej lektury.

Tym razem mężczyzna nie odpowiedział.

– I wreszcie, jak wytłumaczy pan fakt, że ślad pańskiego palca znajduje się na egzemplarzu książki pani Róży Krull, który trafił tutaj, do Kopalnik, na długo przed pana przyjazdem. I znajdował się w rzeczach pana Marcina Kraśnika.

– Sugeruje pan... – powiedział wolno Dawid Dumowski, patrząc na niego z wyzwaniem w oczach – że zabiłem swoją żonę? Dlaczego miałbym to zrobić?

– Nie – powiedział Krzysztof, wstając ze swojego miejsca. – Nie sugeruję. Po prostu wiem, że pan to zrobił i wiem dlaczego. Mało tego! Od kilku minut potrafię też udowodnić, że jest pan mordercą.

ROZDZIAŁ XVII

Darski wyjaśnia

Ranek powitał wszystkich mieszkańców Kopielnik pięknym słońcem. W jego promieniach dworek i okolice prezentowały się jak gotowy plan filmowy do nakręcenia jakiegoś sielskiego osiemnastowiecznego romansu. Niestety, żadna z siedmiu ciągle obecnych w pałacyku osób nie miała czasu się tym zachwycić, bo wszystkie były zajęte na zmianę słuchaniem wyjaśnień składanych nieco chaotycznie przez Darskiego oraz wylewaniem z siebie rozmaitych żalów.

– Zamknęłaś mnie podstępem w pokoju ze starą erotomanką – złorzeczył Paweł, patrząc na Różę z wściekłością. – Przy niej nawet Hutniak wydała mi się aniołem. Przynajmniej ładnie śpiewa. I nie czyta mi swoich książek. Z dwojga złego chyba wolałbym już być duszony przez mordercę niż napastowany przez tę psychopatkę...

– Nie wolałby pan – zaprotestował Kuba, odruchowo dotykając swojej szyi.
– Cały czas boli mnie koło grdyki, gdy przełykam ślinę...

– No ja nie wiem... – powiedział Darski, wspominając swoje przeżycia z niewyżytą seksualnie autorką. – Ja z dwojga złego też wolałbym starcie z mordercą. Przynajmniej można mu przywalić.

– Marielli też można – oznajmiła Miłka, odrywając się na chwilę od stojących przed nią na stoliku potraw, które przyniosła z kuchni, i nerwowo przeżuując to, co miała w ustach. – Ona to chyba lubi. Dwie bohaterki jej książek były traktowane przez swoich mężczyzn jak worki bokserskie i bardzo im się to podobało. Rzewnie roniły łzy, jak tych facetów trafiał szlag.

– Co ty znowu żresz? – zaciekała się Olka. – I skąd to wytrzasnęłaś, skoro

kucharz jeszcze nie wrócił z Krakowa, jeden kelner nie żyje, drugi siedzi w mamrze i w kuchni nie ma żywego ducha?

Miłka wzruszyła ramionami.

– Co jak co, ale jedzenie to ja akurat umiem znaleźć wszędzie i o każdej porze dnia i nocy – oznajmiła z dumą w głosie. – Co prawda to jest jakieś srą-bą-tą, a nie prawdziwe śniadanie, ale lepszy rydz niż nic.

– Nie srą-bą-tą, tylko z tego, co widzę, zwykły łosoś – oznajmiła Olka, podchodząc do jej stolika. – I pasztet. Daj spróbować!

– A zapraszam – powiedziała Miłka. – Ale uprzedzam cię, że to tylko tak wygląda. Łosoś to moim zdaniem jest jakieś pofarbowane tofu, a pasztet to czekolada.

– Nie wiem, jak możesz to jeść... – Olka się wzdrygnęła, rezygnując z nałożenia sobie na talerz czegokolwiek z molekularnych frykasów.

– Szybko, bo jestem głodna jak wilk – wyjaśniła Miłka. – Z emocji zawsze mam podwójny apetyt...

– A bez emocji poczwórny – mruknęła Olka, wracając na swoje miejsce.

– Czy wy się w końcu uspokoicie?! – zgromiła je Róża. – Niby luminarze kultury, a trajkocze jak przekupy na bazarze i nie dacie dojść komisarzowi do głosu. Pepe, ty też zamknij się wreszcie z tą Mariellą. Przecież ci nic nie zrobiła! To, że zobaczyłeś ją w peniuarze, nie wyrządziło ci żadnej szkody...

– Poza psychiczną – mruknął Pepe. – Nieodwracalną!

– ...a to, że jedzenie tutaj to syf, wiemy od pierwszego dnia – dokończyła gniewnie Róża. – Obiecuję wam, że jeśli się zamkniecie, zamówię nam wszystkim po pizzę na obiad.

– Na moje milczenie możesz w takim razie liczyć! – obiecała entuzjastycznie Miłka.

– Czy ja się wreszcie, do ciężkiej cholery, dowiem, jak to było? – Róża popatrzyła na Darskiego. – Rozumiem, że miałam rację z tymi różami. On wiedział, że to Julia zostawia je na grobie Kowalskiego, prawda...?

– No dobrze. – Darski wykorzystał moment ciszy, aby wreszcie wszystko wytłumaczyć. – Zaczęło się od tego, że jakieś pięć lat temu Julia Kulicka, Kika Luna i Grażyna Winnik zaczęły pisać w Internecie złe opinie i plotki na temat swoich koleżanek po piórze. Świetnie się tym bawiły, pewnie też miały satysfakcję, widząc, jaki odzew przynosi ich działalność. Pilnowały się, żeby pozostać anonimowe, ale pewnego dnia tożsamość jednej z nich, Julii, jakimś sobie tylko znanym sposobem odkrył Bogdan Kowalski. Dał jej na swoim blogu ultimatum, żeby albo się z nim skontaktowała i wyjaśniła mu powody swojej działalności, albo się publicznie ujawniła. Zagroził, że jeśli tego nie zrobi, skompromituje ją w środowisku. Julia, która i tak miała problemy ze swoim wydawcą, wiedziała, że nie może czegoś takiego zaryzykować. Korzystając z tego, że akurat miała

w Krakowie wspólne spotkanie autorskie razem z Grażyną i Kiką, zadzwoniła do Kowalskiego z nierejestrowanego telefonu i umówiła się z nim na spotkanie.

– Na którym go zabiła... – dokończyła Olka.

– No właśnie twierdzi, że nie... – oznajmił Darski. – Według tego, co powiedziała Róży, kiedy ją porwała, Kowalski okazał się wyrozumiały. Julia nazmyślała mu, że przeżyła zawód miłosny i załamanie nerwowe, a jej działalność internetowa to wynik braku równowagi psychicznej. Kowalski jej uwierzył i obiecał dyskrecję. Powiedział, żeby wykasowała wpisy i nie bawiła się tak już nigdy więcej. Zaczęli się żegnać, Julia chciała go z radości uściskać, Kowalski był na to nieprzygotowany i stracił równowagę, upadając wprost pod rozpędzony samochód. Jego kierowca nawet się nie zatrzymał, tylko dodał gazu i czym prędzej zniknął. Nie rozstrzygniemy teraz, czy ta wersja jest prawdziwa, czy też Julia pchnęła Kowalskiego pod samochód naumyślnie. To była boczna uliczka, zero świadków. Tak czy siak wezwała na miejsce Grażynę i Kikę. Już we trzy postanowiły, że najlepiej będzie pozbyć się zwłok i trzymać buzię na kłódkę. Tak też zrobiły. Śledztwo w sprawie zaginięcia Kowalskiego po kilku tygodniach zostało umorzone, ich sekret pozostał nieodkryty. Jednak po pewnym czasie Julię ruszyło sumienie i zaczęła przynosić na grób Bogdana czarne róże...

Darski wziął oddech i rozejrzał się po stolikach. Betty domyśliła się, czego szuka, i podsunęła mu butelkę z wodą mineralną.

– Teraz przeskoczmy trochę w czasie – kontynuował komisarz, ugasiwszy pragnienie. – Dwa lata temu były siatkarz, pracujący w swojej dawnej drużynie jako trener, został nagle zwolniony z roboty. Oficjalnie podziękowano mu, bo klub zdecydował się zatrudnić kogoś z zagranicy. Ale to był tylko pretekst. Prawdziwym powodem było przyłapanie Dumowskiego na uprawianiu seksu w szatni z jednym z jego podopiecznych.

– U la la... – wyrwało się Olce. Róża zgromiła ją wzrokiem, bojąc się, że znowu rozpocznie się kolejna bezsensowna dyskusja.

– Skandal zatuszowano, ale Dumowski został na lodzie – mówi Darski. – Zaczął pracować w klubie jako trener fitnessu. Był przystojny, więc miał sporo klientek. Co bardziej nachalne zaczęły mu proponować randki, dawały zaproszenia na imprezy. Przy takiej okazji poznał kiedyś Mariellę. Ta zagięła na niego parol, ale Dawid pozostał nieczuły na jej zaloty...

– Jakoś mu się nie dziwię – mruknął pod nosem Paweł.

– To o nim bredziła w czasie naszej rozmowy! – odkryła Betty. – To on był tym atrakcyjnym okrętem, który osiadł na dnie zagubienia...

– Pięknym statkiem – sprostował Pepe. – I nie na dnie, tylko na mieliźnie...

Darski przerwał, patrząc na nich, jakby zniecierpliwiony oboje zaczęli tańczyć kankana.

– Powinienem się czegoś dowiedzieć? – zapytał.

– Nie, nie. – Betty machnęła lekceważąco ręką. – Potem ci opowiem. Nic istotnego.

– Zaloty pani Miszalek – podjął opowieść komisarz – być może dlatego nie trafiły na podatny grunt, że mimo pozorów ona wcale nie jest bogata. A Dawid nie szukał miłości, tylko sponsorki. I takim sposobem trafił na Kikę.

– I tego właśnie nie rozumiem – powiedziała z niezadowoleniem Olka. – Przecież nic na jej śmierci nie zyskiwał.

– Niekoniecznie. – Darski się uśmiechnął. – Kluczem do wszystkiego była osobowość Luny. Od początku wszyscy zgodnie mówiliście, że ta kobieta słowa prawdy w życiu nie powiedziała. A potem nagle magicznie zaczęliście wierzyć we wszystko, co od niej usłyszeliście.

– Czyli nie było żadnej intercyzy! – powiedziała podekscytowana Miłka. – Wiedziałam!

– Akurat... – mruknęła Róża.

– No dobrze, podejrzałam.

– Nie, nie było – potwierdził komisarz. – Kika w ogóle nie miała uregulowanych spraw finansowych. W myśl prawa spadkiem po niej Dawid i Lena podzieliliby się po połowie. Ponieważ jednak Kika konsekwentnie głosiła, że ma podpisaną z mężem intercyzę i tę wersję знаła nawet jej córka, stanowiło to idealne alibi dla Dumowskiego. Kiedy pierwszy raz był przesłuchiwany w sprawie morderstwa żony, powiedział, że według tego, co mu zawsze powtarzała Kika, nie dziedziczy po niej nawet grosza i że przed ślubem podpisywał u notariusza jakąś stertę papierów, bo mu Kika tak kazała, ale nie wczytywał się w ogóle w treść tych dokumentów, bo mu na tym nie zależało. Wiedział jednak, że jest inaczej i że wśród tych dokumentów nie było intercyzy. Żył więc przez cały czas w niepokoju, że w każdej chwili sytuacja może się zmienić. Nie wiem, kiedy wpadł na pomysł morderstwa, ale myślę, że w chwili, kiedy wyszedł albo Kika powiedziała mu, że wie, jak zakończyć związek swojej córki z Krawczykiem. To musiała być dla niego hiobowa wieść. Jego żona chciała przekazać część swoich interesów córce, a być może też, tego nie wiemy i pewnie nigdy się nie dowiemy, zapisać jej cały swój majątek. Musiał działać i dlatego wpadł na pomysł spotkania w Kopielnikach.

– To był jego pomysł?! – zdziwiła się Olka. – A nie Kiki? Powiedziała przecież...

– Powiedziała kolejne kłamstwo – podchwycił Darski. – To Dumowski podrzucił jej pomysł. Ale to nie wszystkie kłamstwa pani Luny. Kolejne jest w książce. Wskazała tam jako morderczynię samą siebie, opisaną oczywiście jako atrakcyjną, tajemniczą kobietę, której obfite, idealne kształty doprowadzały mężczyzn do szaleństwa z pożądania. Zacytowałem chyba dokładnie. Przy okazji, czy cała literatura kobieca zatrzymała się w osiemnastym wieku?!

– To nie była literatura kobieca, tylko kryminał – przypomniała z urazą

Milka.

– Ale pisany językiem Mniszkówny – powiedział Darski, mimochodem zdradzając znajomość dzieł ulubionej autorki swojej babci i prababci, co Betty zauważyła i postanowiła zanotować w pamięci, żeby wykorzystać w odpowiedniej chwili. – Opisanie w książce śmierci Kowalskiego nie jako wypadku, ale dokonanego z premedytacją morderstwa, sprawiło z kolei, że ktoś inny wpadł na pomysł szantażu i z takowym tu przyjechał.

– Skrzypińska? – upewniła się Róża. – To o tym rozmawiali wtedy, kiedy ich podsłuchałam?

– Owszem – potwierdził Darski. – Skrzypińska dostała od wydawcy roboczą wersję książki i natychmiast skojarzyła, co opisuje Kika. Jak zeznała, chciała iść na policję, ale po namyśle postanowiła się zemścić. W końcu Kowalski był jej chrześniakiem. Świetnie zdawała sobie sprawę, że jedyne, na czym zależy Kice poza sławą, to pieniądze, i dlatego postanowiła ją zaszantażować. Ją i pozostałe dwie panie. Nie dla własnego zysku, ale po to, żeby cierpiały. Nie sądzę, aby to była prawda. Skrzypińska, z tego, co zbadaliśmy, nie była specjalnie zżyta ze swoim chrześniakiem i jego rodziną. Poza tym i tak wiadomo, że w czasie zeznań kłamała. Upierała się, że działała sama, ale pani Róża podsłuchiwała, jak omawiała swoje plany z menedżerami posiadłości. Nie wiem, czym ich przekonała, bo na razie oboje zgodnie odmówili zeznań, ale włączyli się w jej akcję. Nic jednak nie poszło zgodnie z ich planem. A potencjalne ofiary szantażu zaczęły jedna po drugiej ginąć. Zdaje się, że całą trójkę mocno to wystraszyło. Wiedzieli, że w razie czego podejrzenia padną przede wszystkim na nich, a zwłaszcza na Skrzypińską, która miała motyw. I teraz wreszcie przechodzimy do clou, czyli do morderstw. Wydaje mi się, że Dumowski wpadł na pomysł pozbycia się małżonki w chwili, kiedy przeczytał jej książkę i dowiedział się od niej, że Julia zostawia na grobie Kowalskiego czarne róże. Wraz ze swoim kochankiem, którego poznał jeszcze jako trener siatkówki, uknuł intrygę, w której główną rolę miała grać książka pani Róży. Panowie liczyli na to, że ona szybko się połapie, że morderstwa odbywają się według schematu, który wymyśliła w swojej książce, a nawet jeśli nie, to podrzucą nam powieść w odpowiednim momencie. Imię Róża miało nas naprowadzić na trop dramatu sprzed lat. Kraśnik jednak zgubił książkę lub też pan Kuba mu ją podprowadził...

– Nie ma świadków, nie ma przestępstwa. – Kuba zrobił niewinną minę. – Oficjalna wersja jest taka, że ją znalazłem...

– Niech panu będzie – zgodził się komisarz. – Ponieważ jednak nastąpiło to tuż przed przyjazdem i nie było już czasu szukać innego egzemplarza, zdecydowali się zastąpić książkę czarnymi różami. Dawid namówił więc żonę na zorganizowanie spotkania w Kopielnikach, a jego kochanek ściągnął tu syna Kowalskiego, na którego początkowo chcieli zrzucić podejrzenia. I już pierwszego

dnia zaczęli realizować swój plan. Najpierw Kraśnik otrul Grażynę...

– Mówiłam, że nikt inny poza kelnerem nie miałby okazji tego zrobić! – prychnęła Miłka. – Jestem wielce mądra.

– I wielce uświniona czekoladowym pasztetem – zauważyła Olka, podając jej serwetkę.

– Pani Lena ułatwiła mu, niestety, sprawę – wyjaśniał dalej Darski – bo zauważyła, że jej narzeczony, kleptomaniak, chce ukraść zabytkową popielniczkę. Poprosiła więc Kraśnika, żeby mu dyskretnie w tym przeszkodził. Ten spełnił jej prośbę, a przy okazji podrzucił na stół kieliszek z cyjankiem potasu. W kuchni powiedział Majowi o popielniczce i mimochodem nadmienił, że aby ją zdobyć, wymienił już część zastawy. Maj sprzątnął więc tylko talerzyki i sztućce, ale sprawiało to takie wrażenie, jakby zajął się całą zastawą. Doświadczenie uczy, że ludzie przy stole nie zwracają uwagi na to, co robią kelnerzy, póki ci czegoś na nich nie wyleją. Dalej wszystko poszło zgodnie z planem. Grażyna padła trupem, Dawid w odpowiednim momencie podrzucił na stół czarną różę, a kelnerzy znaleźli się na początku listy podejrzanych. Ba! Było nawet lepiej, niż panowie przewidywali. Kika powiedziała mężowi, że Julia przyjechała do Kapielnik jako Kornelia, a Kornelia jako Julia. Swoją drogą, to ciekawe, że nikt poza nią się nie zorientował...

– Bo nikt się z Julią nie znał tak dobrze jak ona – powiedziała usprawiedliwiająco Olka. – Poza Grażyną, która pewnie też by się prędzej czy później zorientowała.

– Panowie poczuli, że oto wpada im w ręce plan awaryjny, na wypadek gdyby jednak nie udało się zrzucić winy na Maja – podjął Darski. – Dawid wyciągnął Kikę na spacer po posiadłości, a następnie ją udusił, zostawiając przy zwłokach kolejną różę, a przy okazji znów skierował podejrzenia na Maja. Zeznał, że przyniósł on wcześniej do ich pokoju menu, które potem tajemniczo zniknęło. W rzeczywistości Dawid je po prostu spalił. A potem popełnił kardynalny błąd. Żeby dać alibi swojemu kochankowi, powinien zgodnie z planem zastrzelić Julię Kulicką. Nie miał jednak doświadczenia z bronią i chybił. Zamiast niej zabił człowieka, którego mieli zrobić w morderstwo! Od tej pory wszystko zaczęło się walić. Spanikowany Dawid podrzucił pistolet i różę do pokoju Kornelii i Julii. Chciał zasugerować, że to Julia najpierw zabiła Grażynę i Kikę, a potem chciała pozbyć się przyjaciółki, która w takim układzie byłaby jedynym świadkiem jej morderczych knowań. Ewentualnie zastrzeliła Maja, bo mógł być jej współnikiem. Pamiętajmy, że w książce Kika napisała, że na pomysł wpisów w Internecie wpadła Grażyna, a Kowalskiego zamordowała ona sama, i to z premedytacją. Julia mogłaby więc namówić syna ofiary, żeby razem z nią zemścił się na osobach odpowiedzialnych za jego śmierć i pięć lat jej wyrzutów sumienia. Zresztą chyba było mu obojętne, co pomyśli policja, byleby tylko oddalić podejrzenia od siebie.

Julia poszła mu na rękę i uciekła. Dlaczego?

– Zwierzyła mi się z obaw, że będzie następna – wyjaśniła Róża. – Podejrzewała, że za morderstwami stoi ktoś, kto przeczytał książkę Kiki, uwierzył, że wypadek Kowalskiego był w rzeczywistości zabójstwem, i postanowił się zemścić. Powiedziała, że odkąd tylko ta książka wpadła w jej ręce, przeczuwała, że wynikną z niej same nieszczęścia i że starych grzechów nigdy nie należy wyciągać na światło dzienne. I że dlatego poprosiła swoją partnerkę o to, żeby zamieniły się tożsamościami. Wychodzi na to, że miała rację. Świeć Panie nad jej duszą...

– W sumie to nie wiadomo, czy nie żyje – powiedziała Miłka. – Może udało jej się jakoś pokonać te bagna?

– Nie sądzę. – Kuba pokręcił głową. – Wiele razy próbowaliśmy to zrobić i za każdym kończyło się to tak samo. Tyle że my robiliśmy to w kilku i obwiązani linami, żeby w razie czego łatwiej się wyciągnąć...

– Poszukiwania ciągle trwają. – Darski rozłożył bezradnie ręce. – Na razie bez rezultatu. A co do historii, to resztę jej znacie, bo sami braliście w niej udział. Za co i tak na pewno oberwę od prokuratora.

– Dlatego zaraz zrobimy burzę mózgów, jak to sprzedać, żeby ukryć twój udział – oświadczyła stanowczo Betty. – Jak widać, grupowe akcje wychodzą nam całkiem nieźle!

– No dobrze, koniec tajemnic, wszystko jest wyjaśnione – powiedziała Miłka. – A ja od tych sensacji solidnie zgłodniałam. Ktoś coś mówił o pizzy?! Zamawiamy tutaj czy jedziemy do Krakowa?

ROZDZIAŁ XVIII

Nieoczekiwana zamiana ról

– Jak to od przyszłego miesiąca będziesz pracował u Magdy Gessler?! – Róża poczuła, że znakomita pizza z jej ulubioną szynką parmeńską i parmezanem właśnie przestała jej smakować. – A ja?!

– Znajdziesz kogoś lepszego ode mnie – powiedział Paweł, rozważając w duchu, czy zdradzić pisarce resztę swojego chytrego planu od razu, czy jeszcze chwilę się z nią poprzekomarzać. – Tyle razy mówiłaś, że z moim talentem powinienem zatrudnić się przy produkcji margaryny „Kasia”. No to teraz będę bliżej twoich oczekiwań...

– Kiedy ja się wygłupiałam – wyjaśniła z rozpaczą Róża. – Dobrze wiesz, że bez ciebie nie dam sobie rady. Niby teraz sama mam się wyklócać z tymi wszystkimi blogerkami?! Zwłaszcza z tą zarazą, co to mi zarzuciła, że moje powieści są „pisane dla ludzi”, a ona jest zmęczona czytaniem banalnych kryminałów i tanich romansideł. A potem sama napisała i wydała coś, przy czym nawet powieści Marielli Miszalek są dziełami godnymi literackiego Nobla... Albo z tą drugą, która uprzejmie stwierdziła, że moja powieść prezentuje się jak „bryk dla gimbazy”? Ratunku, nie możesz mnie zostawić samej z takimi cholerami.

– Owszem, mogę. – Pepe się uśmiechnął. – I to z czystym sumieniem. Mam bowiem na oku kogoś, kto mnie godnie zastąpi. A nawet wiem, że będzie ode mnie o wiele, wiele lepszy.

– Niby kto to taki?! – zapytała buntowniczo Róża, chcąc ostro zaprotestować niezależnie od tego, jakie usłyszy zaraz nazwisko.

Paweł jednak nic nie powiedział, tylko wyciągnął rękę, wskazując na osobę

siedzącą z nimi przy stole. Betty czym prędzej połknęła przeżuwany właśnie kawałek pizzy i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Że niby ja...? – zapytała zdumiona.

– Owszem – potwierdził Paweł. – Pamiętam z czasów pracy w „Koktajlu”, że cieszyłaś się opinią killera w tej branży. Nikt nie odważył się napisać niczego zmyślnego albo wrednego o twojej pracodawczyni, bo wiedział, że spotka go za to kara, przy której nawet tortury w chińskim więzieniu byłyby jak pieszczoty.

– Bez przesady – mruknęła Betty. – Nie protestowałam, jak ktoś pisał złą recenzję, ale dobrze i merytorycznie ją uzasadniał.

– Tylko potem wysyłałaś mu łeb konia – przypomniał Paweł.

– Po pierwsze, drewnianego, a po drugie zrobiłam tak tylko raz i uważam, że akurat tej osobie się to należało – wyjaśniła Betty. – Co innego rzeczowa krytyka, a co innego napisanie, że jedyne, na co nadaje się książka Joanny, to zrobienie z niej podpałki do kominka.

– A więc...? – Pytanie Pawła na moment zawisło w powietrzu. Róża popatrzyła uważnie najpierw na Betty, a potem na swojego przyjaciela. Cóż, w końcu zasada, którą od lat kierowała się w życiu, brzmiała „nic na siłę”. Skoro Paweł znudził się pracą dla niej i koniecznie chce iść w służbę do jakiejś furiatki, to proszę bardzo. Ona nie będzie mu stała na drodze. Jeszcze sam do niej wróci, żebrząc, żeby znów go przyjęła, kiedy tylko furiatka rozbije mu kilka garów w kuchni. A że rozbije to bardziej niż pewne, skoro co tydzień robi to w telewizji.

– Jeśli tylko nie masz innych planów, to możemy spróbować – powiedziała do Betty. – Będzie mi bardzo miło.

– Jestem trochę oszołomiona. Po tym, jak Joanna... To znaczy, ostatnimi czasy sporo myślałam nad tym, co chcę robić w życiu. Nie planowałam powrotu do branży, ale... Widzę, że chyba jest mi to przeznaczone. Więc tak, jasne, że możemy spróbować podziałać...

– No i widzicie! – rzucił triumfalnie Pepe. – Popracujecie sobie razem, a ja w wolnych chwilach bardzo chętnie was wspomogę. Obiecuję, że nie zostawię was na razie tak kompletnie samych. Więc już, głowa do góry! Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Nie mów do mnie teraz! – zgromiła go Róża. – I bądź pewny, że dla ciebie to się dobrze nie skończy, zdrajco! Mariella prosiła mnie o numer twojego telefonu, kiedy się żegnałyśmy. Oczywiście odmówiłam. Ale wydaje mi się, że po tym, co dzisiaj odstawiłeś, chyba jednak jej go wyślę. Nawet jestem tego pewna!

ROZDZIAŁ XIX

Pożegnanie

Betty otuliła się mocniej połamami płaszcza i poprawiła kaptur na głowie. Tego dnia wiał porywisty, zimny wiatr. Każdy jego podmuch przenikał ją do szpiku kości, przy okazji starając się jej wydrzeć trzymane w jednej ręce kwiaty i atakując z furią niesioną w drugiej ręce reklamówkę ze zniczami. Alejka, do której zmierzała agentka, znajdowała się na samym końcu warszawskiego Cmentarza Północnego, w części, gdzie jeszcze powierzchnia ziemi porośniętej trawą była o wiele większa niż tej, którą pokrywały już płyty nagrobkowe. Pod nogami idącej wolnym krokiem Betty leżały setki jesiennych liści, których ilość za sprawą wiatru powiększała się z minuty na minutę. Agentce wyraźnie się nie spieszyło. Ktoś, kto by ją teraz obserwował, mógłby nawet odnieść wrażenie, że nie zmierza do żadnego konkretnego celu, tylko ot, po prostu sobie spaceruje. Nie była to jednak prawda. Betty wiedziała, dokąd idzie, choć była tam tylko raz. Kiedy wreszcie dotarła do celu, przez długi czas stała w bezruchu, z oczami utkwionymi w czarnej płycie ozdobionej pozłacanymi literami i małym zdjęciem w owalnej ramce. Nie uroniła żadnej łzy, nie zmówiła modlitwy. Po prostu trwała w milczeniu, aż nagle zauważyła, że wiatr przestał wiać, a gęste chmury burzowe się rozproszyły, ustępując miejsca słonecznym promieniom.

– Że niby mam się też rozpogodzić, tak? – powiedziała głośno Betty, ciesząc się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby wziąć ją za wariatkę. Choć z drugiej strony akurat w tym miejscu ludzie często wygłaszają jakieś słowa, nie licząc się z tym, co pomyślą inni, i wiedząc, że większość zrozumie, czemu to robią. – Zapomnij! Nigdy ci nie daruję, że wycięłaś mi taki numer. Ale skoro już, cholero,

przyszłaś do mnie we śnie i mnie postraszyłaś, to masz. Ja ci tam kwiatów i świeczek nie żałuję.

Położyła na grobie piękne żółte chryzantemy i zapaliła trzy znicze.

– A swoją drogą to żałuj, że nie widziałaś tego, co ostatnio przeżyłam – powiedziała. – Kolejne śledztwo, prawie tak ekscytujące jak te, które przeprowadzałyśmy razem. Mówię ci, na pewno by ci się spodobało!

Postała jeszcze chwilę nad grobem, lustrując go z uwagą, a następnie sięgnęła do torebki po chusteczki. Przeszła parę kroków do pompy, zmoczyła kilka z nich, po czym wróciła i przetrła ozdobny napis wygrawerowany na płycie. W miarę jak jej ręka się przesuwiała, promienie słońca zza jej pleców oświetlały kolejne jego litery, a gdy skończyła, całość zaśniła złotym blaskiem. „Joanna Szmidt, pisarka, ur. 10.03.1976 r., zmarła 23.08.2016 r.”.

EPILOG

Róża opróżniła swoją skrzynkę pocztową, liczbę znajdujących się w niej papierów oceniając pi razy oko na jakiś milion. Trochę pozzymała się w duchu na firmy wysyłające jej co tydzień z uporem maniaka te same ulotki, które od razu wyrzuciła do kosza na śmieci. Przez chwilę zatrzymała się nad katalogami sklepowymi, ale i te ostatecznie znalazły miejsce obok ulotek. Resztę zabrała do domu. Zrobiła sobie herbatę i usiadła na kanapie, zgarniając na kolana przyniesione papierzyska. Otworzyła kilka kopert, których nadawcami byli wydawcy jej książek, bank, ZUS i towarzystwo ubezpieczeniowe, gdzie miała wykupione polisy. Przez chwilę próbowała zrozumieć treść zawartych tam komunikatów, po czym doszła do wniosku, że niestety nie zdoła. Dlaczego te wszystkie pisma są pisane tak, jakby była wojna światowa i w związku z tym każda korespondencja jest szyfrowana, żeby w razie czego wróg nie zdołał jej odczytać? – pomyślała i westchnęła, postanawiając jutro oddać te wszystkie wojenne komunikaty swojej księgowej i Betty. Niech one się nad tym biedzą. Zastanowiła ją za to ostatnia przesyłka. Była cięższa i grubsza od pozostałych. Róża rozerwała szarą kopertę formatu A4, na której znajdowało się tylko jej nazwisko, adres i kilka znaczków pocztowych, a za to brakowało danych nadawcy. Ze środka wyciągnęła solidny plik zadrukowanych kartek z dziwnymi znaczkami dopisanymi ręcznie długopisem. Zaczęła czytać pierwszą z nich i już po pierwszym zdaniu zorientowała się, że oto ma przed sobą wydruk własnej powieści! Zdumiona zaczęła przeglądać kartkę za kartką. Wszystkie zawierały fragmenty jednego z jej bestsellerów – *Krwawego poranka*. Szybko też rozszyfrowała znaczenie dopisanych do całości bazgrołów. To były znaki korektorskie! Tyle że większość nie miała najmniejszego sensu i na przykład

łączyła ze sobą akapity, które powinny zostać rozdzielone, albo przenosiła bez sensu wyrazy tam, gdzie kompletnie one nie pasowały. Ponieważ od kilku lat Róża nie otrzymywała już poprawek do swoich tekstów inaczej niż komputerowo i w związku z tym nie pamiętała wielu znaków, musiała sięgnąć po pomoc w postaci małej książeczki zawierającej, jak to się śmiała jedna ze współpracujących z nią specjalistek, „małą biblię każdego korektora”. Zerkając co parę sekund w to dzieło i namiętnie ssąc co jakiś czas skuwkę trzymanego w ręku ołówka, Róża zaczęła odtwarzać tekst z dokonanymi przez kogoś zmianami. Po kwadransie przebrnęła przez pierwszą stronę. Dokładnie popatrzyła na uzyskany tym sposobem tekst i poczuła się zaskoczona. Nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, sięgnęła po telefon i odruchowo wystukała numer, z którego zawsze korzystała przy takich okazjach.

– Pepe? – upewniła się. – Tu Róża, poczekaj, zadzwonię jeszcze do Betty i zrobimy sobie telekonferencję. Bo coś mi się wydaje, że będziemy musieli rozwiązać kolejną zagadkę...

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze nazbierało się wiele osób, którym chciałbym powiedzieć kilka ciepłych słów. Dziękuję więc:

– Pawłowi Płaczkowi – za to, że jest moim dobrym duchem, i za znakomitą intuicję, z której podpowiedzi powinienem częściej korzystać,

– Adrianowi Tomczykowi – za anielską cierpliwość, zimną krew, która przy mnie przydaje się jak rzadko przy kim, i za anglicyzmy Kiki Luny,

– Oldze, Marysi i Mateuszowi, czyli moim Wydawcom, którzy prawie dzień w dzień muszą znosić moje jęki i stęki, a mimo to ciągle sprawiają wrażenie, że mnie (trochę) lubią,

– Ani Misztak – za ustawienie mnie „do frontu” kilka razy w czasie pisania niniejszej książki,

– Wioli (Subiektywnie o Książkach), Pauli (Rude Recenzuje) i Ani (Kto czyta – nie pyta) za to, że w ciemno dały mi carte blanche na wykorzystanie ich w tej powieści,

– dwójce geniuszy kryminału: Oldze Rudnickiej i Remigiuszowi Mrozowi – za zdrowy dystans do rzeczywistości, którego uczę się od nich każdego dnia; znajomość z Wami to dla mnie ogromny zaszczyt,

– Piotrowi Sternalowi – za przyjaźń i za to, że czasem jest jeszcze bardziej porąbany niż ja,

– pięciu wspaniałym pisarkom: Ani Kasiuk, Ani Sakowicz, Iwonie Banach, Zuzannie Arczyńskiej i Dorocie Schrammek – za wszystkie ciepłe słowa i zaufanie,

– Magdzie Gessler – za to, że oglądanie jej „Kuchennych Rewolucji” (20 odcinków w 2 dni!) magicznie uleczyło mnie z przeziębienia, które o mały włos,

a opóźniłoby powstanie tej książki; bardzo przepraszam, Pani Magdo, że pozwoliłem sobie trochę wykorzystać Panią w tej książce, ale nie mogłem się powstrzymać, bo Panią uwielbiam :),

– Klaudii Pankowskiej (Porozmawiajmy o Książkach), Dorocie Lińskiej-Złoch (Przeczytanka), Marcie Matyszczak (Kawiarenka Kryminalna), Sylwii Stawskiej (Kobiece Recenzje), Agnieszce Pohl (Magazyn Obsesje), Katarzynie Paprockiej (Czytanie Moja Miłość), Katarzynie Woźniak (Co warto przeczytać?), Edycie Stefan (Mamuśkowe różności), Krystynie Meszce (Literacki Świat Cyrysi), Annie Jeziorskiej (My very own space), Iwonie Czyżykowskiej (Czytając), Klaudii Cebuli (Zakłęcie na szczęście), Dominice Musialik (Niekulturalna), Klaudii Skiedrzyńskiej (Nowe Horyzonty), Sebastianowi Czaplínskiemu (Zaczytany w Książkach), Agnieszce Kalus (Czytam, bo lubię), Marcie Mrowiec (Na regale u Marty Mrowiec) i Tomaszowi Radochońskiemu (Nowalijki) – za ich nieustający entuzjazm, dobrą energię i to, że dzielnie sekundują mi od samego początku mojej literackiej, nazwijmy to, kariery,

– Ani Piotrowskiej, Monice Tresce, Zosi Filipiuk i Justynie Chaber – za miłość do książek (nie tylko moich),

– Teresie Grzelak – za PIT (sam bym najpewniej zwariował, próbując go wypełnić),

– i wreszcie – *last but not least* – Eleonorze Chojnowskiej – za jedyny w swoim rodzaju uśmiech na twarzy!